Szczury Tobruku
Dodatek specjalny o Polakach w Afryce

Tajemnica Hessa
Czy Hitler złożył Churchillowi ofertę pokojową?

Prawdziwy Hans Kloss
Na kim wzorowali się twórcy „Stawki większej niż życie"

NR 11(105)/2021 LISTOPAD 2021

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA DO RZECZY

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

Polacy i Japończycy NA RATUNEK ŻYDOM

prasa.pl 65c12f1

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

NAGRODY W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

LAUREATÓW POZNAMY NA GALI 16 LISTOPADA 2021 r.

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNE STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

PZU

KGHM POLSKA MIEDŹ

PGNiG

PARTNER

Grupa PM Invest S.A.

PARTNER HONOROWY

NIKiDW NARODOWY INSTYTUT KULTURY I DZIEDZICTWA WSI

eprasa.pl 65c12f148d

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Monika Doroś
tel.: 539 953 631, 508 040 664
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Nasi autorzy nagrodzeni i wyróżnieni

FOT. DANUTA MATLOCH

Krzysztof Masłoń (na zdjęciu) został laureatem Nagrody Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu dla twórców, animatorów i mecenasów kultury (w kategorii: literatura). Podczas gali minister Piotr Gliński wręczył Piotrowi Semce nagrodę im. Tomasza Merty „Między literaturą a historią". Sławomir Koper i Tomasz Stańczyk otrzymali wyróżnienie Stowarzyszenia Wydawców Katolickich Feniks 2021 za cykl czterech książek o dawnych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Gratulujemy!

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Apel „Historii Do Rzeczy": Pomnik dla Sugihary!

To jedna z najbardziej niesamowitych historii z czasu drugiej wojny światowej. Jej głównym bohaterem był Chiune Sugihara, kowieński konsul Cesarstwa Japonii. A więc państwa znajdującego się w ścisłym sojuszu z III Rzeszą.

Tenże konsul latem 1940 r. wystawił w Kownie ponad 2 tys. wiz polskim uchodźcom, głównie żydowskiego pochodzenia. Ludzie ci dzięki wizom Sugihary wydostali się ze Związku Sowieckiego i trafili do Japonii. W ten sposób uniknęli Holokaustu.

Niemal wszyscy polscy Żydzi, którzy zostali na Litwie, padli bowiem ofiarą niemieckich mordów po tym, gdy w 1941 r. kraj ten zajął Wehrmacht. Ocenia się, że Sugihara ocalił w sumie 6 tys. polskich obywateli. Był to dobry, prawy człowiek.

W ten sposób docieramy do wielkiego paradoksu. Sugihara ma swoje ulice, place i pomniki na Litwie, w Japonii, Ameryce oraz w wielu innych krajach świata. Nie doczekał się natomiast takiego upamiętnienia w Polsce! A więc w kraju, którego obywateli ratował przed zagładą.

Redakcja „Historii Do Rzeczy" zwraca się więc z apelem do polskich władz centralnych i lokalnych: należy naprawić to niedopatrzenie! Drodzy Państwo, Chiune Sugihara powinien mieć swój pomnik – swoje ulice i place – również w Polsce.

I jeszcze jeden ciekawy wątek. O ile o Sugiharze mówi się na świecie bardzo dużo, o tyle mało kto wie, że japoński konsul ściśle współpracował z oficerami polskiego wywiadu. A żydowskimi uchodźcami, którzy trafili bez grosza przy duszy do Japonii, zaopiekował się Tadeusz Romer, ambasador Rzeczypospolitej w Tokio.

To kolejna historia, którą trzeba opowiedzieć. Nie tylko Aleksander Ładoś i grupa berneńska ratowali Żydów. W działalność tę zaangażowali się również polscy dyplomaci na Dalekim Wschodzie. Zapomniani bohaterowie. ©℗

eprasa.pl 65c12f148d

/ TEMAT NUMERU

.06 ALEKSANDER B. SKOTNICKI:
Japońskie wizy życia

.10 TOMASZ STAŃCZYK
Tadeusz Romer, opiekun Żydów

.14 PIOTR ZYCHOWICZ
Razem na tajnym froncie

/ SZCZURY TOBRUKU

.18 MACIEJ ROSALAK
Spod Karpat na Saharę

.22 MIECZYSŁAW HEROD
Broniłem Tobruku

.26 MICHAŁ MACKIEWICZ
Tobruckie militaria

.28 MACIEJ ROSALAK
Makabryczna piaskownica

.32 PIOTR SEMKA
Erwin Rommel Superstar

/ CZASY I LUDZIE

.36 PIERRE SERVENT
Hessa lot w ciemno

.44 SŁAWOMIR KOPER
Śmierć ostatnich dwóch książąt

.48 JAKUB OSTROMĘCKI
Kloss, czyli kłamstwo ekranu

.52 MAREK GAŁĘZOWSKI
Kule dla pisarzy

.56 MIKOŁAJ IWANOW
Oszukany w Moskwie

.60 LESZEK LUBICKI
Braterskie wydłubanie oczu

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Wzornictwo samochodowe

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Baczyński: ... otom jest

/ FELIETONY

.72 JACEK BARTOSIAK
Polska może być potężna

.74 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Zagórski przemówił zza grobu

.75 PIOTR SEMKA
Środek na komary

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
„Wesele"

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK
Hołd dla wielkich hetmanów

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Polska lekarka bez granic

eprasa.pl 65c12f148d

O społeczeństwie oderwanym od rzeczywistości,
żyjącym w bańce wyimaginowanych problemów.
O władzy, która nie należy do rządów.
O świecie kłamstwa i obłudy.
O monopolu na słuszność.

STROLLOWANA REWOLUCJA

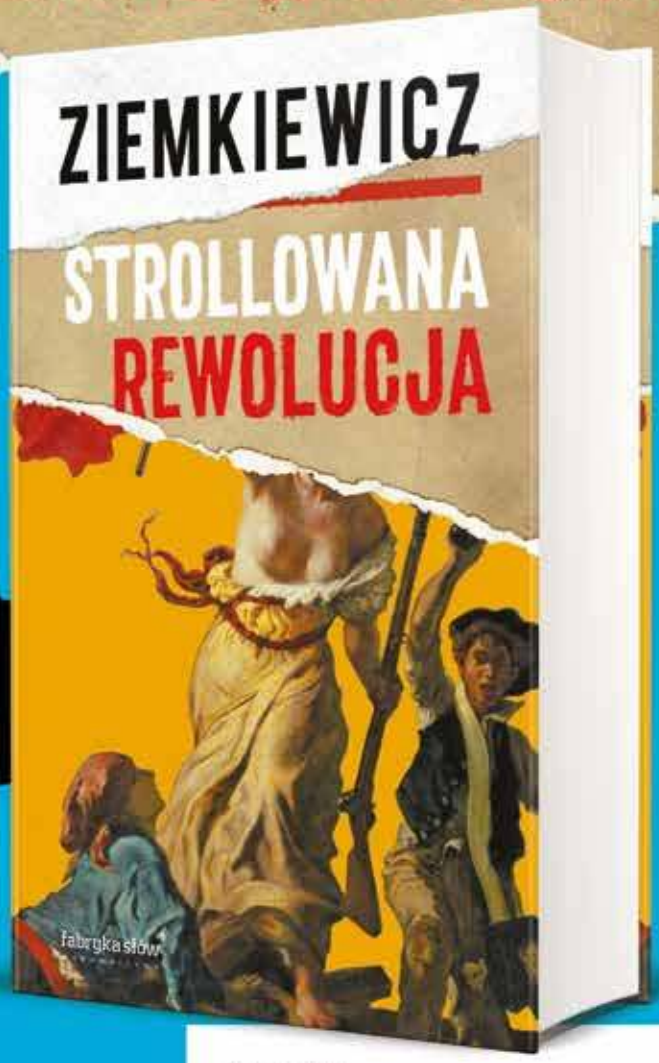

ZIEMKIEWICZ

rozkłada na czynniki pierwsze rewolucję, która dzieje się tu i teraz.

Dyskusję czas zacząć!

Patroni medialni

DO RZECZY · HISTORIA RZECZY · polityko.com

eprasa.pl 65c12f148d

Rozmowa / z prof. Aleksandrem B. Skotnickim

Konsul Chiune Sugihara z rodziną przed poselstwem japońskim w Königsbergu, 1941 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

rozmawia Piotr Zychowicz

Japońskie wizy życia

PIOTR ZYCHOWICZ: Ilu ludzi uratował konsul Chiune Sugihara?

ALEKSANDER B. SKOTNICKI: Mam akurat przed sobą listę Sugihary z archiwum ministerstwa spraw zagranicznych Japonii. Wynika z niej, że konsul latem 1940 r. wydał w Kownie 2139 wiz. Na każdej wizie mogło wyjechać ze Związku Sowieckiego kilka osób. Dzięki pomocy Sugihary życie ocaliło więc ok. 6 tys. ludzi.

Co to były za osoby?

94 proc. z nich było obywatelami polskimi. W większości byli to Żydzi. Mieszkańcy Wileńszczyzny lub uchodźcy z innych części Rzeczypospolitej, którzy znaleźli się na Litwie. Przypominam, że po upadku Polski we wrześniu 1939 r. Litwa przejęła Wileńszczyznę…

… ale 15 czerwca 1940 r. sama straciła niepodległość.

Otóż to. Litwa została wówczas wchłonięta do Związku Sowieckiego. A co za

eprasa.pl 65c12f148d

tym idzie – ludzie szukający schronienia na jej terytorium znaleźli się w fatalnej sytuacji. Działające w Kownie placówki dyplomatyczne otrzymały nakaz opuszczenia tego miasta. Mimo to jeszcze przez pewien czas na miejscu funkcjonowały konsulaty Holandii i Japonii.

Ale skąd konsulat Japonii w ogóle wziął się w Kownie?

Władze w Tokio uznały, że Niemcy – podpisując pakt Ribbentrop-Mołotow – zdradziły Japonię. Bo dla Japonii największym wrogiem był Związek Sowiecki. Tymczasem kluczowy sojusznik Japonii nagle zawarł z Moskwą układ o nieagresji. To był dla Japończyków poważny cios. Uznali wówczas, że potrzebują swojego człowieka jak najbliżej granicy niemiecko-sowieckiej. Chodziło o ustalenie, czy pakt Ribbentrop-Mołotow okaże się trwały, czy też prędzej czy później dojdzie do konfliktu. Japonia bardzo na to liczyła, bo wtedy Armia Kwantuńska mogłaby zostać przerzucona z Mandżurii na południe.

Padło na Kowno.

Tak. Mimo że w tym mieście nie było japońskich obywateli wymagających opieki konsularnej, Tokio postanowiło utworzyć tam swoją placówkę dyplomatyczną. W listopadzie 1939 r. na miejsce przybył konsul Chiune Sugihara. Jego misja w założeniu miała więc przede wszystkim charakter wywiadowczy. A nie dyplomatyczny czy konsularny.

Panie profesorze, przedstawmy czytelnikom naszego bohatera. Sugihara był ciekawym, nietypowym człowiekiem. Był wyznania prawosławnego. To chyba nie było częste wśród Japończyków?

Przede wszystkim był to człowiek bardzo niezależny. Już w młodym wieku dążył do poznawania innych krajów i kultur, do podróżowania, uczenia się języków. Jego ojciec oczekiwał, że zda na medycynę. Sugihara uznał jednak, że to nudne zajęcie. I umyślnie oblał egzamin. Wówczas ojciec despota go wydziedziczył. Sugihara zacisnął zęby i zaczął studiować na uniwersytecie w Tokio. Pracował przy tym jako robotnik portowy. Dorabiał korepetycjami. Widzimy więc człowieka, który ma wizję, który jest ciekawy świata. Sprzeciwia się swojemu ojcu, co – jak pan wie – w Japonii jest bardzo źle widziane.

Był indywidualistą?

Tak. I z uporem, konsekwentnie realizował swoje zamierzenia. Zdobył stypendium japońskiego MSZ na studia za granicą i wyjechał do Harbinu. Czyli stolicy Mandżurii, a później utworzonego przez Japończyków państewka Mandżukuo. Tam poznał uciekinierkę z Rosji, Klaudię. To była zdeklasowana biała Rosjanka. Pracowała jako kelnerka. Spodobali się sobie i wzięli ślub. Chiune przeszedł dla niej na prawosławie. Byli razem kilkanaście lat, ale on wiedział, że aby zrobić karierę dyplomatyczną, musi mieć żonę japońską. Doszło więc do taktycznego rozwodu za porozumieniem stron. Sugihara w 1935 r. wrócił do Japonii i ożenił się z 15 lat młodszą Yukiko. Nie porzucił jednak swojej religii. To nowa żona musiała dla niego przejść na prawosławie.

Wiza wydana przez konsula Sugiharę dla obywatela polskiego narodowości żydowskiej FOT. DOMENA PUBLICZNA

Czyli to było rzeczywiste nawrócenie?

Bez wątpienia. W Kownie Chiune Sugihara – z pomocą żony – wystawiał wizy dla polskich uciekinierów przez sześć dni w tygodniu. Od poniedziałku do soboty. W niedzielę robili przerwę, bo oboje udawali się na mszę do miejscowej cerkwi.

W Kownie w otoczeniu Sugihary było wielu Polaków. Głównie oficerów wywiadu. Jak te znajomości zostały zawiązane?

To sięgało jeszcze czasów przedwojennych. Polska i Japonia zawierały wówczas rozmaite porozumienia wywiadowcze. Oba kraje miały bowiem wspólnego wroga – Związek Sowiecki. Warszawa i Tokio wymieniały się informacjami, nici zostały zawiązane. Gdy Sugihara w 1939 r. przyjechał do Kowna, wznowił te kontakty. Informacje przekazywane przez polską „Dwójkę" były dla Japonii na tyle cenne, że oficerowie polskiego wywiadu dostali japońskie paszporty, zostali formalnie zatrudnieni przez Tokio. To dawało im immunitet dyplomatyczny i swobodę działania w Europie.

Nawet majordomus państwa Sugiharów był Polakiem.

Słynny pan Bolesław Różycki! Sugiharze zarekomendował go polski wywiad. W swoich memuarach pani Sugihara nazywała go „członkiem rodziny". Był bardzo lubiany przez dzieci. Wydawał wspaniałe przyjęcia, świetnie

eprasa.pl 65c12f148d

gotował, nalewał szampana. Był bardzo dystyngowany. Gdy po zajęciu Litwy przez Sowietów pod konsulatem zaczęły się gromadzić tłumy zdesperowanych uchodźców, pan Bolesław do nich wychodził. Rozmawiał z nimi po polsku, wydawał im numerki, uspokajał. „Proszę się nie denerwować – mówił – pan konsul wszystkim wystawi wizy, nikogo z Państwa nie zostawi bez pomocy".

Jak to się wszystko zaczęło?

Tu musimy wprowadzić nową postać. Holenderskiego konsula honorowego w Kownie Jana Zwartendijka. Był on przedstawicielem Philipsa na państwa bałtyckie. Sprzedawał żarówki. Został mianowany konsulem w 1940 r. Pewnego dnia do jego biura przyszedł młody holenderski Żyd Nathan Gutwirth, który studiował w jesziwie na Litwie. Ten człowiek chciał uciec z kraju zajętego przez Armię Czerwoną. Drogę do domu miał jednak zamkniętą – Holandia od wiosny 1940 r. znajdowała się pod okupacją niemiecką. Przypomniał sobie jednak, że Holandia miała kolonie na Karaibach: Surinam i Curaçao. Poprosił konsula, żeby wystawił jemu i innym Żydom wizy na te terytoria.

Ale gdzie Kowno, a gdzie Curaçao!

No właśnie. To był zasadniczy problem. Jak ci Żydzi mieliby się przedostać z Litwy na Karaiby. Europa była okupowana przez Hitlera, droga na zachód była więc zamknięta. Pozostawał więc wschód. Jedyną szansą była droga przez Związek Sowiecki, a potem przez Japonię. Aby pokonać taką trasę, należało mieć jednak japońska wizę tranzytową.

I tu na arenę wkroczył Sugihara?

Dokładnie. W połowie lipca 1940 r. pod budynkiem konsulatu japońskiego w Kownie zebrało się kilkudziesięciu, a potem kilkuset petentów. Ci ludzie mieli wizy holenderskie uprawniające ich do wjazdu na Karaiby. Ale bez tranzytowej wizy japońskiej te dokumenty były jedynie świstkami papieru. Dopiero dzięki Sugiharze mogły stać się wizami życia.

Jak zareagował Sugihara?

Zadepeszował do swojego MSZ z pytaniem, czy może udzielić pomocy tym ludziom. Zrobił to trzykrotnie. I trzykrotnie otrzymał odpowiedź odmowną. Tokio odpisało, że kilka wiz może wystawić. Ale kilkadziesiąt czy kilkaset – nie ma mowy! Sugihara postanowił jednak złamać zakaz i wystawić wizy.

ALEKSANDER B. SKOTNICKI
„CHIUNE SUGIHARA. KONSUL, KTÓRY RATOWAŁ ŻYDÓW"
AROMAT SŁOWA

Czyli znowu wykazał nieposłuszeństwo. Tym razem wobec państwa.

Tak, bo uznał, że ludzkie życie jest najważniejsze. A pamiętajmy, że był wówczas w Kownie z młodą żoną i trojgiem małych dzieci. Najmłodsze z nich urodziło się już na Litwie. Sugihara zmagał się więc z olbrzymią presją psychiczną. Jego pasją była kariera dyplomatyczna, reprezentowanie swojego kraju. To był sens jego życia. Praca ta pozwalała mu też utrzymać bliskich. I teraz – aby ratować obcych sobie ludzi – wszystko to narażał na szwank. Zdawał sobie bowiem sprawę, że w każdej chwili na Litwę mogą wkroczyć Niemcy. A wtedy ich los będzie przypieczętowany. Jak wiadomo, przewidywania te spełniły się w czerwcu 1941 r.

Jak wyglądało wydawanie wiz?

Sugihara wypisywał je ręcznie. Normalnie konsul w ciągu dnia wydaje kilka–kilkanaście wiz. Sugihara potrafił zaś wypisać ich nawet 250! Pracował od rana do nocy. Rezygnował z obiadów, żeby nie spowalniać całego procesu, żona robiła mu kanapki. Czasu było mało, chciał uratować jak największą liczbę ludzi. Nawiasem mówiąc, byłem niedawno w Kownie i oglądałem jego willę. Biuro znajdowało się w podziemiu. Oglądałem biurko konsula, na którym pracował. To było dla mnie bardzo wzruszające.

Kiedy Sugihara został zmuszony do zamknięcia konsulatu?

Konsul był ostatnim zagranicznym dyplomatą, który opuścił Kowno. Wyjechał 4 września 1940 r. Konsulat musiał jednak zamknąć kilka dni wcześniej. Zamieszkał wtedy w hotelu Metropolis. Ledwo rozłożył w pokoju swoje rzeczy, gdy zadzwoniono do niego z recepcji. „Pan Sugihara? – usłyszał w słuchawce głos portiera. – Przed hotelem stoi tłum ludzi, którzy czekają na pana". W trakcie tych ostatnich dni spędzonych w hotelu Sugihara nadal wypisywał wizy. Ostatnie wystawił już na dworcu kolejowym, przed samym odjazdem.

Co robili polscy Żydzi po otrzymaniu japońskiej wizy?

Najpierw musieli przedostać się do Moskwy. Tam władze sowieckie wymagały od nich, aby spędzili trzy noce w drogim hotelu. Chodziło o to, aby pozbawić ich dewiz. W Moskwie musieli również kupić za 200 dol. – a więc po znacznie zawyżonej cenie – bilet kolei transsyberyjskiej do Władywostoku. Pierwsi ludzie wyjechali w stronę Japonii jesienią 1940 r., inni w styczniu i lutym 1941 r.

Jak długo trwała ta podróż?

Dwanaście dni. Podróż była więc bardzo trudna i ryzykowna. Szczególnie że wśród uciekinierów byli ludzie starsi, dzieci, niemowlęta. Ale ci ludzie wiedzieli, że na Litwie grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. I mieli rację. Wszyscy Żydzi, którzy pozostali, zostali później wymordowani przez Niemców. Jestem więc pełen podziwu dla determinacji tych uchodźców, dla ich odwagi. Czasem myślę, że największymi bohaterami tej historii są właśnie oni. A nie konsul Sugihara, który wypisywał wizyt. Bo to oni podejmowali największe ryzyko, ratując życie swoje i swoich bliskich.

Co działo się z uciekinierami po przybyciu do Władywostoku?

Musieli się przesiąść na statki. To były prymitywne kutry rybackie, którymi można było dostać się do Tsurugi, japońskiego miasteczka nad Pacyfikiem. Tam czekali już na nich przedstawiciele organizacji żydowskich. A opieką otaczał ich polski ambasador w Tokio Tadeusz Romer.

Dużo się ostatnio mówi o Aleksandrze Ładosiu i grupie polskich dyplomatów ratujących Żydów w Szwajcarii. Tymczasem rola Romera jest znacznie mniej znana.

Ambasador założył Polski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny, na którego czele stanęła jego żona. Instytucja ta miała na celu pomaganie uchodźcom. Romer wydawał również Żydom polskie paszporty. Do tej pory mieli bowiem tylko

eprasa.pl 65c12f148d

certyfikaty potwierdzające obywatelstwo wydane przez polską sekcję brytyjskiego konsulatu w Kownie. Romer załatwiał też żydowskim uciekinierom wizy do Kanady, Stanów Zjednoczonych, Nowej Zelandii, Australii czy Palestyny. Gdy Japonia przeniosła wszystkich obcokrajowców do Szanghaju, razem z nimi przeniósł się tam Romer. I dalej się nimi opiekował. Wszyscy ci ludzie bezpiecznie przetrwali w Szanghaju do końca wojny. Romer był dyplomatą z krwi i kości. Ale przede wszystkim bardzo dobrym człowiekiem.

Czyli ta historia skończyła się happy endem?

Tak. Około 6 tys. Żydów udało się bezpiecznie wyjechać z Litwy do Japonii. I w ten sposób uratować życie. Była to jedna z największych akcji ratunkowych w trakcie drugiej wojny światowej. Wielu z tych ludzi zrobiło później wielkie kariery. Jeden został nawet ministrem w rządzie Izraela. W latach 60. przyjmował Sugiharę, gdy ten został „odkryty" po 30 latach i przyjechał do Jerozolimy.

Tym sposobem docieramy do powojennych losów konsula. Czy za swoją akcję w Kownie dostał nagrodę od rządu w Tokio?

Wręcz przeciwnie. Sugihara po opuszczeniu Kowna pracował w japońskich placówkach dyplomatycznych w Berlinie, Pradze, Królewcu i wreszcie w Bukareszcie. Tam zastał go koniec wojny. Latem 1944 r. Sowieci internowali go w obozie dla zagranicznych dyplomatów. Spędził tam – razem z rodziną – 18 miesięcy. Gdy go zwolniono, pojechał do Japonii tą samą trasą, którą wcześniej musieli pokonać uratowani przez niego ludzie. Koleją transsyberyjską. Do Tokio dotarł w 1947 r. i tam spadł na niego poważny cios. Sugihara został zmuszony do rezygnacji.

Jak to? Dlaczego?

Japoński rząd ukarał go w ten sposób za niesubordynację. Jak ktoś mu powiedział – za „incydent w Kownie". Zarzucono mu, że za wystawianie wiz brał pieniądze, co było nieprawdą. Został usunięty z korpusu dyplomatycznego i pozbawiony emerytury. W efekcie stracił środki do życia. Jego najmłodszy syn umarł na ostrą białaczkę. Ta tragedia była być może związana z trudnymi warunkami panującymi w sowieckim obozie. Sugihara znalazł się więc w bardzo trudnej sytuacji.

Co zrobił?

Zaczął pracować jako tłumacz, handlowiec. Znacznie poniżej swoich dyplomatycznych i lingwistycznych możliwości. Nazywano go przecież „wschodzącą gwiazdą japońskiej dyplomacji". Teraz jego kariera została złamana. Ostatecznie Sugihara został przedstawicielem japońskiej spółki w Moskwie. W Związku Sowieckim spędził 15 lat. Tylko dwa razy w roku mógł jeździć do Japonii, by spotkać się z rodziną.

Powiedział pan, że Sugiharę „odkryto" dopiero po 30 latach. Dlaczego tak późno?

Wynikało to z tego, że gdy pracował w Moskwie, trudno go było odnaleźć. W końcu jednak odszukał go jeden z uratowanych przez niego ludzi. Izraelski dyplomata pracujący w ambasadzie w Tokio.

A dlaczego tak późno konsulowi nadano tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata?

Rzeczywiście starania o to trwały 15 lat. Od 1970 do 1985 r. Trwało to tak długo, bo instytut Yad Vashem nie był przekonany, że konsul wydając wizy, się narażał. A wymóg jest jasny: nagradza się ludzi ratujących Żydów „bezinteresownie i z narażeniem życia". W końcu jednak Sugihara – jako jedyny Japończyk – otrzymał to zaszczytne wyróżnienie. Był już zbyt słaby, żeby przyjechać na wręczenie nagrody. Rok później, w 1986 r., umarł.

Czy to, że jest pan lekarzem, sprawia, że patrzy pan na Sugiharę w jakiś szczególny sposób?

Każdy człowiek, który ratuje ludzkie życie, jest dla mnie bratnią duszą. Przez 50 lat byłem w Krakowie hematologiem i do naszej placówki przywożono ludzi w ciężkim stanie z ostrymi białaczkami z całej Polski południowo-wschodniej. Razem z moim zespołem siedem dni w tygodniu, 24 godziny na dobę staraliśmy się ocalić ich życie. Ratowanie człowieka przed ciężką chorobą czy przed zbrodniczą ideologią – jaką był nazizm – ma ze sobą wiele wspólnego. W obu przypadkach zagrożone jest bowiem ludzkie istnienie. Widziałem się dzisiaj z Marianem Turskim. Rozmawialiśmy o Sugiharze. I on zwrócił uwagę na rzecz najważniejszą. Sugihara pomagał obcym ludziom, wbrew woli swojego rządu. To naprawdę imponuje. Co ciekawe, konsul nie był nawet pewien, czy władze japońskie będą honorować wystawione przez niego wizy. Czy nie będą nastawione niechętnie do uciekinierów. Radził więc żydowskim uchodźcom, żeby spotkawszy japońskiego urzędnika, wznosili okrzyk: „Banzai Nippon!". Niech żyje Japonia!

Ile ulic i placów w Polsce nosi imię Sugihary?

Ani jeden. Takie ulice i place są w wielu miejscach świata, ale nie u nas. Jest to o tyle zdumiewające, że Sugihara ratował życie polskich obywateli. A co za tym idzie – Polska zawdzięcza mu najwięcej.

RYS. JACEK GRAMBURG

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c12f148d

Tadeusz Romer, poseł RP w Japonii, i Nobobumi Ito, poseł Japonii w Polsce. Na zdjęciu: medal pamiątkowy z okazji 2600. rocznicy panowania rodziny cesarskiej

FOT. NAC

1939–1941 / Japonia, Chiny

Tadeusz Romer, opiekun Żydów

Tomasz Stańczyk

Ambasador Rzeczypospolitej w Tokio otoczył opieką Żydów – obywateli polskich przybywających do Japonii – i zabiegał o wizy emigracyjne dla nich

eprasa.pl 65c12f148d

Tadeusz Romer, urodzony na Kowieńszczyźnie w spolonizowanej rodzinie pochodzenia niemieckiego, był zawodowym dyplomatą, a tajniki stosunków międzynarodowych poznawał jako sekretarz Romana Dmowskiego – prezesa Komitetu Narodowego Polskiego i głównego negocjatora polskiego podczas konferencji wersalskiej. Pierwszą placówką Romera był Paryż, później pracował w MSZ jako naczelnik Wydziału Zachodniego. Piłsudczycy, którzy objęli władzę po przewrocie majowym, musieli cenić jego kwalifikacje i machnęli ręką na związki z Dmowskim, gdyż Romer nie tylko pozostał w dyplomacji, lecz także awansował. Był radcą ambasady w Rzymie, posłem w Portugalii, a swoją karierę uwieńczył stanowiskiem posła, a następnie ambasadora w Tokio, które objął w 1937 r. Właśnie w tym roku podniesiono rangę przedstawicielstw dyplomatycznych Polski i Japonii z poselstwa do ambasady. Komunikat PAT o mianowaniu Romera ambasadorem ukazał się w prasie jednocześnie z informacją, że komitet Ligi Narodów, po skardze wysłannika Chin, podjął rezolucję, w której potępiał bombardowanie przez samoloty japońskie chińskich miast otwartych. Polska uważała Japonię za naturalnego sojusznika, gdyż oba kraje miały wspólnego wroga – Związek Sowiecki, toteż ambasador Romer oświadczył w Tokio, że nasz kraj nie będzie stosował się do antyjapońskich rezolucji i sankcji.

Choć Japonia – po podpisaniu paktu antykominternowskiego w 1936 r. oraz paktu trzech w 1940 r. – była sojusznikiem III Rzeszy, to po wybuchu drugiej wojny światowej ambasada RP w Tokio funkcjonowała jeszcze przez dwa lata i reprezentowała rząd Rzeczypospolitej na uchodźstwie. Misja ambasadora Romera polegała także na udzielaniu wszechstronnej pomocy Żydom, polskim obywatelom, którzy głównie przez Litwę – gdzie otrzymywali wizy tranzytowe od konsula Sugihary – i Związek Sowiecki przybywali do Japonii.

Japończycy wobec Żydów

W sprawie losu Żydów w Niemczech Japonia zachowała dyplomatyczne milczenie, Tokio wiązała bowiem przyjaźń z Berlinem. Z drugiej strony Japończycy obiecywali sobie korzyści dla swojego kraju związane z przybywaniem prześladowanych przez III Rzeszę Żydów z Europy. W 1938 r. odbyła się rządowa konferencja, w rezultacie której wypracowano następujące stanowisko: utrzymanie dobrych, sojuszniczych stosunków z Niemcami i Włochami wymaga, by unikać przyjmowania Żydów, ale zaznaczano: „Nie powinniśmy jednak odrzucać ich [Żydów], jak to czynią oba kraje, z powodu naszej zadeklarowanej polityki rasowej równości. Ich odrzucenie mogłoby stać w sprzeczności z naszym duchem. To jest szczególnie istotnie w świetle naszej potrzeby zdobycia obcego kapitału i chęci niealienowania Ameryki".

Postanowiono, by Żydzi przybywający do Japonii i kontrolowanej przez nią Mandżurii byli traktowani zgodnie z ogólnymi zasadami dotyczącymi obcokrajowców. I choć zapadła decyzja, by nie zachęcać Żydów z Europy do przyjeżdżania do Japonii bądź na terytoria przez nią kontrolowane, to jednak „będą czynione wyjątki dla biznesmenów i techników mających wartość dla Japonii" (za: J.M. Guzik, „Stosunek Japonii do kwestii żydowskiej w latach 1932–1945").

Japończycy postępowali pragmatycznie, starając się wykorzystać wykwalifikowanych i bogatych Żydów w interesie swego kraju, a jednocześnie nie chcąc zrażać Stanów Zjednoczonych, ze względu na obecność w tym kraju wpływowej społeczności żydowskiej.

Władze japońskie cechowały się jednocześnie ostrożnym stosunkiem do Żydów, a plan ich wykorzystania nazwany został „Planem Fugu" – była to tajna koncepcja ściągnięcia do Mandżurii zdolnych, wykształconych Żydów. Ryba fugu jest bardzo ceniona przez Japończyków, jednak przygotowanie jej do spożycia wymaga kunsztownego i trudnego zabiegu pozbawienia jej trucizny w wewnętrznych organach. W przeciwnym razie smakosza może spotkać śmierć. Autorzy planu porównywali Żydów właśnie do ryby fugu: „Odpowiednie preparowanie, czyli postępowanie z wyznawcami judaizmu, może przynieść niebywałe korzyści Cesarstwu Japonii, podobnie jak owo wyborne mięso ryby fugu. Należy jednak to czynić z ostrożnością, gdyż wpływowi Żydzi mogą zagrozić Japonii" (za: J.M. Guzik, „Stosunek Japonii do kwestii żydowskiej w latach 1932–1945").

Ambasador walczy o wizy

W latach 1940 i 1941 do Japonii przybyło prawie 2,2 tys. obywateli polskich, z czego 97 proc. to byli Żydzi. Wizy japońskie pozwalały tylko na 10-dniowy pobyt w Kraju Kwitnącej Wiśni. Żydzi musieli więc starać się o wizy do krajów, które chciałyby ich przyjąć. Pierwszym zadaniem ambasadora Romera były starania o przedłużenie czasu tranzytowego pobytu, co było niezbędne do przygotowania dokumentów osobistych dla uchodźców, poświadczających polskie obywatelstwo, ponieważ wielu Żydów ich nie miało. Warunkami bytowymi obywateli polskich narodowości żydowskiej zajął się powstały z inicjatywy Tadeusza Romera jesienią 1940 r. Polski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny, na czele którego stanęła Zofia Romerowa, żona ambasadora. Nie można nie wspomnieć, że to właśnie na podstawie wspomnień Romerowej jej krewny – Melchior Wańkowicz – napisał wstrząsające opowiadanie „Szpital w Cichiniczach" o zbrodni na personelu szpitala polowego I Korpusu Polskiego oraz chorych i rannych żołnierzach, dokonanej przez żołnierzy bolszewickich na początku 1918 r.

Komitet otrzymywał finansowe wsparcie z ambasady, a także od żydowskiej amerykańskiej organizacji charytatywnej Joint. Przybysze nie dysponowali bowiem z reguły środkami na utrzymanie. Romer w piśmie do MSZ oceniał, że jakkolwiek większość Żydów, zgłaszając się do ambasady, kieruje się względami utylitarnymi, bytowymi, to „zwłaszcza wśród elementów bardziej zasymilowanych, a więc bądź to związanych od dawna i poważniej z naszym życiem gospodarczym lub publicznym w kraju, bądź też czynnych w życiu politycznym i społecznym w Polsce, znajduje się tutaj pewna ilość uchodźców bez wątpienia wartościowych państwowo, usposobionych patriotycznie, liczących na powrót do kraju i zdecydowanych służyć mu i teraz na obczyźnie, i później" (za: Wystawa „Ambasador RP w Japonii Tadeusz Romer i żydowscy uchodźcy wojenni

eprasa.pl 65c12f148d

Dzielnica Marouchi w Tokio, plac przed dworcem kolejowym, 1932 r. FOT.NAC

na Dalekim Wschodzie" w Kłajpedzie, kurator: Olga Barbasiewicz).

Następnym krokiem Romera, we współpracy z polskim MSZ, było znalezienie docelowego miejsca emigracji dla Żydów. W Tokio Romer prowadził rozmowy w tej sprawie z ambasadorem Wielkiej Brytanii i posłami Australii i Kanady, mieli oni przekazać wnioski polskiego dyplomaty swoim rządom. Nie było to łatwe zadanie, gdyż Kanada czy Australia z niechęcią godziły się na przyjęcie Żydów.

„Według stanu z 17 października 1941 r. z 2185 uchodźców z Polski, którzy znaleźli się na ziemi japońskiej, kraj ten opuściło 2077. Wielu znalazło schronienie w krajach imperium brytyjskiego. Najliczniejsza grupa (258 osób) trafiła do Kanady, 210 osób do Palestyny, która była wówczas brytyjskim terytorium mandatowym. Kilkudziesięcioosobowe grupy wyjechały do Australii, Birmy i Nowej Zelandii. Spośród krajów neutralnych najwięcej uchodźców z Japonii znalazło azyl w Stanach Zjednoczonych (502 osoby) i różnych krajach Ameryki Południowej" (za: J. Wróbel, „Ambasador Tadeusz Romer w »misji specjalnej« na rzec uchodźców żydowskich na Dalekim Wschodzie").

W Szanghaju

Nie udało się jednak znaleźć miejsca dla wszystkich Żydów w bezpiecznych krajach. Pozostali, ok. 1 tys., znaleźli się w opanowanym przez Japończyków Szanghaju. Mieli w tym mieście czekać na wizy emigracyjne. Udzielało im tam pomocy poselstwo RP.

Stosunki dyplomatyczne polsko-japońskie zostały zerwane jesienią 1941 r., pod naciskiem Niemiec. Japonia likwidowała swą teoretycznie istniejącą ambasadę w Warszawie i jednocześnie uznała, że misja polskiego ambasadora dobiegła końca. Romerowi nakazano opuścić Tokio i udać się do Szanghaju, miał tam oczekiwać na zbiorową wymianę dyplomatów walczących stron. Polski rząd mianował wówczas Romera ambasadorem w misji specjalnej na Dalekim Wschodzie. A celem tej misji była głównie pomoc uchodźcom żydowskim. Romer zorganizował w siedzibie poselstwa RP pierwsze posiedzenie Komisji Doradczej Uchodźców, będącej organem opiniodawczym dla Polskiego Komitetu dla Uchodźców Wojennych w Szanghaju.

Na cele związane z zabezpieczeniem bytu uchodźców, m.in. z kanałami dyplomacji polskiej, Tadeusz Romer otrzymywał fundusze głównie od międzynarodowych organizacji pomocy Żydom. Jego misja trwała do lata 1942 r. i odbywała się nie bez trudności, gdyż w końcu poprzedniego roku nasz rząd po ataku na Pearl Harbor oświadczył, że Polska znajduje się w stanie wojny z Japonią (zakończył się dopiero w 1957 r.). Japończycy przyjęli to oświadczenie z ubolewaniem, nie przyjęli go do wiadomości, a premier Japonii stwierdził, że Polska walcząca o wolność podjęła tę decyzję pod presją Wielkiej Brytanii.

„Dzięki usilnym staraniom udało się ambasadorowi Romerowi, wbrew żądaniom Jointu, przeprowadzić i utrzymać organizacyjne wyodrębnienie polskich Żydów spośród ok. 16 tys. Żydów bezpaństwowców z Niemiec i Austrii (za: A. Guryn, „Tadeusza Romera pomoc Żydom Polskim na Dalekim Wschodzie").

Dalsze wysyłanie Żydów – obywateli polskich do krajów, które zgodziły się ich przyjąć – drogą morską było niemożliwe ze względu na wojnę na Pacyfiku. Jedyna droga wydostania się z Szanghaju prowadziła przez Związek Sowiecki.

„W początkach kwietnia 1942 r. Romer przekazał Ambasadzie RP w Związku Sowieckim listę 967 uchodźców wojennych legitymujących się obywatelstwem polskim z prośbą o uzyskanie dla nich u władz sowieckich prawa tranzytu na Bliski Wschód. Wprawdzie Brytyjczycy zgodzili się przyjąć 50 Polaków i 389 uchodźców żydowskich, ale dyplomacja polska nie zdobyła zezwolenia władz sowieckich, które długo nie odpowiadały na noty w tej sprawie, a w końcu odmówiły, zasłaniając się trudnościami transportowymi" (za: J. Wróbel, „Ambasador Tadeusz Romer w »misji specjalnej« na rzec uchodźców żydowskich na Dalekim Wschodzie").

Warunki życia Żydów w Szanghaju pogorszyły się, gdyż ze względu na wojnę między Stanami Zjednoczonymi a Japonią od grudnia 1941 r. przestały napływać pieniądze dla nich z Ameryki. Gdy i poselstwo RP w Szanghaju zostało zlikwidowane decyzją władz japońskich, Romer przed wyjazdem zorganizował Reprezentację Uchodźców Wojennych z Polski działającą oficjalnie jako oddział Związku Polaków w Chinach. Sytuacja Żydów stała się jeszcze bardziej skomplikowana, gdy w lutym 1943 r. władze japońskie postanowiły ich przesiedlić do jednej dzielnicy. W ten sposób powstało faktycznie getto. Żydzi nie byli wprawdzie prześladowani przez Japończyków, ale ograniczenie przebywającym w Szanghaju swobody przemieszczania się doprowadziło do pogorszenia ich warunków życia i zmniejszenia możliwości zarobkowych.

Wyjeżdżając latem 1942 r. z Szanghaju z polskim personelem dyplomatycznym, ambasador Tadeusz Romer zabrał ze sobą kilkudziesięciu Żydów – polskich obywateli. Jeden z tych, którzy uzyskali pomoc polskiego dyplomaty, tak oceniał Romera: „Pracował do późnych godzin nocnych. Wykazał tyle równowagi, tyle wyrozumiałości dla rozmaitych żalów i próśb uchodźczych, że ktokolwiek się z nim zetknął, wychodził pod wrażeniem niezwykle głębokiego podejścia do przedstawionych mu problemów. Przez uchodźców był ogromnie lubiany" (za: E. Pałasz-Rutkowska, A.T. Romer, „Historia stosunków polsko-japońskich 1904–1945").

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c12f148d

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

STRAŻNIK PAMIĘCI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl 65c12f148d

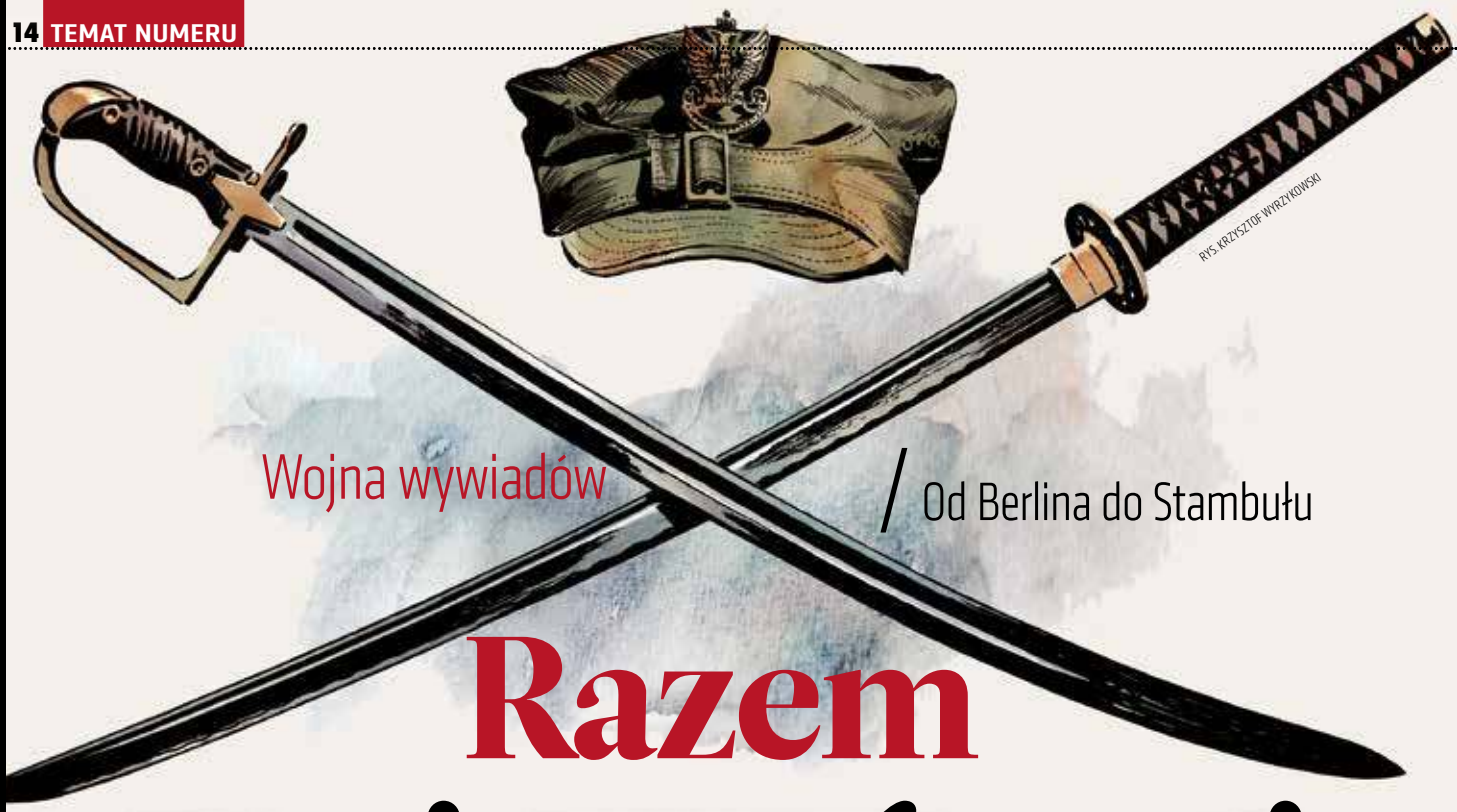

Wojna wywiadów / Od Berlina do Stambułu

Razem na tajnym froncie

Piotr Zychowicz

Polska i Japonia podczas drugiej wojny światowej znalazły się po przeciwnych stronach barykady. Mimo to tajne służby obu państw blisko współpracowały

Kurierzy dyplomatyczni Cesarstwa Japonii wsiedli do pociągu międzynarodowego na stacji Berlin Główny. Dwóch eleganckich panów w czarnych paltach i kapeluszach. W rękach mieli wypchane dokumentami skórzane nesesery. Japończycy zajęli miejsca w przedziale pierwszej klasy.

Wkrótce – w kłębach syczącej pary i przy akompaniamencie gwizdków – masywna lokomotywa ruszyła z peronu i pociągnęła za sobą wagony. Kierunek: wschód. Pociąg miał przejechać przez okupowane polskie Pomorze i Prusy Wschodnie. Następnie przez zajętą przez bolszewików Litwę, do Moskwy i dalej przez Syberię do Japonii. Zapowiadała się długa i nużąca podróż.

Uważny obserwator zauważyłby jednak, że japońscy kurierzy mieli w Berlinie „ogon". Znajdowali się pod ścisłą obserwacją szpicli gestapo. Agenci śledzili ich na dworcu, a potem wsiedli z nimi do pociągu. Dlaczego Niemcy jesienią 1940 r. inwigilowali dyplomatów zaprzyjaźnionego azjatyckiego mocarstwa?

Odpowiedź może być zaskakująca. Otóż w japońskiej poczcie dyplomatycznej znajdował się pakiet dokumentów wysłanych przez polski rząd w Londynie do dowództwa wileńskiego okręgu Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Niemcy wiedzieli, że gdzieś na trasie polski wywiad będzie próbował nawiązać kontakt z Japończykami i odebrać im te papiery. Postanowili je przechwycić.

Tymczasem w Wilnie Polacy szykowali się do ryzykownej akcji. Dwa tygodnie przed wyruszeniem kurierów na adres pewnej damy o niemieckim nazwisku przyszła z Berlina pocztówka. Znajdowały się na niej zdawkowe pozdrowienia, zakończone słowami „Heil Hitler, deine Irma!". Był to umówiony sygnał dla polskiej siatki wywiadowczej. Kurierzy niedługo przyjadą.

W oznaczonym dniu żołnierz polskiego wywiadu wsiadł do pociągu na stacji w Wierzbołowie, na granicy między Prusami a okupowaną przez bolszewików Litwą. Jego zadaniem było zidentyfikowanie kurierów. W momencie, gdy skład wjeżdżał na peron w Kownie, Polak wychylił się przez okno w czapce na głowie. Był to sygnał dla – czekającej na stacji – polskiej ekipy przechwytującej. Szafa gra! Japończycy są w wagonie!

Na czele ekipy przechwytującej stał polski oficer Eryk Budzyński. Towarzyszył mu żołnierz z obstawy i niewinnie wyglądająca dziewczyna o imieniu Janka. W torebce miała pakiet z dokumentami, który Budzyński miał wręczyć Japończykami w zamian za kopertę z Londynu.

W Kownie pasażerowie berlińskiego ekspresu musieli się przesiąść na ekspres do Moskwy. Polscy wywiadowcy – niezwykle elegancko ubrani – zajęli miejsca

eprasa.pl 65c12f148d

w pociągu jako pierwsi. Za nimi wsiedli Japończycy. Jeden z nich – jak wspominał Budzyński na łamach „Zeszytów Historycznych" – miał wpiętą w krawat „perłę jak kurze jajo". Widząc to, polski oficer wpiął podobną szpilkę we własny krawat. Był to umówiony znak rozpoznawczy.

Problem polegał na tym, że na korytarzu Japończyków nadal pilnował – sowiecki lub niemiecki – tajniak. Jak więc dokonać wymiany?

„Przechodzę koło kurierskiego przedziału – wspominał Budzyński – jeden Japończyk coś czyta, drugi udaje, że śpi. Ale widać, że kapuje, co się na korytarzu dzieje. Odwracam się, aby mógł zobaczyć mój krawat i perłę i kiwam przecząco głową na znak, żeby nie wychodził. Zrozumiał, nie rusza się. Wracam do mego przedziału i siedzę jak na szpilkach.

Z Kowna do Wilna [gdzie musieli wysiąść Polacy] tylko coś 100 km, czasu za dużo nie ma. Znowu wychodzę na korytarz, łobuz stoi w dalszym ciągu, ale coś jakby przestępuje z nogi na nogę. Może go, jak to się mówi, przypiliło. I rzeczywiście – znika w wiadomej instytucji na końcu wagonu.

Szybko więc przechodzę pod japońskim przedziałem i kiwam potakująco. „Kurze jajo" zaraz wychodzi, stajemy przy sąsiednich oknach, szeptem wymieniamy umówione sygnały. Janka stoi zaraz za przejściem, oglądam się jeszcze, nikogo nie ma, biorę od niej paczkę. Japończyk idzie korytarzem w moim kierunku, ocieramy się o siebie, szast-prast, wymiana szczęśliwie dokonana. Wszystko zajęło zaledwie kilkanaście sekund. Janka bierze paczkę i idzie do swego przedziału".

Polacy po kilkunastu minutach wysiedli w Wilnie, a Japończycy pojechali dalej. Nikt niczego nie zauważył. W paczce, którą wywiadowcy odebrali od Japończyków – oprócz poczty z Londynu – znajdowała się gotówka na dalszą działalność szpiegowską. Ponad 15 tys. dol. Japończycy uzyskali zaś od Polaków pakiet z cennymi informacjami o Armii Czerwonej i sowieckim przemyśle.

Była to jedna z kilku podobnych wymian, które miały miejsce między Polakami a Japończykami w pociągach kursujących na trasie Berlin–Moskwa. Był to epizod tajnej współpracy wywiadowczej między Rzeczpospolitą a azjatyckim Cesarstwem. Dwa państwa, które formalnie znajdowały się po przeciwnych stronach barykady, łączyły sympatia i wspólnota interesów.

Wspólny wróg

Jak wytłumaczyć tę – pozornie egzotyczną – przyjaźń? Odpowiedź jest prosta: Polacy i Japończycy mieli wspólnego wroga: Rosję, a później Związek Sowiecki. Już w trakcie wojny rosyjsko-japońskiej w latach 1904–1905 sztab cesarski z zainteresowaniem śledził sytuację w Polsce. Jak wiadomo, do Tokio jeździł wówczas Józef Piłsudski. Japończycy liczyli na polskie działania dywersyjne, które odciągnęły część rosyjskich sił z Dalekiego Wschodu.

Gdy powstała II RP, oba państwa miały znakomite relacje. Polska była w Japonii bardzo lubiana. I odwrotnie – Polacy lubili Japonię i interesowali się jej kulturą. Blisko współpracowały ze sobą sztaby obu armii i tajne służby. Japońscy oficerowie przyjeżdżali nad Wisłę, wielu z nich otrzymało Ordery Virtuti Militari.

Ostrze tej współpracy było antysowieckie. Japonia nie podjęła jeszcze decyzji o skierowaniu swojej ekspansji na południe Azji. Znacznie bardziej prawdopodobna wydawała się wojna ze Związkiem Sowieckim i marsz Armii Kwantuńskiej na Syberię.

Japończycy w takiej wojnie chcieli mieć sojuszników, którzy zaatakowaliby Sowietów od Zachodu. W tej roli Tokio widziało Niemcy i Polskę. Dlatego Japonia w latach 30. próbowała przyciągnąć Polskę do paktu antykominternowskiego. A gdy na początku 1939 r. stosunki polsko-niemieckie uległy gwałtownemu załamaniu – Tokio podjęło desperacką próbę mediacji.

Marszałek Edward Śmigły-Rydz wita się z japońskim attaché wojskowym, Warszawa 1938 r. FOT. NAC

Mediacja ta – jak wiadomo – się nie powiodła. 1 września 1939 r. Niemcy zaatakowały Polskę. Kilka dni później szef japońskiej dyplomacji Nomura Kichisaburō zapewnił polskiego ambasadora w Tokio – Tadeusza Romera – że „szczera sympatia narodu japońskiego do Polski nie ulegnie zmianie".

Mimo nacisków Berlina ambasada Rzeczypospolitej w Tokio nie została zamknięta. Stało się to dopiero w październiku 1941 r. A więc wkrótce po podpisaniu paktu Sikorski-Stalin, gdy Polska sprzymierzyła się z bolszewikami. I wkrótce przed japońskim atakiem na Pearl Harbor, gdy Cesarstwo przystąpiło do wojny po stronie państw Osi.

11 grudnia 1941 r. Polska – idąc w ślady Anglosasów – niestety wypowiedziała wojnę Japonii (po co?!). Całe szczęście ta wroga deklaracja pozostała tylko na papierze. Polskie i japońskie służby wywiadowcze nie zerwały współpracy.

Miejscem, w którym rozpoczęło się to współdziałanie,

eprasa.pl 65c12f148d

Powitanie płk. Masatakiego Yamawakiego, japońskiego attaché wojskowego, Warszawa 1934 r. FOT. NAC

było Kowno. Japończyków interesowały informacje na temat potencjału Armii Czerwonej i widoków na wybuch wojny między Hitlerem a Stalinem. Z kolei polski wywiad potrzebował pewnych, bezpiecznych kanałów przerzutowych między Londynem a krajem.

Interes był więc obopólny. Polacy gromadzili informacje, a Japończycy udostępniali Polakom swoją pocztę dyplomatyczną. W Kownie stronę japońską reprezentował konsul Chiune Sugihara – stronę Polską kpt. Alfons Jakubianiec „Kuba", por. Leszek Daszkiewicz „Jan Perz" i mjr Michał Rybikowski „Peter Iwanow".

Współpraca była tak owocna, że Japończycy wyrobili Jakubańcowi i Daszkiewiczowi japońskie paszporty i formalnie zatrudnili ich w swoich placówkach. Chroniło to polskich wywiadowców przed aresztowaniem przez NKWD.

Gdy we wrześniu 1940 r. Sowieci nakazali Sugiharze zamknąć konsulat, dwaj polscy oficerowie służbowym samochodem japońskiego konsulatu pojechali do Berlina! Daszkiewicz wkrótce – wraz z Sugiharą – przeniósł się do Pragi, a potem do Królewca. Sugihara pracował bowiem w tamtejszych placówkach dyplomatycznych Cesarstwa.

W maju 1941 r. por. Daszkiewicz i Sugihara jeździli służbową limuzyną na „wycieczki" wzdłuż granicy niemiecko-sowieckiej. W lasach napotkali masy żołnierzy i sprzętu. Polowe składy amunicji i benzyny. Informacja, że zbliża się niemiecka inwazja na ZSRS, została niezwłocznie przekazana obu rządom – japońskiemu i polskiemu.

Polacy w Berlinie

Tymczasem Jakubianiec został w Berlinie, gdzie zmontował prężną polską siatkę szpiegowską. Polski oficer urzędował w ataszacie wojskowym ambasady Japonii. A więc w samym sercu III Rzeszy, tuż pod nosem Heinricha Himmlera i Wilhelma Canarisa. Polski oficer miał nadzieję, że japoński immunitet dyplomatyczny ochroni go przed gestapo i Abwehrą.

Informacje wywiadowcze Jakubianiec kierował do Sztokholmu, gdzie polską placówkę wywiadowczą prowadził mjr Rybikowski. A stamtąd już bez problemu materiały te trafiały do Londynu. W stolicy Szwecji, która uznała polski rząd na emigracji, działała bowiem placówka dyplomatyczna RP.

Doszło nawet do tego, że japońscy kurierzy wywieźli z III Rzeszy dwa polskie sztandary wojskowe razem z ciężkimi metalowymi grotami w kształcie orłów!

Niestety, niemieckie służby wkrótce wpadły na trop Jakubiańca i jego siatki. Udało im się ustalić, że polski wywiad działa nie tylko w ambasadzie Japonii, lecz także w poselstwie Mandżukuo, marionetkowego państwa stworzonego przez Japończyków na terenie chińskiej Mandżurii.

Według części źródeł Jakubiańca zgubiły nadmierna pewność siebie i luźny stosunek do zasad konspiracji. Polak był kobieciarzem i „zbałamucił" żonę pewnego litewskiego oficera. Ten, w akcie zemsty, zadenuncjował go na gestapo. Na początku lipca Jakubianiec został aresztowany. Niemcy zamknęli go w obozie w Sachsenhausen, gdzie stracono go w 1945 r.

Najdłużej z Japończykami współpracował wspomniany mjr Rybikowski, szef ekspozytury „Północ" w Sztokholmie. Polski oficer zaprzyjaźnił się z miejscowym japońskim attaché wojskowym płk. Onoderą Matoko. Panowie jeździli razem na narty, chodzili do opery na „Borysa Godunowa", jadali kolacje i – oczywiście – wymieniali informacje szpiegowskie.

„Mieli wspólne zainteresowania – informacje na temat ZSRS – wspominała żona pułkownika. – Obaj obiecali sobie nie robić nic, co mogłoby być zdradą ich sojuszników, oraz współpracować jedynie w dostarczaniu takich informacji, które mogły przydać się ich ojczyznom".

Rybikowski – podający się za białego rosyjskiego emigranta Piotra Iwanowa – został zatrudniony w ambasadzie Japonii. Niemcy próbowali zmusić płk. Maroko do wydania im polskiego oficera. Sprawą interesował się sam Heinrich Himmler, który w liście do Ribbentropa pisał z irytacją, że polski wywiad jest „bardzo dobrze zorganizowany". Abwehra wysłała nawet do Sztokholmu oficera kontrwywiadu Hansa Wagnera, który miał rozpracować Rybikowskiego.

Japoński attaché stanowczo opierał się presji i odmówił wydania przyjaciela. Aby chronić Rybikowskiego, postanowił go naturalizować! Polak otrzymał japoński paszport na nazwisko Iwanobu Heita. I w ten sposób został Japończykiem. Współpraca między oficerami w Sztokholmie trwała do 1944 r., gdy Rybikowski wyjechał do Londynu.

Nici nie zostały jednak zerwane. Rybikowski nadal wysyłał Matoko informacje. Między innymi mrożące krew w żyłach ostrzeżenie nadane po konferencji w Jałcie w lutym 1945 r.: „Zawarto tajne porozumienie – pisał Polak. – ZSRS po trzech miesiącach od kapitulacji Niemiec przystąpi do wojny z Japonią". Tak też się stało, co przypieczętowało los Cesarstwa.

Obaj panowie jeszcze wiele lat po wojnie spotykali się i utrzymywali serdeczny kontakt. Pozostali serdecznymi przyjaciółmi do śmierci. Rybikowski na biurku miał fotografię Matoko, który ocalił go przed gestapo. Żona Matoko z rozrzewnieniem wspominała, że w dniu kapitulacji Japonii przyszła do ich domu pewna Polka – żona oficera wywiadu – z bukietem kwiatów i łzami w oczach.

To tylko niektóre epizody współdziałania tajnych służb Polski i Japonii podczas drugiej wojny światowej. Przy Armii Kwantuńskiej na Dalekim Wschodzie służyli polscy specjaliści od szyfrów. Polacy współpracowali z Japończykami w Rydze, Sofii, Stambule, Rzymie, Watykanie, Bukareszcie i wielu innych miejscach. Nie wszystkie te epizody są w pełni rozpoznane przez historyków, bo oficerowie wywiadu najważniejsze tajemnice zabierają przecież ze sobą do grobu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z książek „Historia stosunków polsko-japońskich 1904–1945" E. Pałasz-Rutkowskiej i A.T. Romera oraz „Między Warszawą a Tokio. Polsko-japońska współpraca wywiadowcza 1904–1944" H. Kuromi i A. Pepłońskiego.

eprasa.pl 65c12f148d

HISTORIA
w obiektywie

Zapraszamy do księgarni IPN w całej Polsce
i do księgarni internetowej **ipn.poczytaj.pl**

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ
IPN

eprasa.pl 65c12f148d

Karpatczycy na pustyni; obok Krzyż Czynu Bojowego PSZ; poniżej hełm brytyjski używany w SBSK

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Sierpień–grudzień 1941 r. / SBSK w Tobruku

Spod Karpat na Saharę

Maciej Rosalak

W Afryce Polacy musieli walczyć nie tylko z Niemcami. Także z jadowitymi skorpionami i wężami

Rozkazem z 2 kwietnia 1940 r. premier i Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski powołał do życia – w porozumieniu z władzami francuskimi – Brygadę Strzelców Karpackich. Dowódcą mianowano płk. dypl. Stanisława Kopańskiego. Miejscem formowania i szkolenia był obóz wojskowy w pobliżu syryjskiego miasteczka Homs. 14 kwietnia z Paryża przez Marsylię wyruszyła do Syrii kadra organizacyjna brygady w składzie 32 oficerów i 29 szeregowych. Pierwszy transport ochotników, liczący 24 oficerów i 536 szeregowych, dotarł z Pireusu do Bejrutu 15 maja 1940 r. na pokładzie polskiego statku „Warszawa". W czerwcu brygada liczyła już 485 oficerów i 3437 szeregowych.

Obok uczestników kampanii wrześniowej byli też ochotnicy, którzy przedarli się do Syrii spod okupacji niemieckiej i sowieckiej, a także Polacy z Azji, Francji, Południowej Afryki, uciekinierzy z niemieckich obozów jenieckich oraz byli żołnierze Legii Cudzoziemskiej. Wedle wiersza Mariana Hemara „Karpacka Brygada":

Myśmy tutaj szli z Narwiku.
My przez Węgry, a my z Czech,
Nas tu z Syrii jest bez liku,
A nas z Niemiec zwiało trzech.
My przez morza, a my z Flandrii.
My górami, my przez las,
A teraz wszyscy do Aleksandrii,
Teraz my już wszyscy wraz. [...]

Gdy polska jednostka szkoliła się jeszcze w Syrii, Francja skapitulowała przed Niemcami. Pułkownik Kopański nakazał ewakuację do kontrolowanej przez Brytyjczyków Palestyny i 27 czerwca 1940 r. z Homs wyruszył pierwszy transport, a 2 lipca ostatni. W październiku 1940 r. brygadę przeniesiono do Egiptu. Większa liczba oficerów niż etatów oficerskich spowodowała, że dowódca utworzył Legię Oficerską pod dowództwem ppłk. Jana Pindeli-Emisarskiego, a następnie płk. Adama Eplera, jednego z bohaterów bitwy pod Kockiem w październiku 1939 r.

12 stycznia 1941 r. jednostka zmieniła nazwę na: Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich i wedle

eprasa.pl 65c12f148d

etatów brytyjskich miała się składać z dowództwa, trzech batalionów piechoty, pułku artylerii lekkiej, dywizjonu artylerii przeciwpancernej i pułku ułanów. Stan etatowy liczył 348 oficerów i 5326 żołnierzy. Stan ewidencyjny był mniejszy i wynosił 355 oficerów i 4601 szeregowców. Gdy święcono sztandary SBSK oraz Legii Oficerskiej ufundowane przez Polaków mieszkających w Palestynie, gen. Kopański powiedział żołnierzom: ***Niech te sztandary będą dla was świętym symbolem. Niech towarzyszą wam ku Wolnej Polsce.***

Wkrótce Brytyjczycy postanowili skierować polską jednostkę do obrony Tobruku.

Pustynia i morze

W połowie sierpnia 1941 r. wojska brytyjskie znajdowały się na północy Afryki w położeniu krytycznym. Niemcy i Włosi stali u wrót Egiptu, a siły obrońców Tobruku były już wyczerpane czteromiesięcznym oblężeniem przez cztery dywizje włoskie i niemiecką 15. DPanc. Poddanie twierdzy i portu dałoby zaś wrogowi znaczne ułatwienia w transporcie uzupełnień i zaopatrzenia dla wysuniętych na wschód wojsk Rommla i dowódcy wojsk włoskich Ettorego Bastica.

Dlatego w drugiej połowie sierpnia – kiedy położenie Księżyca sprzyjało przybijaniu statków do portu w Tobruku dzięki korzystnym pływom morskim – wzmocniono garnizon twierdzy polską Samodzielną Brygadą Strzelców Karpackich oraz czechosłowackim 11. Batalionem Piechoty. We wrześniu Australijczyków, którzy stracili w walkach ponad 3 tys. żołnierzy, wspomogła jeszcze brytyjska 70. Dywizja Piechoty.

Oddziały SBSK przypływały do Tobruku między 19 a 28 sierpnia 1941 r. 4863 żołnierzy polskich zastąpiło część Australijczyków z 9. Dywizji Piechoty. O lądowaniu tak pisał żołnierz: ***Okręty stanęły daleko od brzegu na kotwicy. Wśród ogólnej ciemności ustawiali na pokładzie okrętu wojsko oddziałami, liczyli i kazali złazić po wysokiej, zwykłej sobie drabinie wprost w morze. Dolny koniec drabiny oparty był o podłogę płaskodennej barki... trzeba było złazić wraz z plecakiem, z przynależnościami i karabinem. Jednak i to przeszło szczęśliwie. Żaden żołnierz nie wpadł do wody ani żaden karabin czy hełm nie został zagubiony.*** I o samym Tobruku: ***Miasto w gruzach, port z zatopionymi wrakami okrętów i statków, miasto bez żywej duszy, otoczone płową pustynią i dookoła tuż nieprzyjaciel i... śmierć. To jedna strona, druga to morze.***

I tak karpatczycy znaleźli się na Pustyni Libijskiej, która zajmuje 2 mln km kw. i jest największą częścią całej Sahary – sześciokrotnie przewyższa terytorium dzisiejszej Polski. Wielkie morze piasku wzdłuż granicy egipsko-libijskiej jest niemal bezludne. Wyjątkiem są nieliczne oazy. Skupiska ludzkie występowały tylko na wybrzeżu. Jedynymi większymi miastami były porty Tobruk i Benghazi.

Na pustyni żyją śmiertelnie niebezpieczne zwierzęta: jadowite, dochodzące do kilkudziesięciu centymetrów żmije rogate i agresywne efy piaskowe oraz najbardziej niebezpieczny ze wszystkich skorpionów – skorpion saharyjski. Gdzieniegdzie na żwirowiskach rosną krzaki i drzewa, jeszcze rzadziej przemyka kilkudziesięciocentymetrowa agama – jaszczur zwany biczogonem egipskim, a w jego norach ratuje się przed upałem skowron pustynny, biegający rankiem i popołudniem za chrząszczami. W latach 40. życie utrudniały żołnierzom roje much, nie tylko dokuczliwych, lecz także groźnych, bo roznoszących dezynterię.

Ruchome piaski tworzą wydmy o wysokości sięgającej 150 m oraz żwirowe pustkowia. Podczas burz piaskowych, zwanych chamsinami, temperatura w ciągu kilku godzin wzrasta o 20 st. C. Wiatr i spiekota fatalnie wpływały na ludzi: prawo Beduinów pozwalało zabić żonę po pięciu dniach chamsinu. Żołnierze oddychali podczas burzy przez zaimprowizowane maski przeciwpyłowe. Wiatr przewracał ciężarówki i słupy telefoniczne, a wirujące cząsteczki piasku zakłócały pracę kompasu. Z powodu piasku zacinały się zamki karabinów, piasek zapychał drogi oddechowe i powodował zapalenie błon śluzowych oczu. Silniki pojazdów zużywały się przez piasek dużo szybciej niż w klimacie umiarkowanym. Gąsienice czołgów nagrzewały się i pękały. Chmury pyłu wzbijane podczas ruchu pojazdów często demaskowały ruch wojsk.

Karpacki Pułk Artylerii wspomógł australijską brygadę piechoty już 22 sierpnia. Ostrzeliwał również pozycje nieprzyjaciela na strategicznym wzgórzu Medauar. Pięć dni później Pułk Ułanów Karpackich zastąpił hinduski 18. Pułk Kawalerii. Pozycje znajdowały się na skraju zachodniego odcinka obrony – od skalistego jaru Wadi es Sehel aż do morza. Następnie dwa polskie bataliony piechoty oraz kompania ciężkich karabinów maszynowych zluzowały jednostki australijskie na kolejnych odcinkach po 9 km każdy.

Jeszcze Włosi otoczyli twierdzę trzema liniami obronnymi, umacniając je fortami. Pierwsza – z polami minowymi, rowem przeciwczołgowym i zasiekami z drutu kolczastego – biegła 15 km od portu, otaczając go półkolem, którego ramiona dobiegały do wybrzeża. Za linią znajdowały się stanowiska artylerii przeciwpancernej i polowej. Kolejna linia biegła w odległości 5–6 km od portu. Ostatnią wytyczono 2 km od portu, aby osłaniać ewentualną ewakuację. Na przełomie kwietnia i maja po trzech dniach zaciętych walk Niemcom i Włochom udało się zdobyć wzgórze Medauar – dogodny punkt obserwacji i ostrzału stanowisk aliantów.

WC pod ostrzałem

Dramatyczne dni przeplatały się z chwilami pogodnymi. Tadeusz Maj (rocznik 1916), weteran kampanii wrześniowej, wspominał:

Obsadzaliśmy tzw. oko – wysuniętą placówkę, odległą o 1200 m od naszych głównych pozycji i 600 m od Niemców. Stąd najczęściej wychodziły patrole idące na przedpole, gdyż było stąd najbliżej do wroga. Byłem dowódcą drużyny w 4. kompanii w stopniu kaprala. Dowodziłem 18 żołnierzami. [...]

Byliśmy bardzo dobrze uzbrojeni. Mieliśmy m.in. sześć pistoletów maszynowych, cztery ciężkie i cztery lekkie karabiny maszynowe i dwa działka pancerne. Gdyby nas zaatakowano, mieliśmy małe szanse na pomoc z tyłu, dlatego potrzebowaliśmy silnego uzbrojenia. Kiedy Niemcy strzelali do nas, obserwowaliśmy przez lornetkę,

eprasa.pl 65c12f148d

Czołg Panzer II zniszczony pod Tobrukiem FOT. WIKIWAND

skąd unosi się kurz, czyli skąd prowadzony jest ogień. Tam wycelowywaliśmy nasze karabiny maszynowe, wstrzeliwaliśmy się, zamykaliśmy ustawienie i w nocy mogliśmy strzelać na ślepo. Było takie niepisane prawo: codziennie od zmierzchu do 10.30 w nocy wstrzymywano po obu stronach ogień, bo w tym czasie dowożono zaopatrzenie. Szanowaliśmy to i my, i oni. Ale równo o 10.30 oni zawsze otwierali do nas ogień. [...]

Pozycje odbieraliśmy od Australijczyków. W połowie drogi między ich stanowiskami a Niemcami był ustęp. Ktoś go tam kiedyś wybudował i tak został. Jeden z Australijczyków przypiął sobie na hełmie białą chusteczkę i bez karabinu, z rękoma do góry poszedł do tego sracza. I Niemcy przestali strzelać! Facet posiedział tam kilka minut i wrócił. Śmiechu było co nie miara. Tymczasem po dziesięciu minutach jeden z Niemców zrobił to samo! Też przypiął do hełmu chustkę, podniósł ręce do góry i poszedł do tego wychodka. No to myśmy też przestali strzelać! Wojna wojną, a człowiek musi... [śmiech]

Australijczycy o wszystko się zakładali. Mieliśmy puszki z proszkiem od pcheł, bo było ich od jasnej cholery. Ale ten proszek był tak stary, że gdy posypało się koc czy swoją dziurę, to pchły omdlewały, ale po dwóch godzinach się budziły i jeszcze bardziej gryzły. Australijczycy zakładali się, kto zestrzeli z thompsona najwięcej takich ustawionych w rzędzie puszek. Zakładano się najczęściej o jedną albo dwie butelki piwa, bo dowożono nam je sanitarką. Co dwa–trzy tygodnie dostawaliśmy dwie, a czasem trzy butelki piwa i paczkę papierosów. Tylko, że to piwo było ciepłe... A Australijczycy zabierali nam nasze furażerki i dawali nam swoje kapelusze. Na przepustce w Tel Awiwie zawsze chodzili pijani. No ale im wypłacano o wiele więcej od nas.

Kwartał z okładem trwały walki pozycyjne pod Tobrukiem. Za dnia pozycje polskie ostrzeliwała niemiecka i włoska artyleria, a nocą karabiny maszynowe i moździerze. *W Tobruku dzień był dla nas nocą, a noc dniem – wspominał dowodzący batalionem ppłk Józef Sokol. – Od wieczora do rana nikt nie mógł oka zmrużyć. To okres największej baczności, w którym jedna i druga strona starała się zasięgnąć języka i w którym można się było spodziewać wszystkiego. Niespodzianka i zasadzka czaiły się w ciemnościach nocy.*

W walkach patroli i zdobywaniu jeńców celował nasz rodak, który potrafił łączyć niebywałe zalety umysłu i charakteru z niezwykłym męstwem. To Adolf Bocheński, służący wówczas w stopniu sierżanta podchorążego. W rozkazie dziennym brygady tak opisano jego dwa wyczyny: *10 września, będąc na patrolu bojowym pod ogniem ckm i moździerzy, zabrali ze strz. z cenz. Erdmanem z pola minowego zabitego podchor. Pieniążka i wynieśli go, dołączając do reszty patrolu. Wykazał wiele zimnej krwi, odwagi i koleżeństwa. Dnia 15 września na patrolu we dwóch ze strz. (Stanisławem) Jakubasem, zabierając ze sobą potrzebny materiał, podpalili i spalili w odległości 150 m od nieprzyjaciela, mimo krzyżowego ognia ckm, moździerzy i działek, nieprzyjacielską wieżę obserwacyjną. Wykazał duże opanowanie i odwagę. Bierze udział w każdym patrolu. Odznacza się niebywałą odwagą i pogardą śmierci.*

Boje w wyłomie

Najdłuższy i najtrudniejszy odcinek obrony brygada przejęła od australijskiej 26. Brygady Piechoty 3 października 1941 r. Długość odcinka wynosiła 20 km, co stanowiło dwie piąte całości linii. Znajdował się tu wyłom w pozycjach obrońców, dokonany przez Niemców już w maju, nad którym wznosiło się wzgórze Medauar. Od dysponującego wielką siłą ognia wroga dzieliło naszych żołnierzy od 200 do 800 m. Wśród żołnierzy podporządkowanych Kopańskiemu byli też Australijczycy, Brytyjczycy i Czesi. Z końcem października ugrupowanie SBSK przedstawiało się następująco: 2. batalion – południowy narożnik wyłomu; Pułk Ułanów Karpackich – środek wyłomu; 3. batalion – północny narożnik wyłomu; czeski 11. Batalion ppłk. Karela Klapalka – szosa Tobruk–Derna; oddziały australijskie – stanowiska nad morzem. Pułki brytyjski i polski zapewniały wsparcie artyleryjskie.

Wypady w kierunku nieprzyjacielskich pozycji były niebezpieczne zarówno z powodu wspomnianego już ostrzału dział za dnia i broni maszynowej nocą, jak i pól minowych. Najgroźniejsza była „jumping jack" – mina szrapnelowa skacząca na wysokość piersi żołnierza i tam wybuchająca. Wypady dostarczały jednak jeńców, a ci cennych informacji.

Wieczorem 11 października 1941 r. dowódca pułku ułanów, mjr Władysław Bobiński, rozkazał dowódcy 2. szwadronu rtm. Antoniemu Smodlibowskiemu wykonanie wypadu dwoma plutonami, aby sprawdzić informacje o placówkach nieprzyjaciela na grzbiecie 22 i nad brzegiem morza. Pluton dowodzony przez Smodlibowskiego w czasie podchodzenia do grzbietu dostał się pod ogień i ułani ruszyli do ataku, rzucając granaty, wypierając wroga i biorąc jednego jeńca. Akurat wtedy zagrały armaty – nasze, a następnie wrogie – a jeniec został zastrzelony podczas ucieczki. Major nakazał więc 2. szwadronowi następny wypad, który przeprowadzono nocą z 12 na 13 października. Grzbiet 22 został zdobyty w ataku na bagnety, rozbito całą kompanię włoską, a od jej wziętego do niewoli podoficera uzyskano istotne wiadomości o niemiecko-włoskim ugrupowaniu. Rotmistrz Smodlibowski otrzymał Krzyż Virtuti Militari i brytyjski Military Medal.

Walki w wyłomie były szalenie wyczerpujące. Przed naszymi żołnierzami Australijczycy wytrzymali tu cztery tygodnie. Kiedy nowy głównodowodzący – stojący też na czele 70. Dywizji – gen. Ronald Scobie zapytał w połowie października gen. Kopańskiego, jak długo żołnierze polscy będą mogli tu pozostać, ten zadeklarował pięć tygodni. Tymczasem do kontrofensywy 8. Armii, która przełamała oblężenie w połowie grudnia, Polacy wytrwali w wyłomie tygodni... 10! W listopadzie nasilili nawet akcje patrolowe. Podczas jednej z nich do

eprasa.pl 65c12f148d

niewoli trafił włoski książę Colonna.

13 listopada brygadę wizytował gen. Władysław Sikorski, jedyny aliancki dowódca tak wysokiej rangi, który odważył się dostać do obleganego Tobruku. Dotarł nawet do pierwszej linii. Udekorował naszych żołnierzy Krzyżami Virtuti Militari i Krzyżami Walecznych.

Na Gazalę!

18 listopada 1941 r. 8. armia brytyjska zaczęła ofensywę „Crusader" i po tygodniu odblokowała twierdzę. Odwrót przeciwnik rozpoczął pod koniec pierwszej dekady grudnia. Wtedy to bataliony 2. i 3. zajęły nareszcie wzgórze Medauar. 10 grudnia o godz. 5.30 dowódca 1. kompanii 3. batalionu kpt. Adam Zieliński zatknął tam polską flagę. Biało-czerwona na szczycie upiornego wzniesienia stała się symbolem zakończenia oblężenia Tobruku.

W pościgu za nieprzyjacielem i przełamaniu jego obrony pod Gazalą wzięły także udział polskie oddziały. 15 i 16 grudnia zażarcie walczący karpatczycy zmusili wroga do ustąpienia na swym odcinku natarcia, a 17 grudnia doszli w pościgu do szosy derneńskiej, gdzie – zgodnie z rozkazem – przeszli do obrony. Droga do Cyrenajki została otwarta. Oto jak wspominał walki pod Gazalą plut. Henryk Torbus z 1. batalionu SBSK:

Jest dzień 15 grudnia 1915 r. Nieprzyjaciel leży 3 km przed nami na wzgórzu Carmuset er Regem. O godz. 16.30 długi gwizd. Skok za fałdę [...], suniemy jak lawina, uderzamy ławą, zapominając o niebezpieczeństwie, o zmęczeniu. Nie ma maruderów! Ściskam w garści pistolet i myślę, że przydałby się zwykły karabin z bagnetem. Trzy bunkry zbliżają się w oczach. W głębi widać inne. Jednym plutonem atakujemy linię włoską. Na odległość 20 m Włosi nie wytrzymali. Część powiewa chusteczkami, część ucieka. Tylko obsługa działka Breda uparcie kropi. Jeden wprawdzie podnosi ręce, ale dwu pozostałych nie przestaje strzelać. Rozprawia się z nimi któryś z moich kolegów [...]. Tu stoi cała kompania włoska, poszukująca okazji do poddania się. Nieostrożne strzały zmusiły ich do samoobrony, ale oficerowie zapewniają mnie o pokojowych zamiarach. – Buoni Inglesi – mówią do nas. Odpowiadam im też włoszczyzną. Krzyczę „Avanti!" tylko dlatego, że nie wiem, jak powiedzieć po włosku „Do tyłu!". Składają broń... [...].

Pod Gazalą Polacy wzięli do niewoli 59 oficerów oraz 1634 żołnierzy włoskich i niemieckich. Natomiast w całej kampanii afrykańskiej 1941 r. zginęło siedmiu polskich oficerów i 132 szeregowych. Było to pierwsze polskie zwycięstwo w polu od września 1939 r.

A 7 kwietnia 1942 r. Naczelny Wódz nakazał przeorganizowanie brygady w dywizję. Do 287 oficerów i 3436 szeregowych z SBSK dołączyli rodacy z „nieludzkiej ziemi": 293 oficerów i 6050 szeregowych z ewakuowanej właśnie z ZSRS armii gen. Władysława Andersa. I tak z połączenia SBSK oraz zalążków dwóch dywizji piechoty powstała 3. Dywizja Strzelców Karpackich, a jej dowódcą został gen. Stanisław Kopański. Organizował jednostkę i szkolił jej żołnierzy przeszło rok, by po tragicznej katastrofie gibraltarskiej przejąć funkcję szefa Sztabu Naczelnego Wodza i pełnić ją do 1947 r. Dowództwo dywizji objął zaś gen. Bolesław Bronisław Duch.

3. DSK przeszła we Włoszech cały szlak 2. Korpusu Andersa od zdobycia Monte Cassino w maju 1944 r. do zdobycia Bolonii w roku następnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 65c12f148d

FOT. MAREK LASYK/REPORTER

Świadek historii / Z Mieczysławem Herodem, obrońcą Tobruku, kawalerem Orderu Virtuti Militari

rozmawia Piotr Włoczyk

Broniłem Tobruku

– Dla wszystkich było jasne, jak duża jest stawka, że ta twierdza nie może się poddać. Gdyby Tobruk padł, to droga nad Kanał Sueski stanęłaby dla Włochów i Niemców otworem

PIOTR WŁOCZYK: Jednym z was – obrońców tobruckiej twierdzy z Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich (SBSK) – był wybitny publicysta Adolf Bocheński. Pamięta pan jeszcze tamten nocny rajd?

MIECZYSŁAW HEROD: A jakże, czegoś takiego nie da się zapomnieć! Celem tamtej akcji było zniszczenie wieży obserwacyjnej włoskiej artylerii, która ostrzeliwała nasze pozycje. Adolf Bocheński w nocy przedarł się przez ziemię niczyją na pozycje wroga i razem ze Stanisławem Jakubasem z kościuszkowskich Racławic oblał tę wieżę benzyną i podpalił. Niestety, Adolf Bocheński zginął potem we Włoszech pod Ankoną. Zniszczenie włoskiej wieży obserwacyjnej było głośną sprawą wśród nas, „szczurów Tobruku". Adolf Bocheński wspaniale upiększył swoim rajdem historię obrony tej twierdzy.

eprasa.pl 65c12f148d

Oczywiście nie on jeden spośród polskich obrońców Tobruku ma na swoim koncie akcję rodem z Hollywood...

To prawda. Głośnym echem odbił się wśród nas również wyczyn Antoniego Ruschilla, który przebrał się w beduiński strój i obszedł tyły wroga, robiąc rekonesans. Oczywiście zrobił to w nocy. Umiał chyba z 20 słów po arabsku. Mijając nieprzyjacielskich żołnierzy krzyczał do nich jakieś pochwalne słowa, przez co Niemcy i Włosi nie zwracali na niego uwagi. Ruschill bezpiecznie wrócił za nasze linie. Jego informacje nie były może przełomowe dla przebiegu walk o Tobruk, ale za to jak wzmacniały morale obrońców!

Obrońcy Tobruku FOT. DOMENA PUBLICZNA

Nocne akcje zaczepne były chyba w czasie tamtego oblężenia standardem?

Obrona Tobruku była pod tym względem wyjątkowa, noce faktycznie były bardzo pracowite. Wypady po ciemku na ziemię niczyją „po jeńca" zdarzały się dosyć często. To zresztą zapoczątkowali już Australijczycy, których my zluzowaliśmy. Nie czekaliśmy bezczynnie za swoją linią obrony, żeby odeprzeć atak nieprzyjaciela. Nocne wypady nie dawały Niemcom i Włochom spokoju, a my dzięki ofensywnej postawie czuliśmy się lepiej pod względem psychicznym – nie tylko bowiem się broniliśmy, lecz także kąsaliśmy wrogów.

Jeżeli chodzi o wypady „po jeńca", to w przypadku Włochów nie było to zbyt trudne: włoscy żołnierze niemal garnęli się do niewoli, oni naprawdę nie chcieli walczyć [śmiech]. Między dwiema liniami – broniących i oblegających – był szeroki pas ziemi niczyjej. Jedna i druga strona zakładały tam miny, między którymi wiodły specjalnie wytyczone, wąskie ścieżki. My oznaczaliśmy te ścieżki taśmami. Każdy łatwo może sobie wyobrazić, jak niebezpiecznie było chodzenie między minami nocą. Podczas nocnych patroli trzeba się było kurczowo trzymać tych taśm, inaczej groziło rozerwanie na strzępy. Zdarzały się niestety takie przypadki. Pierwszym polskim żołnierzem, który wyleciał w Tobruku na własnej minie, był podchorąży Pieniążek. To była u nas głośna sprawa i doskonale pamiętam to nazwisko. Podchorąży Pieniążek został potem odznaczony pośmiertnie Orderem Virtuti Militari.

Nawiasem mówiąc, pan również otrzymał ten order, ale nie za walkę w Afryce, tylko za niezwykły wyczyn we wrześniu 1939 r.

Pod Pszczyną rozbiłem pięć niemieckich samochodów pancernych. Byłem działonowym na armacie francuskiej 75 mm. Niemcy zaskoczyli nasze wojsko zgrupowane pod Pszczyną i zaatakowali nas od boków. Ja miałem wtedy dużo szczęścia z ustawieniem – miałem nacierających Niemców jak na widelcu. Pewnie udałoby się rozbić jeszcze więcej pojazdów pancernych, gdyby nie problem z amunicją.

Wróćmy do Afryki. Winston Churchill nieprzypadkowo w czasie ośmiu miesięcy obrony Tobruku codziennie rano domagał się informacji na temat sytuacji w twierdzy. Zdawaliście sobie wtedy sprawę, że wasza klęska oznaczałaby katastrofę dla aliantów?

Dla wszystkich było jasne, jak duża jest stawka, że ta twierdza nie może się poddać. Gdyby Tobruk padł, to droga nad Kanał Sueski stanęłaby dla Włochów i Niemców otworem. Włosi przygotowali nawet medal dla zdobywców kanału! Gdyby udało im się zrealizować ten plan, to wojna mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej: ten niezwykle ważny dla Brytyjczyków szlak wodny zostałby przecięty, a tym samym siły państw Osi znalazłyby się na progu bogatego w ropę Bliskiego Wschodu. Plotka głosiła nawet, że Włosi byli tak pewni siebie, że przywieźli ze sobą białego konia, na którym Mussolini miał odbierać paradę w Kairze...

W tamtym okresie byliście jedynymi polskimi żołnierzami, którzy walczyli w regularnych działaniach zbrojnych z niemieckimi wojskami lądowymi. O motywację chyba nie muszę pana pytać?

Nie, nie było z tym problemów [śmiech]. Tym bardziej że w końcu mieliśmy uzbrojenie równorzędne Niemcom, a nie tak jak w Polsce – my na piechotę albo konikiem, a oni zmotoryzowani. I wtedy, pod Tobrukiem, okazało się, że nie tak łatwo pokonać polskiego żołnierza.

Aż do Tobruku Wehrmacht wydawał się niezwyciężony: pod jego ciosami najpierw padła Polska, po niej Francja, latem i jesienią 1941 r. Niemcy szli jak burza przez Związek Sowiecki. Dopiero pod Tobrukiem niemieckie siły lądowe po raz pierwszy zostały powstrzymane. Choć oczywiście nie była to zasługa samych Polaków. „Szczurami Tobruku" byli też m.in. Australijczycy, Brytyjczycy, Czechosłowacy, Hindusi...

Pewnie niejeden czytelnik może się dziwić, dlaczego dumny obrońca Tobruku mówi o sobie per „szczur"...

To wszystko przez Goebbelsa [śmiech]. Obiecywał on Niemcom, że Wehrmacht powybija nas jak szczury. Tę nazwę przyjęli Australijczycy, robiąc na złość niemieckiej propagandzie, a gdy my pojawiliśmy się w Tobruku, przejęliśmy po nich to miano. Niewtajemniczeni w ten temat mogą się dziwić, że ktoś chciałby się nazywać szczurem, ale dla nas, obrońców Tobruku, jest to powód do dumy.

Jeśli już mówimy o propagandzie niemieckiej, to trzeba tu jeszcze koniecznie wspomnieć o pewnym bardzo ciekawym zdjęciu, które ukazało się kiedyś w jednej z niemieckich gadzinówek. Zdjęcie to było ilustracją opiewającą wyczyny Afrika Korps. Widać było na nim żołnierzy niemieckich na pustyni. W tle stała studnia, a na niej napis (po polsku):

eprasa.pl 65c12f148d

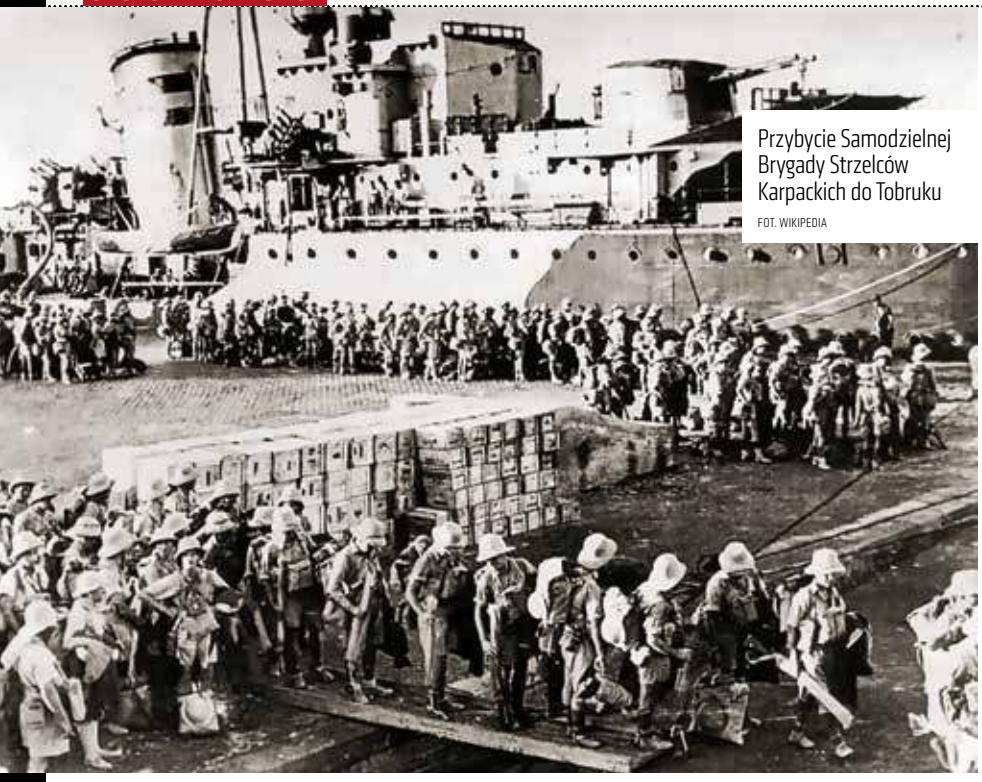

Przybycie Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich do Tobruku

FOT. WIKIPEDIA

„Woda do picia" [śmiech]. W ten sposób Niemcy przez przypadek przyznali, że Polacy też walczą w Afryce Północnej. To zdjęcie było potem rozchwytywane w okupowanej Polsce.

Co było gorsze: upał czy Niemcy?

Z pogodą nie było aż takiej tragedii. Gdy przybyłem do Tobruku – 19 sierpnia 1941 r. – najgorsze upały były za nami. Tobruk to miasto portowe, więc wiatr znad morza łagodzi do pewnego stopnia skwar. Gorzej, jeżeli na Saharze wieje znad lądu... Nawet nie tyle gorąc jest wtedy najgorszy, ile insekty, które przywiewa ze sobą wiatr. Robactwo wchodzi wszędzie, ciężko jest się potem tego pozbyć.

Właściwie to gorzej od upałów w Tobruku wspominam... ulewy, które przyszły w październiku. Przez te ulewy doszło nawet u nas raz do tragedii: jeden z czeskich żołnierzy utopił się, gdy wpadł do jakiejś zalanej pieczary.

We wspomnieniach obrońców Tobruku często przewija się motyw bardzo mało urozmaiconej, męczącej wręcz diety. Panu też mocno dawało się to we znaki?

Gdyby nie inwencja twórcza naszych kucharzy, to naprawdę ciężko byłoby wytrzymać tę dietę [śmiech]. Anglicy dawali nam konserwy wołowe, z Kanady mieliśmy śledzie w sosie pomidorowym, a z Australii mleko w puszkach. Nigdy nie zapomnę Władzia z Warszawy, świetnego kucharza. Konserwy rybne, po tym, jak już się nam znudziły, mieszał maszynką do mięsa ze słonymi biszkoptami i robił z tego klopsy, które potem smażył. Bez Władzia ciężko byłoby to przetrzymać [śmiech].

SBSK pojawiła się w Tobruku, żeby zluzować Australijczyków. Jak pan wspomina pierwsze chwile w tej twierdzy?

Na pewno kojarzy pan powiedzenie „egipskie ciemności". Coś w tym jest... Nic, ale to absolutnie nic nie było widać, gdy przypłynęliśmy do Tobruku. To był 19 sierpnia. Transporty z żołnierzami i zaopatrzeniem dopływały do Tobruku tylko w bezksiężycowe noce, żeby uchronić się przed atakami lotnictwa nieprzyjaciela. Nie tylko chodziło o Luftwaffe, lecz także o samoloty włoskie. Oni też dawali nam „szkołę". Wielu Polaków zginęło od włoskich bomb.

Australijczycy po pięciu miesiącach mieli już dosyć Tobruku. Pamiętam, że gdy wypływali, to zostawiali nam swoje trepy wojskowe i bardzo zadowoleni zakładali buty sportowe. Mieli dość tego miejsca. To byli wszystko ochotnicy, odważni ludzie. Niemcy się ich obawiali, chociaż to była sama piechota. Artylerię zapewniali im Brytyjczycy. Po czterech miesiącach, gdy w końcu za sprawą ofensywy brytyjskiej udało się nam wyswobodzić z Tobruku, rozumiałem ich radość – też miałem już serdecznie dosyć tej twierdzy...

Droga, którą musieli pokonać polscy żołnierze, żeby znaleźć się w szeregach SBSK, była bardzo długa i kręta. Jak to wyglądało u pana?

9 kwietnia 1940 r. wyszedłem z mojej rodzinnej miejscowości w Małopolsce. Wraz z dwoma kolegami przeszliśmy – bez przewodnika! – przez Muszynę i dalej przez Słowację przedostaliśmy się na Węgry. Ten etap przeszliśmy na dziko. Od Budapesztu wpadliśmy już w oficjalny kanał przerzutowy. Przez Ateny trafiłem do Syrii. Nigdy nie podejrzewałem, że mogę dostać się na Bliski Wschód. Wyszedłem przecież z domu z zamiarem dostania się do Francji, uczyłem się już nawet podstaw francuskiego, ćwiczyłem śpiewanie „Marsylianki"! [śmiech]

Początek formowania SBSK wiąże się z upadkiem Francji. Poważnie braliście pod uwagę możliwość internowania na Bliskim Wschodzie?

Wieść o kapitulacji Francji przyszła do nas, gdy byliśmy w Homs w Syrii. Nasza brygada dopiero się organizowała, było nas prawie 4 tys. Pamiętam, że zarządzono wtedy zbiórkę brygady i odśpiewaliśmy hymn. Bardzo wielu żołnierzy płakało, to był dla wszystkich wielki szok – przecież to w oparciu o Francję Polska miała odzyskać niepodległość.

Generał Eugène Mittelhauser, dowódca francuskich sił na Bliskim Wschodzie, który podporządkował się nowym kolaboracyjnym władzom, powiedział, że Polacy pójdą za druty – zostaną internowani. Wydał nawet taki rozkaz. Ostatecznie jednak Francuzi nie zatrzymywali nas siłą. Wycofaliśmy się do Palestyny i tam, nad jeziorem Genezaret, Brytyjczycy pięknie nas przywitali. Przywieźli nam herbatę z mlekiem. Ja zresztą do dzisiaj tak piję herbatę [śmiech].

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wywiad przeprowadzony został w 2016 r.

Mieczysław Herod
(1918–2018) był żołnierzem Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, walczył m.in. w Tobruku i pod Monte Cassino. Za swoją postawę w czasie bitwy pszczyńskiej (1–2 września 1939 r.) został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

eprasa.pl 65c12f148d

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA „CUD NAD WISŁĄ. WOJNA POLSKO-BOLSZEWICKA"
J. WIELICZKA-SZARKOWA

CUD NAD WISŁĄ W BOGATEJ WARSTWIE ILUSTRACYJNEJ.

Bogato ilustrowany dokumentalnymi zdjęciami album przedstawia przebieg i najważniejsze wydarzenia wojny polsko-bolszewickiej z lat 1919-1921, począwszy od budzącego trwogę marszu bolszewików przez obecne tereny Kresów, poprzez jej centralny punkt zwrotny – Bitwę Warszawską, aż po kończący wojnę traktat w Rydze z marca 1921 roku. Przedstawiono tu sylwetki bohaterów tej wojny, wielkich dowódców i strategów, formacje wojskowe ścierające się w walce, ukazano kluczowe decyzje polityczne i militarne oraz wielki szturm do Nieba – duchowe wsparcie modlitewne dla walczącej ojczyzny. Album uzupełnia kalendarium wojny polsko-bolszewickiej.

To kompendium w syntetyczny i całościowy sposób przedstawiające charakter bolszewickiego, komunistycznego zagrożenia dla Polski i całej Europy oraz wielki wysiłek i dzieło całego polskiego narodu, który powstrzymał znaczony zbrodnią i zniszczeniem marsz nieludzkiego barbarzyństwa.

95 zł

oszczędność 49 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 65c12f148d

Tornister z Żyrardowa

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

W toku kampanii północnoafrykańskiej w ręce żołnierzy SBSK wpadła ogromna liczba zdobyczy. Niekiedy dość zagadkowej

Dnia 2 stycznia 1942 r. skapitulowała Bardija, w której zdobyciu mieli udział kanonierzy Samodzielnej Brygady Karpackiej. Polacy wzięli do niewoli 102 żołnierzy państw Osi, przeważnie Niemców. Wśród zdobyczy znalazł się tornister wz. 35 stanowiący element regulaminowego wyposażenia przedwojennego Wojska Polskiego. W latach 60. ubiegłego wieku trofeum przekazane zostało z londyńskiego Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Tornister wykonany jest z drelichu w barwie ochronnej i został wyprodukowany w 1939 r. w Żyrardowie. W tym samym roku zdobyli go zapewne Niemcy. Trafił do magazynów ze zdobyczą wojenną, a w chwili włączenia się Wehrmachtu do walk w Afryce w lutym 1941 r., uznano go za użyteczny element wyposażenia i wydano oddziałom gen. Erwina Rommla. Pasował doskonale do niemieckiego parcianego ekwipunku, zaprojektowanego specjalnie do walk w Afryce Północnej. Wraz z Niemcami znalazł się w Bardiji. Jest to pierwsza hipoteza związana z dziejami tornistra.

Druga łączy go z armią włoską i zdobycznym polskim wyposażeniem bojowym przekazanym przez Niemców swojemu południowemu sojusznikowi. Były wśród nich m.in. słynne karabiny przeciwpancerne wz. 35 Ur konstrukcji inż. Józefa Maroszka, używane przez wojaków Mussoliniego w walkach z Brytyjczykami. Nie można wykluczyć, że Włosi otrzymali także elementy polskiego oporządzenia bojowego, które następnie zabrali do Afryki. Na tym można byłoby zakończyć rozważania dotyczące żyrardowskiego tornistra, gdyby nie pewien budzący wątpliwości szczegół. Otóż w kieszeniach, przeznaczonych na brakujące usztywniające deseczki, odnaleziono w 2009 r. radziecką broszurę, która bez wątpienia tkwiła tam od czasów wojny. Zawiera ona przemówienie przewodniczącego rady komisarzy ludowych (premiera) ZSRS Wiaczesława Mołotowa, wygłoszone w moskiewskim Teatrze Wielkim w 1937 r., a więc w 20. rocznicę wybuchu rewolucji październikowej.

Kto i w jakich okolicznościach schował ją do tornistra? Czy stało się to przed wojną, czy też może niemiecki zdobywca tornistra zabrał go ze sobą na kampanię przeciwko Sowietom, a potem przerzucono go na front afrykański? Może wziął broszurę na pamiątkę? Wydaje się to jednak mało prawdopodobne. Pod uwagę należy brać jeszcze inną hipotezę. Broszurę włożono już po zdobyciu tornistra w Bardiji. Być może była ona własnością żołnierza, który wraz z Armią Andersa (Polskie Siły Zbrojne w ZSRS dowodzone przez gen. Władysława Andersa, 1941–1942) ewakuował się z ZSRR w 1942 r. Na Bliskim Wschodzie doszło do połączenia tej formacji z SBSK, a w maju 1942 r. powstała 3. Dywizja Strzelców Karpackich. Tornister, traktowany jako ciekawostka, mógł trafić w drodze wymiany do nowego właściciela lub też uczestnik bitwy o Bardiję otrzymał w prezencie pamiątkę z ZSRS. Jakie były rzeczywiste losy tornistra, zapewne nigdy nie uda się już ustalić. ©℗

eprasa.pl 65c12f148d

Mundury „szczurów Tobruku”

Poza sukiennym battledressem Polacy walczący w Afryce używali brytyjskich lekkich kompletów tropikalnych w kolorze piaskowym (Khaki Drill). Wykonywano je ze 100-procentowej bawełny lub przewiewnej tkaniny airtex, która zapewniała doskonały komfort noszenia w gorącym klimacie. Stosowano wkładane przez głowę koszule (Bush Shirt) z przednim rozcięciem zapinanym na guziki oraz klasyczne bluzy z czterema kieszeniami, czyli Bush Jacket (na zdjęciu, żołnierz z prawej strony). Obie miały wykładany kołnierz, długie rękawy i nosiło się je wpuszczone w spodnie. Regulamin brytyjski zezwalał ponadto, aby ostatni guzik kołnierza pozostawał niezapięty, a rękawy podwinięte, co polskim żołnierzom wydawało się z początku rażącym brakiem dyscypliny. Pustynne upały szybko jednak zweryfikowały to nastawienie i brytyjski fason zyskał w tym względzie pełną akceptację.

Używano całej gamy spodni krótkich i długich. Do tych pierwszych stosowano elastyczne pończochy bez stóp w kolorze zgniłozielonym, które zakładano na właściwą skarpetę. Na niektórych zdjęciach widać dodatkowo spinacze zabezpieczające wnętrze buta przed dostaniem się wszędobylskich kamieni lub piasku. Do długich spodni zakładano spinacze albo owijacze. Specyficzną odmianą spodni były tzw. Bombay Bloomers o szerokich nogawkach umożliwiających ich swobodne podwinięcie i zapięcie na odpowiedniej wysokości. Poza skórzanymi trzewikami używano także butów zamszowych. W chłodne dni, a zwłaszcza nocą stosowano regulaminowe płaszcze, ale bardzo popularne były także wełniane swetry ze ściągaczami i charakterystycznym wycięciem „w serek” oraz skórzane serdaki – Jerkins Leather. ©℗

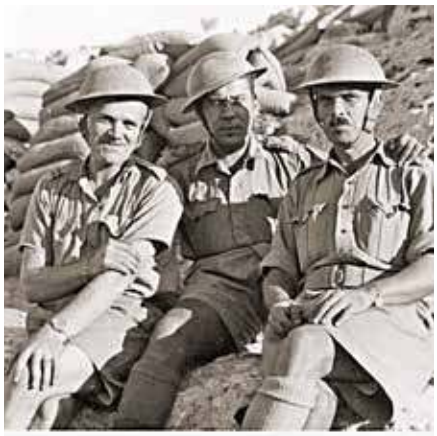

Zdobycze

Podczas walk w północnej Afryce gen. Kopański, opisując sytuację na najbardziej newralgicznym odcinku polskich pozycji pod Tobrukiem czy wokół wzgórza Medauar, wspominał: „Sprzęt uzbrojenia w pierwszej linii był bardzo liczny i stanowił zupełną mozaikę typów. Były tam na przykład c.k.m. Bren [rkm Bren – przyp. M.M.], Spandau, Breda, Schwarzlose, Fiat i inne”. We wrześniu 1941 r. Karpacki Pułk Artylerii otrzymał kilkanaście włoskich dział kalibru 75, 105 i 149 mm. Także w batalionie przeciwpancernym znalazła się włoska broń – armaty kal. 47 mm. Używano także niemieckiej. Jedna z baterii dywizjonu przeciwpancernego brygady została uzupełniona kilkoma niemieckimi armatami kal. 37 mm, zdobytymi podczas zaciętych walk pod Tobrukiem, w rejonie Belhammed-El Duda na początku grudnia 1941 r. Ceniono także doskonałe, zasilane taśmowo uniwersalne karabiny maszynowe MG 34, nazywane we wspomnieniach „Spandau”. ©℗

Polacy ze zdobycznym włoskim działkiem kal. 20 mm

Karabinki karpatczyków

W zbiorach MWP w Warszawie znajduje się liczny zbiór pamiątek po karpatczykach. Są wśród nich m.in. włoskie karabinki. Jeden z nich ma z lewej strony kolby okolicznościową aluminiową tarczkę z napisem: „TOBRUK/10. XII.1941/ZK”. ZK to inicjały zdobywcy, Zenona Kalmana. Karabinek nosi standardowe oznaczenia: na komorze nabojowej wybito datę 1938/XVI (rok produkcji i data według kalendarza faszystowskiego – 16. rok od przejęcia władzy przez Benito Mussoliniego), nazwę wytwórni BERETTA GARDONE oraz numer seryjny F 1156. Pierwotnie broń była wyposażona w składany pod lufę bagnet, ale zdobywca poddał ją zabiegom „upiększającym”; poza usunięciem bagnetu skrócił i wyprofilował przednią część drewnianego łoża, zdjął tylny bączek (pierścień mocujący lufę z łożem) wraz z bocznym strzemiączkiem do pasa. Chwyt naciął w drobną kratkę, a z kolby usunął poprzeczkę do zaczepienia pasa nośnego. Od spodu lufy zostało przylutowane nowe strzemiączko do pasa, drugie natomiast wkręcono w spód kolby. Inny karabinek, zbudowany z części pochodzących z broni zarówno włoskiej, jak i niemieckiej, ma tabliczkę z wizerunkiem szczura, datą 6 XII 1941 i dedykacją: Kwat. B.S.K. Kpt. Kalińskiemu/Tobruk. Jest bogato ornamentowany, wyobrażono m.in. sfinksa, piramidy i palmy, a także zające. Z lewej strony komory zamkowej wyryto szczura, będącego symbolem SBSK, a z prawej stylizowany napis „Tobruk”. ©℗

eprasa.pl 65c12f148d

1941–1943 / Druga wojna światowa na Saharze

Makabryczna piaskownica

Widok osnutego dymem Tobruku od strony atakujących wojsk FOT. WIKIWAND

Maciej Rosalak

Wojna ta mogła się wydawać jakąś zabawą w wielkiej piaskownicy, gdzie najpierw jedni chłopcy gonią drugich w tę, a potem ci drudzy gonią pierwszych z powrotem. Tysiące trupów znaczyły te gonitwy...

Po upadku Francji, latem 1940 r., Mussolini marzył o zbudowaniu nowego rzymskiego imperium typu „mare nostrum". Brytyjskie posiadłości w Egipcie i Sudanie, oddzielające Libię (Trypolitanię) od Włoskiej Afryki Wschodniej (Somali Włoskie, Erytrea, Abisynia), stanowiły naturalny cel ataku. Ze strategicznego punktu widzenia zajęcie Egiptu i opanowanie Kanału Sueskiego otwierało drogę do bogatego w ropę Bliskiego Wschodu oraz dawało kontrolę nad szlakami morskimi biegnącymi przez Morze Czerwone do Oceanu Indyjskiego. Byłby to dotkliwy, a może nawet śmiertelny cios w imperium brytyjskie.

Toteż we wrześniu 1940 r. ćwierć miliona żołnierzy Mussoliniego przekroczyło granicę libijsko-egipską, a kolejne 300 tys. wlało się do Somali Brytyjskiego i Sudanu. Jednak Włosi po wtargnięciu na 100 km w głąb Egiptu stracili zapał, jakby przestraszyli się rozmachu własnej ofensywy i zatrzymali wojska. W styczniu 1941 r. kolumny brytyjskiej 7. Dywizji Pancernej przemierzały Pustynię Libijską, zajmując Cyrenajkę bez większego oporu ze strony przeciwnika.

Leżący ponad 100 km od Aleksandrii, a ok. 20 km na zachód od granicy egipsko-libijskiej, ufortyfikowany Tobruk Włosi oddali po dwudniowych zaledwie szturmach Brytyjczyków. 27 tys. żołnierzy włoskich poszło do brytyjskiej niewoli, a w ręce zwycięzców trafiło 208 dział, 23 czołgi oraz 200 innych pojazdów. Łącznie w Cyrenajce poddało się 130 tys. włoskich żołnierzy. Nie opór żołnierzy Mussoliniego, ale konieczność uzupełnienia zapasów i zmęczenie niewielkich w sumie wojsk brytyjskich zmusiły je do zatrzymania się ok. 400 km od Trypolisu.

Wojna na Saharze dopiero się jednak zaczynała. W latach 1941–1943 wojska parokrotnie przemieszczały się z zachodu na wschód i z powrotem 950 km w linii prostej, a 1200 km, licząc linię wybrzeża od egipskiego El Alamein do

eprasa.pl 65c12f148d

trypolitańskiego El Agheila, najdalej na zachód wysuniętego punktu, do którego dotarli Brytyjczycy podczas ofensywy w Cyrenajce. Szerokość frontu najczęściej miała 50–80 km, wyjątkowo w niektórych miejscach wynosiła 150 km.

Lis na pustyni

Sromotna klęska Włochów i obawa przed utratą Afryki Północnej na rzecz wroga sprawiły, że Hitler postanowił – mimo przygotowań do ogromnej inwazji na Związek Sowiecki – wesprzeć sojusznika wysłaniem do Libii doraźnie sformowanej 5. Dywizji Lekkiej. 12 lutego 1941 r. do Trypolisu przybył – desygnowany na dowódcę niemieckich sił w Afryce Północnej – gen. Erwin Rommel, a 18 lutego specjalnym rozkazem Hitlera powołano Deutsche Afrika Korps (DAK).

W jego skład wchodziła od początku 5. Dywizja Lekka (przemianowana – i wzmocniona – w październiku na 21. Dywizję Pancerną) z pułkiem czołgów i zmotoryzowanym pułkiem piechoty. W maju 1941 r. dotarła 15. Dywizja Pancerna z pułkiem pancernym i zmotoryzowaną brygadą piechoty (Afrika Korps przemianowano wkrótce na Panzerarmee Afrika – Pancerna Armia Afryki), a w listopadzie dołączyła zmotoryzowana 90. Dywizja Lekka z dwoma pułkami i dywizjonem niszczycieli czołgów. Wreszcie we wrześniu 1942 r. siły niemieckie uzupełniła 164. Lekka Dywizja Afrykańska dysponująca m.in. trzema pułkami grenadierów pancernych oraz zmotoryzowanym pułkiem artylerii.

Zadaniem Afrika Korps było wzmocnienie włoskiej obrony i niedopuszczenie do utraty Trypolitanii. Bezczynne czekanie na ruch przeciwnika nie leżało jednak w naturze Lisa Pustyni, jak wkrótce nazwano Rommla, i w lutym 1941 r. poruszające się w trzech kolumnach pancernych oddziały Afrika Korps przecięły brytyjską obronę w kilku miejscach. Zawiodły próby zorganizowania oporu na wzgórzach w okolicy Benghazi, siły główne Rommla obeszły bowiem pozycje brytyjskie od południa, decydując się na ryzykowny marsz przez pustynię i zmuszając wojska gen. Archibalda Wavella do odwrotu.

5 kwietnia Niemcy wyszli na brytyjskie tyły pod Derną, a dzień później do niemieckiej niewoli dostali się dowodzący brytyjskimi wojskami na Pustyni Zachodniej generałowie Richard O'Connor i Philip Neame. Oddziały sprzymierzonych były w rozsypce. Ich część w pośpiechu wycofywała się ku Egiptowi. Inne, które zostały okrążone, po krótkim oporze składały broń.

9 kwietnia żołnierze DAK stanęli u wrót Tobruku, w którym schroniła się australijska 9. Dywizja Piechoty (jej dowódca, gen. Leslie Morshead, dowodził też na początku całą obroną) wraz z 18. brygadą australijskiej 7. DP oraz czterema brytyjskimi pułkami artylerii, częścią brytyjskiej 3. Brygady Czołgów oraz indyjskim 18. Pułkiem Kawalerii. Cała załoga twierdzy liczyła ok. 36 tys. ludzi dysponujących 120 czołgami, 76 działami plot. oraz sześcioma pułkami artylerii polowej i przeciwpancernej (karpatczycy przybyli tam w sierpniu).

Zdobycie twierdzy z marszu nie powiodło się i Niemcy oraz Włosi przystąpili do oblężenia, przypuszczając często groźne szturmy. Tobruk był drugim co do wielkości portem Cyrenajki, którego znaczenie strategiczne było ogromne – i jako punktu przeładunków zaopatrzenia dla walczących na pustyni wojsk, i jako twierdzy wiążącej siły przeciwnika.

Kiedy w kwietniu 1941 r. oddziały Rommla dotarły do granic Egiptu, zajęły strategiczne pozycje opodal Sollum i na przełęczy Halfaya. Rommel chciał poczekać na zajęcie Tobruku, zagrażającego jego liniom zaopatrzenia na tyłach, a poza tym oczekiwał dostaw uzupełnień ludzi i sprzętu, paliwa, żywności i amunicji. Dało znać o sobie rozciągnięcie linii zaopatrzenia, które wcześniej spowolniło posuwanie się wojsk brytyjskich w Cyrenajce, a później dotykało już obie strony przemierzające pustynię.

Brytyjczycy zbierali siły na odsiecz Tobruku i od połowy maja 1941 r., kiedy do Aleksandrii przybył konwój z 238 czołgami i 43 samolotami myśliwskimi na pokładzie, przeprowadzali kolejne ofensywy. Najpierw były nieudane: „Brevity", gdy Niemcy po raz pierwszy użyli dział przeciwlotniczych 88 mm, niszcząc większość czołgów 22. Brygady Pancernej. Dokładnie po miesiącu z podobnie opłakanym skutkiem zakończyła się „Battleaxe" i na pustyni płonęło ponad 180 brytyjskich czołgów. Dopiero operacja „Crusader" pozwoliła – przy wsparciu polskiej SBSK – na odblokowanie tobruckiej twierdzy oraz zdobycie Benghazi. 8. Armia po raz pierwszy odepchnęła wtedy Afrika Korps daleko od granic Egiptu.

Na Kair!

Mimo wypchnięcia z Cyrenajki Rommel nie stracił ochoty do walki, zwłaszcza że do Trypolisu zawinęły dwa duże konwoje z zapasami paliwa i amunicji oraz czterema kompaniami czołgów. Już 20 stycznia 1942 r. rzucił Afrika Korps do natarcia, jadąc na czele czołówek pancernych. Obszedł nieprzyjacielskie

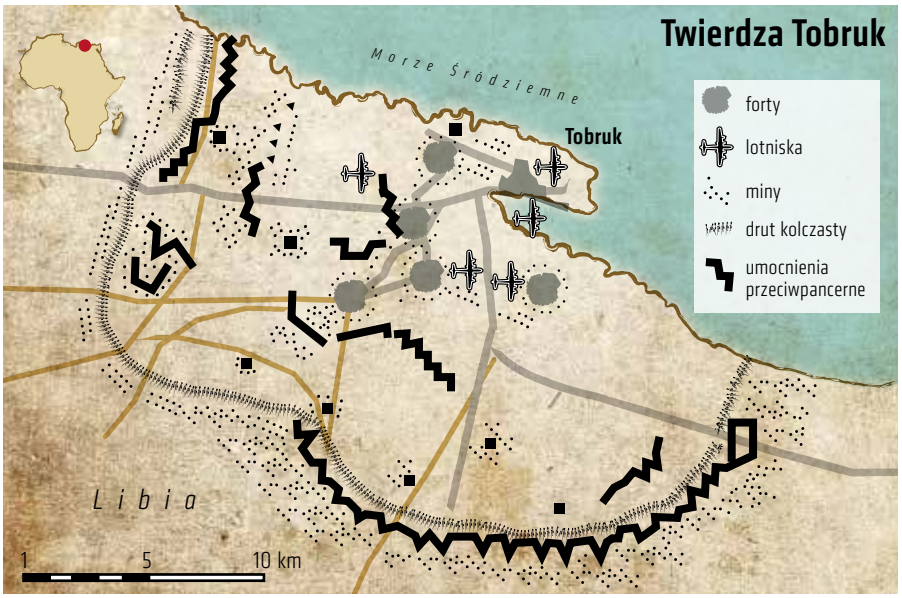

RYS. JACEK GRAMBURG

eprasa.pl 65c12f148d

Karpatczyk z rkm-em Bren przystosowanym do obrony przeciwlotniczej FOT. IMPERIAL WAR MUSEUM

pozycje przez pustynię i po błyskawicznym rajdzie zajął Benghazi. Rozbił brytyjską dywizję pancerną oraz hinduską dywizję piechoty, a zatrzymał się dopiero przed Tobrukiem.

Strategicznym celem jego ofensywy – po zdobyciu Kairu i Suezu – był Bliski Wschód. Gdyby Niemcom udało się tam dotrzeć również z drugiej strony, po przekroczeniu Kaukazu, imperium brytyjskie – i tak już bite wtedy przez Japończyków – przestałoby istnieć w całej Azji. Dlatego tak wiele zależało w połowie 1942 r. od klęski Sowietów za Kaukazem i pod Stalingradem oraz od wyniku zmagań o Egipt. Lecz dodatkowych oddziałów pancernych, jeszcze bardziej potrzebnych w Rosji, Rommel nie otrzymał.

Tyle że silne naloty na Maltę – bazę brytyjskiego lotnictwa u afrykańskich wybrzeży – zahamowały na przełomie lat 1941 i 1942 dokonywane stamtąd naloty i poprawiły na pewien czas zaopatrzenie wojsk Rommla. Miał 90 tys. ludzi i 575 czołgów, podczas gdy Brytyjczycy dysponowali 100 tys. żołnierzy i 994 czołgami, ale inicjatywa była po stronie niemieckiej. Poza tym niemiecki sprzęt, choć w małej liczbie, był znacznie lepszy od brytyjskiego.

Niemcy ruszyli 26 maja 1942 r., mając przed sobą brytyjskie umocnienia pod Gazalą, tzw. boksy, chronione przez linie pól minowych. W fortyfikacjach znajdowała się brytyjska piechota, a za nią rozlokowano oddziały pancerne – wyposażone w amerykańskie czołgi typu Grant – gotowe do kontrataków. Dowódca 8. Armii, gen. Neil Ritchie, był pewny zwycięstwa. Przedwcześnie. Włoskie dywizje uderzyły na boksy od czoła, a zmotoryzowane niemieckie dywizje ruszyły w pustynię daleko na południe, aby obejść brytyjskie ugrupowanie. Tym razem Brytyjczycy nie dali się wprawdzie zaskoczyć i kontratakowali przygotowanymi odwodami, lecz zbytnio rozproszyli ich siły. Kilka tygodni na pustyni trwały w potwornej spiekocie i w chmurach piasku starcia czołgów. Wozy pancerne płonęły trafione pociskami z dział, bombami z samolotów i rozrywane wybuchami min. Niemcy stopniowo zyskali i wykorzystali przewagę, rozbijając brytyjskie brygady jedną po drugiej, aż odwodów zabrakło...

Pobicie 8. Armii i bezładna ucieczka zakończyły bitwę. 21 czerwca padł Tobruk, który tak długo bronił się i obronił poprzedniego roku. Tym razem skapitulował po walce trwającej jeden dzień! W niemieckie ręce dostało się 33 tys. jeńców oraz duże zapasy paliwa, broni, amunicji i żywności. Rommel otrzyma 22 czerwca od rozanielonego Hitlera buławę feldmarszałka.

Wieczorem 21 czerwca jego kolumny ponownie wkroczyły do Egiptu, a 25 czerwca dotarły do twierdzy Mersa Matruh, gdzie tworzyła się linia obrony uzupełnionej pospiesznie 8. Armii. Niemcy dysponowali wtedy 50 sprawnymi czołgami, podczas gdy brytyjska 1. Dywizja Pancerna miała ich 150. Rommel uderzył z marszu w sam środek wrogiego ugrupowania, otworzyła się szansa okrążenia i całkowitego rozbicia Pancernej Armii Afryki. Ale brytyjski generał i jego naprędce sformowani żołnierze… uciekli do Egiptu. Auchinleck zdymisjonował Ritchiego i sam przejął dowodzenie 8. Armią.

Od Alamein do Tunisu

Rankiem 30 czerwca niemieckie czołówki stanęły na ziemi egipskiej, 24 km od El Alamein, 100 km od Aleksandrii. W Kairze ogłoszono stan wyjątkowy, ewakuowano urzędy, palono dokumenty, angielscy cywile uciekali. W Rzymie Mussolini czynił przygotowania do triumfalnego wjazdu przez bramy dawnej stolicy faraonów. W Berlinie Hitler oglądał już nawet nie na mapie, ale na globusie, jak będzie wyglądał świat, kiedy ruszy z Suezu na zachodzie oraz spod Kaukazu na wschodzie i zdobędzie Bliski Wschód.

Pomimo doznanych klęsk Auchinleck był gotów stoczyć bitwę z Lisem Pustyni i zatrzymać jego zuchwały marsz. Tak doszło do pierwszej bitwy pod Alamein i do zapowiedzi zwrotu w wojnie na pustyni. Od klęski na egipskim progu zaczęły się dalsze niepowodzenia Niemców i Włochów, zakończone wiosną 1943 r. utratą całej Afryki Północnej. Przypomnę je w największy skrócie.

W krwawych i zawziętych zmaganiach między 1 i 27 lipca 1942 r. Claude Auchinleck wykorzystał warunki terenowe oraz pas umocnień. Nie dał się też zaskoczyć próbą oskrzydlenia. W końcu wyczerpane oddziały niemieckie i włoskie ustąpiły, aby po miesiącu zaatakować w tym rejonie raz jeszcze. Znów bezskutecznie. Po kilku dniach walk Rommel musiał cofnąć porozbijane wojska na linię grzbietu Alam Halfa.

Dowodzący 8. Armią gen. Bernard Law Montgomery czekał z rozpoczęciem natarcia na sygnał od Churchilla aż do 23 października 1942 r. Wtedy ruszyło 150 tys. żołnierzy, 2,5 tys. dział i 1,2 tys. czołgów. Samoloty RAF dominowały w powietrzu. Broniło się 100 tys. żołnierzy (po 50 tys. niemieckich i włoskich), 498 czołgów (w tym 211 niemieckich) oraz 1,3 tys. dział. I tak rozpoczęła się druga bitwa pod Alamein, której wynik – przy przytłaczającej przewadze Brytyjczyków w ludziach i sprzęcie – był łatwy do przewidzenia.

Przełamanie 2 listopada linii wroga doprowadziło do poddawania się i uchodzenia jego sił na zachód. Łączne straciły one 59 tys. żołnierzy, a 8. Armia 13,5 tys. Niemcy i Włosi utracili blisko 500 czołgów, a Brytyjczycy – 430. Jednak w momencie, gdy brytyjski generał miał Lisa Pustyni w garści, poprowadził pościg wyjątkowo nieudolnie i feldmarszałek wyprowadził trzon swych sił z matni. Blisko tysiąc kilometrów 8. Armia ścigała w listopadzie przeciwnika, zajmując znów Tobruk (tym razem ostatecznie), a następnie Dernę i Benghazi. W grudniu padła jeszcze Syrta, a 23 stycznia 1943 r. 8. Armia wkroczyła do Trypolisu. Trwał już wtedy ostatni akt wojny w tym rejonie świata…

Oto nocą z 7 na 8 listopada 1942 r. Amerykanie i Brytyjczycy pod do-

eprasa.pl 65c12f148d

wództwem gen. Dwighta Eisenhowera dokonali desantu ponad 70 tys. żołnierzy w Algierii i Maroku (operacja „Torch"). Francuskie wojska afrykańskie Republiki Vichy szybko się poddały, a adm. Françoise Darlan nakazał też zatopić flotę francuską w Tulonie. Niemcy i Włosi zajęli Tunezję, która miała się stać ostatnim bastionem ich obrony w Afryce Północnej. Zdołali przetransportować morzem i powietrzem do Afryki ok. 110 tys. żołnierzy, 428 czołgów, 5,5 tys. pojazdów i 730 dział. Z początkiem 1943 r. utworzyli w Tunezji 400-kilometrowy front obsadzony sześcioma dywizjami, w tym dwiema pancernymi, z nowo utworzonej 5. Armii Pancernej gen. Hansa von Arnima.

Alianci nie zdołali zapobiec jej połączeniu z resztkami armii gen. Rommla. Natomiast idąca z Libii 8. Armia brytyjska z trudem wywalczyła wreszcie spotkanie z 1. armią amerykańską oraz korpusem brytyjskim nacierającymi z Algierii. Szczególnie zacięte okazały się: bitwa na przełęczy Kasserine w lutym, kontrataki pod Medenine w marcu, a następnie na umocnionej linii Mareth. Rosła przewaga aliantów na ziemi oraz dominacja na morzu i w powietrzu. Feldmarszałek Rommel został odwołany do Berlina.

Medal MP wybity w 50-lecie obrony Tobruku

FOT. ARCHIWUM

Wreszcie 7 maja Brytyjczycy weszli do Tunisu, a Amerykanie do Bizerty. 13 maja 1943 r. wojska państw Osi skapitulowały. Do niewoli trafiło ponad 250 tys. żołnierzy włoskich i niemieckich. Brytyjczycy i Amerykanie mogli przygotowywać się do skoku na nieodległą Sycylię...

W wyniku wojny w Afryce Włosi stracili nie tylko kolonie, lecz także nadzieje na stworzenie „nowego imperium rzymskiego", zaufanie do faszystowskiego reżimu Mussoliniego, a w końcu również resztki ochoty do prowadzenia dalszej wojny. Niemcy przestali zaś myśleć o wygraniu całej wojny w rozmiarze globalnym. W 1943 r. mit niezwyciężonej III Rzeszy, który runął na bezkresach rosyjskich stepów i atlantyckich akwenów, przysypał również piasek Sahary.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Polish Mark I

Maciej Rosalak

Do zwycięstwa aliantów pod El Alamein – a potem w całej drugiej wojnie światowej! – walnie przyczynił się nasz rodak, inż. Józef Kosacki. Impulsem do pracy nad jego „wykrywaczem śpiącego zabójcy", czyli min, stało się tragiczne wydarzenie nieopodal szkockiego Arbroath, kiedy pięciu polskich żołnierzy z 14. pułku 10. Brygady Kawalerii Pancernej (tzw. Czarnej Brygady, późniejszej 1. Dywizji Pancernej) zostało rozerwanych na plaży przez minę. Wstrząśnięty por. Kosacki, który zajmował się szkoleniem żołnierzy z podstaw radiotelegrafii, skonstruował w trzy miesiące wykrywacz min. Zrobił to w wolnym czasie, wykorzystując części kupione za własne pieniądze. Był wtedy pracownikiem Centrum Wyszkolenia Łączności PSZ w St. Andrews w Szkocji. Przed wojną Kosacki konstruował w Państwowym Instytucie Telekomunikacji wzmacniacze telegraficzne. Zauważył wtedy, że inaczej buczały przy zbliżeniu jakiegokolwiek metalowego przedmiotu. Zjawisko to wykorzystał w wykrywaczu min, pracując z pomocą sierżanta Andrzeja Gabrosia.

Brytyjskie ministerstwo zaopatrzenia ogłosiło we wrześniu 1941 r. konkurs na opracowanie wykrywacza min. Zwyciężyć miał ten, kto znajdzie w trawie jak najwięcej rozrzuconych monet. Kosacki zebrał wszystkie monety i to w najkrótszym czasie. Wykrywacz został nazwany Mine Detector Polish Mark 1, w seryjnej wersji ważył 14 kg i obsługiwany był przez jednego żołnierza. Wcześniej miny były wykrywane za pomocą „macki minerskiej" – długiego pręta, którym nakłuwano ziemię – lub detonowania metalowej rury wypełnionej materiałem wybuchowym. Miny rozrywały się w pasie szerokości 1–2 m i długości takiej samej jak rura. Oddział 42 saperów mógł oczyścić w ciągu godziny przejście długości 200 m, natomiast dziewięciu saperów z trzema polskimi wykrywaczami mogło w tym samym czasie oczyścić pas dwukrotnie dłuższy i to nawet w nocy. Wykrywacze Kosackiego (w liczbie 500 sztuk) zostały po raz pierwszy wykorzystane właśnie pod El Alamein, gdzie żołnierze państw Osi wkopali 451 tys. min, a pola minowe rozciągały się niekiedy na głębokość 10 km. Bez wykrywacza Kosackiego aliancki zmasowany atak byłyby niemożliwy.

W czasie wojny tylko firma Cinema Television Ltd. zbudowała ponad 100 tys. wykrywaczy Kosackiego. Kolejne wersje wykorzystywane były jeszcze w Iraku w 1991 r. Wykrywacze według patentu Kosackiego produkowali też Amerykanie i Rosjanie. W 1943 r. Kosacki został przeniesiony na stanowisko konstruktora i kontrolera jakości produkowanych detektorów, później zajmował się badaniami nad dalekosiężną łącznością z okrętami podwodnymi Royal Navy. Po wojnie 87 proc. powierzchni Polski było zaminowane. Podczas Wielkiej Operacji Rozminowania Kraju (1944–1956), saperzy usunęli 15,6 mln min. Zginęło wtedy 645 saperów, a 674 zostało ciężko rannych. W latach 1944–1989 miny zabiły 4094 Polaków, raniąc 8774. Józef Kosacki, zachęcony przez prof. Janusza Groszkowskiego, wrócił do kraju w 1947 r. i pracował m.in. w Wojskowej Akademii Technicznej (z tytułem profesora od 1964 r.) oraz w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku. Stał się prekursorem techniki cyfrowej i elektroniki jądrowej w Polsce. Zmarł w 1990 r. Zasłużył na pamięć cywilizowanego świata podobnie jak Polacy, który złamali kod Enigmy, czy odkrywcy tajemnic rakiet V-2. ©℗

eprasa.pl 65c12f148d

Generał Erwin Rommel z włoskimi oficerami w Afryce Północnej FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Mit III Rzeszy / Wzlot i upadek Lisa Pustyni

Erwin Rommel Superstar

Piotr Semka

Grymas losu dosięga go osobiście, gdy w czerwcu 1944 r. pędzi swoją limuzyną po normandzkich drogach w kierunku frontu...

Propaganda III Rzeszy nazwała go Lisem Pustyni. Goebbels korzystał z jego zwycięstw, gdy zaczęły się pierwsze kłopoty Wehrmachtu na Wschodzie. Potem Hitler chciał, strasząc jego osobą Brytyjczyków, odwieść ich od lądowania na kontynencie. Spośród niemieckich wyższych dowódców potrafił najlepiej wykorzystywać popularność medialną, ale logika nazistowskiej dyktatury nie zrobiła dla niego wyjątku. Gdy tylko otarł się o sprzysiężenie przeciwko Führerowi, został bez chwili zwłoki skazany na śmierć. Jednak nawet jego pogrzeb był spektaklem zorganizowanym na potrzeby propagandy nazistowskiej.

Rommel był oficerem, do którego lubiło uśmiechać się szczęście. Urodzony w 1891 r. w Szwabii, był oficerem, który miał okazję wykazać się na polu bitwy w czasie pierwszej wojny światowej. Był dobrym żołnierzem i nie korzystał z żadnych przywilejów w przeciwieństwie do wielu innych szlacheckich synów. Zasłynął jako prosty porucznik 124. pułku piechoty. Nie minął rok 1914 i znów na jego piersi widniał Żelazny Krzyż; w październiku 1917 r., gdy walczył na froncie austriacko-niemiecko-włoskim, zabłysnął niezwykle odważnym planem zdobycia wzgórza Monte Matajur, którego broniły wojska alpejskie króla Wiktora Emanuela.

I wtedy też Rommel zrozumiał, że jeśli sam nie rozgłosi swojego sukcesu, to nikt go nie zauważy. Oto wskutek intryg za „jego zwycięstwo" nagrodę otrzymał inny oficer. Rommlowi sprzątnięto sprzed nosa wyjątkowo ceniony Order Pour le Mérite, który ustanowił jeszcze Fryderyk Wielki w XVIII w. Rommel miał energię, aby przeprowadzić całą oficjalną drogę protestu wobec nagrodzenia innego oficera i w końcu postawił na swoim. Piękny błękitny order oznaczony cesarską koroną trafił w końcu do niego, a on sam zdobył sławę wśród korpusu oficerskiego włoskiego frontu.

Był na tyle uznanym oficerem, że po pierwszej wojnie światowej mimo znaczących redukcji zwierzchnicy zadbali, by pozostał w szeregach armii. Jak wielu innych żołnierzy Reichswehry z wielkimi nadziejami przyjął dojście Adolfa Hitlera do władzy. Kolejne lata rządów brunatnego dyktatora zachwycają go. Dlaczego miałby być krytyczny wobec kanclerza Niemiec, który rok po roku wyposaża Wehrmacht w coraz nowe zabawki dla wojskowych? Rommel należy do tych nowocześnie myślących przywódców, którzy rozumieją przyszłościową rolę czołgu. Na dodatek zyskuje zainteresowanie Hitlera. Wódz III Rzeszy przeczytał wydane w 1937 r. wspomnienia z pierwszej wojny Rommla zatytułowane „Piechota atakuje". Hitler zauważył, że wnioski, jakie oficer wyciągnął z walk we Włoszech, zwiastują spory talent taktyczny i strategiczny.

eprasa.pl 65c12f148d

Hitler zapamiętał dobrze zapowiadającego się oficera i w 1939 r. zabiera go ze sobą na wyprawę po polach bitwy zakończonej kampanii wrześniowej. Podczas agresji na Francję Führer zadbał, by Erwin Rommel dowodził 7. Dywizją Pancerną. Rommel doskonale zdaje egzamin i jego jednostki należą do najskuteczniejszych czołówek Wehrmachtu. Hitlera zachwycają informacje, że Rommel w czasie walk we Francji zawsze znajduje się na pierwszej linii ataku wśród żołnierzy. Dla Hitlera to kolejna zaleta, tym razem ideologiczna. Widzi w nim przykład nowego typu oficera narodowo-socjalistycznego, który nie wywyższa się wobec zwykłych żołnierzy i ma na tyle dużo odwagi, by dowodzić z pierwszej linii ataku, idąc razem z nimi. Wtedy też zaczyna zwracać uwagę szefa propagandy III Rzeszy Josepha Goebbelsa. Jak pisał w swoim dzienniku, nareszcie mamy nowoczesnego generała, który rozumie, że kamera filmowa to równie ważna broń jak czołgi.

Wirtuoz pustyni

Według tradycji Napoleon przed nominacją generalską zwykł pytać swych adiutantów o to, czy nominowany oficer miewa szczęście. Tę wypowiedź często przytaczano jako anegdotę, ale cesarzowi Francuzów chodziło o coś innego. To, co inni traktowali często jako traf losu, on rozumiał jako wynik wielu dobrych nawyków oficerskich, które sprawiały, że kandydat na generała uważany był za szczęściarza. Z Rommlem było dokładnie tak samo. Gdy Hitler w 1941 r. wysyła go na czele Afrika Korps do Libii, aby ratował Włochów – wychodzą na jaw wszystkie jego talenty strategiczne. Bardzo sprawnie koordynuje działania pancernych zagonów, lotnictwa i piechoty. Dysponuje też skutecznym wywiadem, który szybko rozszyfrowuje brytyjską komunikację radiową w Afryce Północnej.

Na dodatek pustynia jest wymarzonym teatrem wojennym do przeprowadzenia śmiałych manewrów i zaskakujących ataków. Błyska twórczymi pomysłami. Pewnego razu atakuje czołgami, które mają wzbudzić góry pustynnego pyłu i symulować atak tylko po to, by odciągnąć uwagę Brytyjczyków od głównego uderzenia na innym odcinku frontu. Potrafi kierować ruchem swoich jednostek, latając nad pustynią w małym samolocie obserwacyjnym. Jego angielscy rywale nie mają aż tylu niekonwencjonalnych pomysłów.

Silnym sojusznikiem Rommla staje się Goebbels. Sukcesy Afrika Korps w Afryce wpadają Goebbelsowi w ręce akurat wtedy, gdy kończą się niemieckie sukcesy z pierwszej fazy wojny. Pod koniec roku 1941 niemiecki walec rozbija się o sowiecką obronę Moskwy. Wehrmacht zatrzymuje się na długie miesiące zimy i wiosny 1942 r. A szef propagandy III Rzeszy przyzwyczaił już zwykłych Niemców do życia w rauszu ciągłych zwycięstw. I tu Rommel, który skutecznie atakuje Brytyjczyków, nadaje się idealnie do roli medialnego dowódcy – zwycięzcy. Gdy latem 1942 r. Wehrmacht rusza z sukcesem w kierunku Kaukazu, Rommel w czerwcu tego roku zdobywa twierdzę Tobruk i przechwala się Hitlerowi, że niedługo dojdzie do Kanału Sueskiego, a stamtąd połączy się z siłami niemieckimi prącymi na Kaukaz.

Rommel wie, że będzie miał tyle wpływów u Hitlera, ile będzie jego sławy w III Rzeszy. Dlatego zawsze znajduje czas dla korespondentów frontowych, jest zawsze gotowy do występowania przed kamerami hitlerowskiej kroniki filmowej Die Deutsche Wochenschau. Potrafi nawet zaprezentować – co prawda nieregulaminowy, ale bardzo malowniczy – image. Lubi pozować przed kamerą w motocyklowych goglach na czapce Wehrmachtu i w skórzanych płaszczach, do których dobiera nieregulaminowy ulubiony szaliczek w kratę. Może sobie pozwolić na ten nonszalancki styl, gdyż Hitler jest zachwycony jego sukcesami. Rommel otrzymuje tytuł feldmarszałka i kolejne dodatki do Rycerskiego Żelaznego Krzyża – miecze, brylanty i srebrne liście dębowe. Niemcy zachwyceni słuchają w radiu, jak osobiście komentuje na żywo zdobywanie Tobruku. Lubi też pojawiać się na chwilę w Berlinie, by opowiadać o swoich sukcesach, np. na propagandowym wiecu w berlińskiej Sporthalle w 1942 r., gdzie wprawia w entuzjazm wielotysięczne tłumy.

Grymas losu

Jednak dobra passa miewa swój kres. Anglicy z czasem zaczynają uczyć się walczyć z nietypowym przeciwnikiem i na dodatek potrafią skutecznie uszczelnić swoją komunikację radiową. Rommel – doskonały czarnoksiężnik – potrafił budować swój mit niezwyciężonego dowódcy, kiedy miał wystarczającą wiedzę o zamierzeniach Brytyjczyków. Gdy to źródełko wysycha, Anglosasi przechodzą do ofensywy, której początkiem jest porażka Afrika Korps pod El Alamein.

Wódz III Rzeszy nakazuje Rommlowi walkę o każdy metr frontu. Ten pozoruje posłuszeństwo wobec rozkazów z Berlina, ale po cichu cofa się w kierunku Tunezji. Hitler zaczyna być rozdrażniony, w końcu w lutym 1943 r. odwołuje Rommla z Tunezji, nie chcąc, aby symbol siły III Rzeszy kompromitował się klęską. Bez Rommla nędzne resztki Afrika Korps muszą się wynieść z tamtejszego teatru walki. Oficjalnie Rommel otrzymuje zasłużony urlop, ale tak naprawdę musi w tym czasie leczyć tropikalne choroby, których nabawił się w czasie swoich pustynnych wypadów. Przez chwilę Hitler próbuje, czy Rommel może dowodzić we Włoszech, ale tutaj niegdysiejszy Lis Pustyni nie potrafi uzyskać zwycięstw w walce z aliantami na miarę swej sławy z Afryki. Hitler wpada na kolejny pomysł.

Rommel zostaje wysłany do Francji, aby nadzorować budowę Wału Atlantyckiego na plażach Normandii. To zręczne posunięcie Hitlera. Rommel jako pogromca i specjalista od zwyciężania

eprasa.pl 65c12f148d

Brytyjczyków ma budować poczucie pewności Niemców, że Wehrmacht potrafi odepchnąć spodziewaną inwazję. Ale Rommel jest już stale prześladowany przez pecha. Na dzień przed lądowaniem Amerykanów i Brytyjczyków na plażach normandzkich odbył podróż do rodzinnego domu w Stuttgarcie. Gdy po powrocie do domu budzi się następnego dnia – z przerażeniem odkrywa, że alianci są już na plaży. Zanim wróci do Paryża, wojska inwazyjne są już okopane na plażach. Na dodatek w spory dotyczące taktyki zatrzymania sprzymierzonych wchodzi z nim głównodowodzący sil niemieckich we Francji gen. Gerd von Rundstedt.

Erwin Rommel wjeżdza do zdobytego miasta FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Wreszcie ostrze losu dosięga go osobiście. 17 czerwca 1944 r., gdy pędzi swoją limuzyną po normandzkich drogach w kierunku frontu, jego mercedes zostaje ostrzelany przez aliancki samolot. Limuzyna Rommla zostaje zniszczona. Niegdysiejszy ulubieniec Hitlera odnosi ciężkie rany. Znów zostaje skierowany do szpitala. Wychodząc z obrażeń, nie wie, że wokół niego zaczyna powoli zaciskać się pętla. 20 lipca dochodzi do nieudanego zamachu stanu ze strony grupy spiskowców w mundurach Wehrmachtu. Kolejne przesłuchania, które przeprowadza Gestapo, ujawniają, że Rommel mógł wiedzieć o planowanym zamachu. Hitler, który z sadystyczną przyjemnością rozprawia się ze zbuntowanymi generałami, nie ma żadnej ochoty czynić wyjątku dla Rommla.

Wysłannicy Hitlera stawiają feldmarszałka przed wyborem: albo dobrowolnie odbierze sobie życie i w zamian uzyska honorowy pogrzeb, albo jego najbliżsi zostaną poddani brutalnej eksterminacji. Wobec Rommla miałby zostać zastosowany tzw. tryb Sippenhaftu, który na wzór stalinowski legalizował wyroki śmierci dla najbliższych członków rodzin spiskowców. Złamany Rommel przyjmuje tę upiorną umowę i łyka truciznę. W końcu okazało się, że reżim, któremu entuzjastycznie służył, nie ma żadnych oporów, by pozbyć się dowódcy, który przestał zwyciężać. Wygodny bohater dla Bundeswehry.

Jednak sława Rommla po jego śmierci i po upadku III Rzeszy zaczęła odżywać. Anglicy – miłośnicy walki fair play – dobrze wspominali Rommla jako stosunkowo jasną postać na tle innych dowódców niemieckich z lat wojny. Dobrowolnym piewcą Lisa Pustyni zostali liczni brytyjscy autorzy książek popularnohistorycznych. W 1952 r., w kooperacji amerykańsko-brytyjskiej, wchodzi na ekrany film „Lis pustyni", który oddaje hołd jego „dżentelmeńskiej" grze z marszałkiem Montgomerym na libijskich piaskach. Rommel był też wygodnym symbolem dla tych byłych generałów Wehrmachtu, którzy budowali już mit rycerskiego Wehrmachtu, który nie miał nic wspólnego bestialstwem gestapo i SS. Dowódca Bundeswehry gen. Hans Speidel – sam prześladowany za udział w spisku 20 lipca – ochoczo wsparł nazwanie nowych koszar imieniem wodza Afrika Korps. Imieniem Rommla nazwano też pierwszy zwodowany po wojnie niszczyciel zachodnioniemieckiej marynarki. Wojska pancerne Bundeswehry eksponowały w Münster gipsową maskę pośmiertną Rommla.

Dopiero w latach 70. zaczęto przypominać, że fetowany przez Bundeswehrę feldmarszałek przez wiele lat niewolniczo służył Hitlerowi. W maju 2001 r. rada miejska miasta Goslar podjęła uchwałę o usunięciu z miejscowych koszar tablic ku czci Rommla. Zaczęła wychodzić też na jaw spychana na bok prawda o deportacjach Żydów z północnej Afryki do Auschwitz. Postawiono też bardzo trafne pytanie: Co by się stało, gdyby czołówki pancerne Rommla zajęły Egipt i wkroczyły do Palestyny. Sam Rommel ze swoimi czołgami pędziłby pewnie w kierunku Kaukazu, ale za jego czołgami zmierzałyby do Tel Awiwu i Jerozolimy takie same ekipy gestapo, jakie pojawiły się w Jedwabnem 10 lipca 1941 r.

Opowieść o medialnej i propagandowej karierze Rommla w III Rzeszy może być przypomnieniem o tym, jak kapryśna jest łaska totalitarnej władzy. A sam Rommel przypominał raczej ucznia czarnoksiężnika z bajki Goethego, zachwyconego pozorną siłą, która miała mu służyć, a która z czasem stała się dla niego samego śmiertelnym zagrożeniem. O ile jednak uczeń czarnoksiężnika ocalił swoje życie, o tyle Rommel zginął od trucizny podanej mu przez wysłanników Hitlera. Ta sama wroga siła wykreowała jego legendę, by potem zrzucić go z szachownicy jak niepotrzebny pionek.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c12f148d

Już 8 listopada w „Do Rzeczy” dodatek

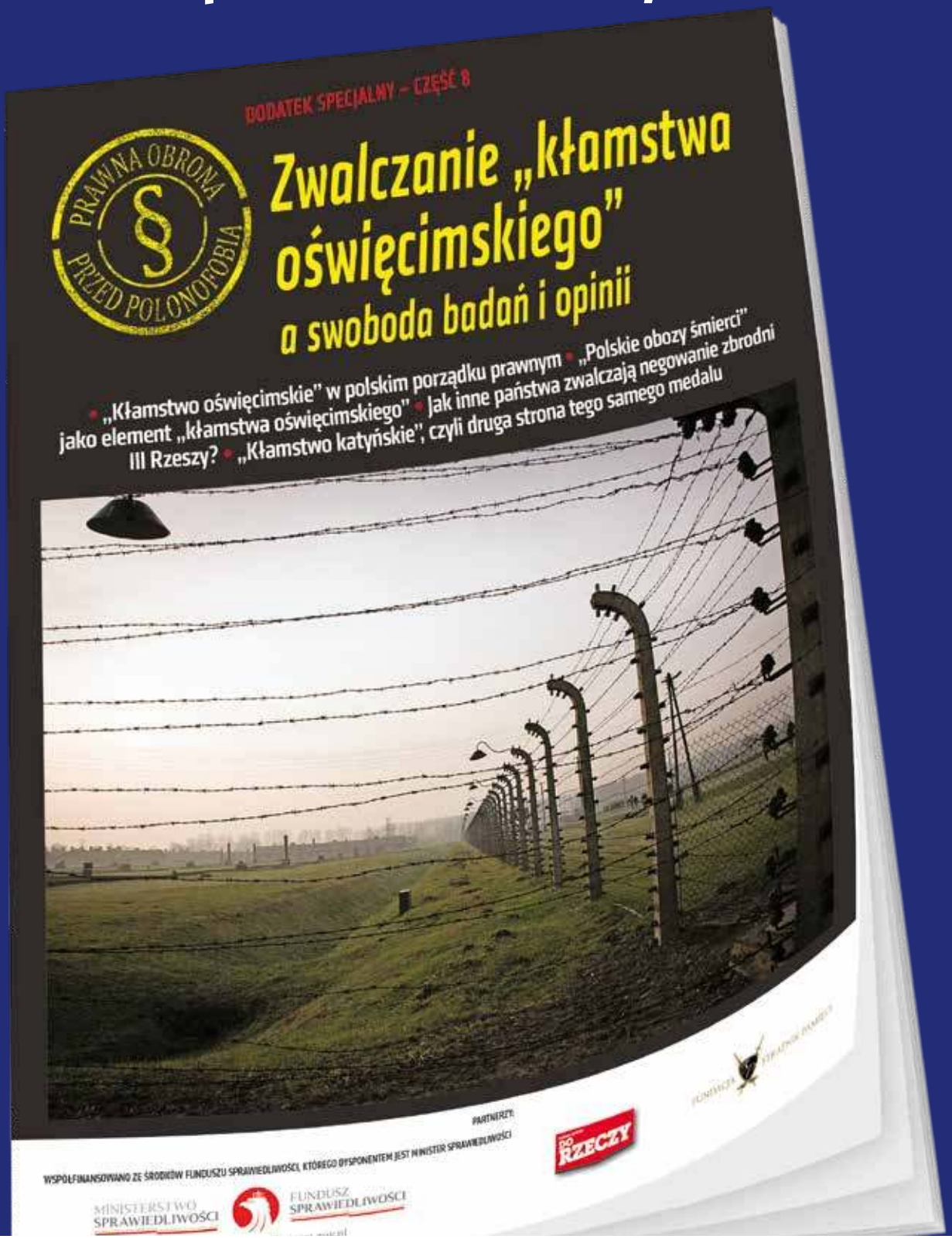

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 65c12f148d

Wywiad

Z Pierre'em Serventem, autorem książki „Hess. Fanatyczny wyznawca"

rozmawia Piotr Włoczyk

Hessa lot w ciemno

– Hitler kompletnie się rozsypał psychicznie, gdy doręczono mu list Hessa, w którym ten tłumaczył mu swoją decyzję. Najbliżsi współpracownicy przywódcy III Rzeszy wspominali, że ich szef zachowywał się tak, jakby stracił członka najbliższej rodziny – mówi Pierre Servent

PIOTR WŁOCZYK: Czy Rudolf Hess poleciał do Wielkiej Brytanii z propozycją pokojową, mając „błogosławieństwo" Hitlera? Tak twierdzi m.in. brytyjski historyk Peter Padfield.

PIERRE SERVENT: Nie, to wykluczone. Wielu brytyjskich historyków wyraża podobną opinię, ale nie mają ku temu żadnych podstaw.

Jakie argumenty przemawiają za wersją, za którą pan się opowiada?

Po pierwsze, gdyby Hitler stał za misją Hessa, to znalazłoby się wiele bezpieczniejszych sposobów na przerzucenie na Wyspy tak ważnego nazistowskiego notabla niż szalony lot w pojedynkę. Można było dostarczyć Hessa do Wielkiej Brytanii choćby na pokładzie okrętu podwodnego. Niemcy mogli mu też zorganizować spotkanie z brytyjskim wysłannikiem w jakimś neutralnym kraju. Tymczasem lot

eprasa.pl 65c12f148d

Essen. Rudolf Hess odznacza przodujące zakłady przemysłowe FOT. NAC

Rozbity samolot Rudolfa Hessa
FOT. COMMONS WIKIEDMIA

nieuzbrojonym messerschmittem w warunkach wojny, gdy brytyjska obrona przeciwlotnicza cały czas była w stanie najwyżej gotowości, był tak ryzykowny, że wygląda to na akt szaleństwa. Pamiętajmy też, że w momencie, gdy Hess leciał do Szkocji i nikt jeszcze nie wiedział o jego misji, Hitler wysłał nad Londyn flotyllę bombowców. W takich warunkach nie negocjuje się pokoju. Spadające bomby nie mogły być odebrane przez Churchilla jako gest dobrej woli ze strony Niemców. Inna rzecz to wiedza, jaką posiadał Hess.

Wielkimi krokami zbliżał się czerwiec...

Hess wiedział bardzo dużo na temat operacji „Barbarossa". Skuteczny atak na ZSRS był tymczasem najważniejszym celem Hitlera. Wysyłając do Szkocji swojego bliskiego współpracownika, Hitler musiałby brać pod uwagę, że Brytyjczycy spróbowaliby wycisnąć z niego całą posiadaną wiedzę, choćby podając mu koktajle narkotykowe. Czy Hitler podjąłby tak wielkie ryzyko niemal w przededniu tak wielkiej operacji?

Ale czy właśnie ta szaleńcza podróż w pojedynkę i nocny skok ze spadochronem nie byłyby dla Hitlera najlepszym zabezpieczeniem w przypadku niepowodzenia negocjacji pokojowych z Londynem? Zawsze mógł ogłosić, że jego współpracownik zwariował.

To ja teraz zadam panu pytanie. Jeżeli Hitler to wszystko zaplanował, to dlaczego niemiecka propaganda niecałe dwa dni po zniknięciu Hessa ujawniła ten sekret? Nikt nie mógł zakładać, że w tak krótkim czasie uda mu się przedstawić propozycję pokojową i uzyskać na nią odpowiedź.

Nie da się ukryć, że nadanie przez Niemców komunikatu tak szybko faktycznie nie wspiera tezy o tym, że Hitler „pobłogosławił" misję Hessa. Tym bardziej że to Niemcy byli pierwszymi, którzy to ogłosili – Brytyjczycy zrobili to kilka godzin po nich.

Nie ulega też wątpliwości, że Hitler kompletnie się rozsypał psychicznie, gdy doręczono mu list Hessa, w którym ten tłumaczył mu swoją decyzję. Najbliżsi współpracownicy przywódcy III Rzeszy wspominali, że ich szef zachowywał się tak, jakby stracił członka najbliższej rodziny. Relacji na ten temat jest zbyt wiele, by uważać, że to wszystko był tylko teatr. Hitler był świetnym aktorem, ale według mnie zachowało się zbyt dużo świadectw, które pokazują, że to był dla niego olbrzymi, autentyczny szok. W maju 1941 r. Niemcy rządziły 12 krajami Europy. Wehrmacht wydawał się niezwyciężony. Hitler i Hess marzyli o tym momencie od początku swoich szalonych snów o budowie wszechpotężnej III Rzeszy. Zniknięcie w takim okresie jego kompana musiało Hitlerowi bardzo popsuć ten chwilowy moment glorii.

Nie ulega wątpliwości, że był to szok nie tylko dla niemieckiego społeczeństwa.

Podanie informacji o locie Hessa było wielkim newsem na całym świecie. Myślę, że adekwatnym wydarzeniem byłby skok na spadochronie nad III Rzeszą w wykonaniu księcia Windsoru (byłego króla Wielkiej Brytanii).

Peter Padfield twierdzi również, że lot Hessa był wynikiem intrygi brytyjskiego wywiadu, który zwabił go do Wielkiej Brytanii, przekonując, że na Wyspach wciąż istnieje silne lobby proniemieckie.

W Wielkiej Brytanii historycy dopatrują się w tej sprawie niezliczonych teorii

eprasa.pl 65c12f148d

spiskowych. Wiadomo – im więcej sensacji, tym więcej czytelników. Nie ma najmniejszych dowodów na to, by twierdzić, że to brytyjski wywiad stał za misją Hessa. W archiwach w Londynie łatwo można znaleźć dokumenty, które pokazują, jak na całą sprawę zareagował Churchill. Był on tym lotem kompletnie zaskoczony! Poprosił nawet byłego korespondenta BBC w Berlinie, by potwierdzić tożsamość gościa. Gdyby wywiad brytyjski zastawił pułapkę na Hessa i zwabił go do Wielkiej Brytanii, to Churchill najpewniej nie byłby tą sprawą tak zaskoczony, a Brytyjczycy mieliby gotowy jakiś plan. Tymczasem Churchill kompletnie nie wiedział, co zrobić z tym gościem z III Rzeszy. Początkowo chciał go pokazywać jak trofeum. Anthony Eden, były minister spraw zagranicznych, przekonał go jednak, że w ten sposób dałby paliwa brytyjskiemu stronnictwu proniemieckiemu. Jego zdaniem trzeba było go schować. I Churchill tak też zrobił. Co ciekawe, brytyjski premier już w 1941 r. zapowiedział, że po wojnie powstanie międzynarodowy trybunał, który osądzi m.in. Hessa.

Padfield twierdzi również, że Hess kochał Hitlera, był wobec niego w 100 proc. lojalny i nigdy nie zrobiłby niczego przeciwko niemu. Dlatego – zdaniem Padfielda – to wykluczone, że samowolnie podjął decyzję o locie na Wyspy.

Ten przedziwny lot był starannie zaplanowany przez Hessa. Chciał za wszelką cenę pogodzić Anglików i Niemców, ponieważ wojnę z Wielką Brytanią uważał za absurd. Równocześnie Hess desperacko chciał odzyskać miejsce numer dwa u boku Hitlera, które stracił na rzecz Hermanna Göringa. Wierzył, że jeżeli uda mu się przekonać Brytyjczyków do pokoju w przededniu operacji „Barbarossa", to Hitler na zawsze już będzie uważał go za największego bohatera. W grę wchodziła też… miłość. Hess był homoseksualistą i autentycznie kochał swojego wodza. Nawiasem mówiąc, to była miłość platoniczna. Nie sądzę, by dochodziło między nimi do czegoś więcej. W każdym razie Hitler był mężczyzną życia Hessa. I Hess był w stanie zrobić wszystko, by zaimponować Hitlerowi.

Hess wylądował w Szkocji, by znaleźć się jak najbliżej rezydencji księcia Douglasa Douglasa-Hamiltona, z którym planował się spotkać. Co wyszło z tych rozmów?

Najbliższym doradcą Hessa był znajomy Hamiltona, dr Albrecht Haushofer.

Rudolf Hess obok Hermanna Göringa podczas procesu norymberskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Hess pokazał jego zdjęcie i wizytówkę, by uwiarygodnić się w oczach Hamiltona. Książę był przed wojną zwolennikiem porozumienia z Niemcami i miał niezłe relacje z dworem królewskim. I dlatego Hess myślał, że dzięki Hamiltonowi uda mu się dotrzeć do króla i przedstawić mu propozycję pokojową: morze miało zostać brytyjskie, dzięki czemu imperium miało zostać uratowane, ale ląd (Europa) miały być w rękach Niemców.

Co Hess usłyszał od Hamiltona?

Książę wytłumaczył Hessowi, że w czasie wojny w Wielkiej Brytanii istnieje tylko jedna partia i nie ma co liczyć na opozycję wobec polityki Churchilla… Dodał też, że był dobry czas na pokój, ale było to przed wybuchem wojny.

Czyli misja Hessa od samego początku była skazana na niepowodzenie?

Tak. Churchill tylko czekał, aż Niemcy zaatakują ZSRS i – wbrew opinii własnego wywiadu – był przekonany, że Sowieci dadzą radę powstrzymać Wehrmacht. Wiedział, że wojna na dwa fronty musi się skończyć dla Niemców katastrofą. W całej tej aferze z lotem Hessa osobowość Churchilla odegrała olbrzymią rolę. Gdyby premierem był np. Halifax, to nie da się wykluczyć, że historia potoczyłaby się inaczej...

Jak Hess zareagował, gdy zrozumiał, że jego misja okazała się kompletnym fiaskiem?

Wpadł w depresję, miał myśli samobójcze, nawet dwa razy próbował popełnić samobójstwo. Dopadła go paranoja. Uważał, że brytyjskie władze chcą go otruć.

Wiemy, że w ZSRS propaganda wielokrotnie usuwała ze zdjęć ludzi, którzy wypadli z łask Stalina. Jak to wyglądało w Niemczech?

Dokładnie tak samo. Niemiecka propaganda retuszowała zdjęcia, na których był Hess. To był olbrzymi problem dla Goebbelsa, bo on był niezwykle popularny. Gdybyśmy mogli zrobić sondaż wśród obywateli III Rzeszy, to niewątpliwym liderem byłby Hitler, ale tuż za nim uplasowałby się Hess. Nie Göring, nie Himmler czy Goebbels, ale właśnie Hess. Dlaczego? Ponieważ zwykłym Niemcom wydawało się, że prowadzi bardzo proste życie. Nigdy nie afiszował się z medalami, prezentował się jako skromny urzędnik państwowy, a propaganda nagłaśniała jego działalność społeczną. Tysiące Niemców wysyłało do Hessa listy z prośbami o interwencję.

Jakie to były sprawy?

Na początku wojny, kiedy tysiące niemieckich kobiet straciły swoich mężczyzn, do Hessa trafiały listy od tych matek, które miały dzieci urodzone w związkach pozamałżeńskich. W III Rzeszy takie dzieci nie miały prawa do renty po poległym ojcu. Hess publicznie stwierdził, że to niedopuszczalne, i ogłosił, że zostanie „ojcem chrzestnym" wszystkich tych dzieci. I faktycznie załatwił im państwowe renty. Takie gesty sprawiały, że zwykli Niemcy go uwielbiali.

Hess pełnił, zresztą na prośbę Hitlera, funkcję szefa NSDAP.

W związku z tym miał mnóstwo oficjalnych obowiązków. Musiał jeździć po całych Niemczech i wygłaszać przemowy na każdy temat. Dla milionów Niemców, których spotykał przy tych okazjach,

eprasa.pl 65c12f148d

Hess był zastępcą Hitlera – przemawiał przecież w jego imieniu. Dlatego jego zniknięcie było wielkim upokorzeniem dla przywódcy III Rzeszy.

W Związku Sowieckim rodzina człowieka, który zrobiłby coś takiego Stalinowi, bez wątpienia trafiłaby do łagru, o ile od razu nie zostałaby rozstrzelana.

W tym przypadku było jednak inaczej. Jego żona, Ilse, była „starą" aktywistką NSDAP. Ilse była zakochana na zabój w Hessie. On sam nie za bardzo się do niej garnął, bo jak już wiemy, kobiety w ogóle go nie pociągały. Hess wyszedł z więzienia w Landsbergu kilka dni po Hitlerze. Kiedy opuszczał jego mury, pod bramą stało auto, w którym siedzieli Hitler i właśnie Ilse. Hitler uwielbiał ją i zmusił Hessa do zawarcia małżeństwa. Nie dziwmy się więc, że oszczędził jego rodzinę.

Najbliżsi współpracownicy Hessa wpadli jednak w wielkie tarapaty, m.in. jego adiutanci.

Nie tylko oni trafili za kratki. W III Rzeszy po locie Hessa urządzono regularne polowanie na wszelkiej maści wróżbitów, którzy trafili następnie do obozów. Hitler uważał, że to oni odpowiadają za upadek Hessa, ponieważ wierzył on, że wszystko zapisane jest w gwiazdach. Przed lotem do Szkocji Hess upewnił się u swojego wróżbity, że akurat 10 maja będzie idealnym dniem na lot pod kątem ustawienia planet.

Czy wierzy pan w oficjalną przyczynę śmierci Hessa – samobójstwo? Niektórzy brytyjscy historycy twierdzą, że tak naprawdę zabili go Brytyjczycy, ponieważ miał on znać jakieś kompromitujące Wielką Brytanię sekrety.

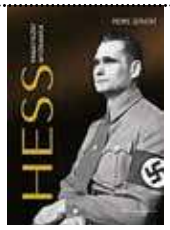

PIERRE SERVENT
„RUDOLF HESS. FANATYCZNY WYZNAWCA"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

[śmiech] Przepraszam, ale to kompletny odlot. Jestem emerytowanym pułkownikiem francuskiej armii. Przez lata pracowałem w kierownictwie ministerstwa obrony i wiem co nieco na temat działalności służb specjalnych.

Brytyjski rząd miał Hessa w garści w latach 1941–1945. Po wojnie został on odesłany do Norymbergi. Jeżeli Hess znałby jakiś bardzo niewygodny dla Brytyjczyków sekret, to zabójcy Jego Królewskiej Mości mieliby cztery lata, by spadochroniarz z Niemiec zszedł z tego świata. Hess dwa razy próbował odebrać sobie życie w niewoli brytyjskiej. Wystarczyło zorganizować dla niego trzecią próbę, tym razem udaną. Proszę mi wierzyć, że służby specjalne mają setki sposobów na profesjonalne uśmiercanie bez pozostawiania śladów. Dlaczego więc Brytyjczycy mieliby go zabić dopiero w 1987 r.? Czy Margaret Thatcher obudziła się któregoś dnia i stwierdziła z przerażeniem: „O matko, w więzieniu w Berlinie siedzi Rudolf Hess, który zna kompromitującą nas tajemnicę. Musimy go jak najszybciej zgładzić! Dziś przypada amerykańska zmiana strażników, więc to najlepszy moment na zabójstwo!". Czy ktokolwiek w to wierzy? Myślę, że jest prostsze wyjaśnienie tej historii. Zachował się list Hessa do żony, w którym pisze on, że jest chory i w przypadku pogorszenia stanu zdrowia chciałby być poddany eutanazji.

Kto jak kto, ale Niemcy mieli w tym temacie olbrzymie doświadczenie z czasów wojny.

Tak, Hess na pewno był doskonale zaznajomiony z tą tematyką. Czytałem raporty medyczne z autopsji. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że to było samobójstwo.

Jeżeli tak faktycznie było, to Hess mógł chyba wymyślić dla siebie lepszą śmierć niż powieszenie się na kablu elektrycznym zawiązanym na uchwycie od okna znajdującym się na wysokości 1,4 m...

Pamiętajmy jednak, że Hess był już bardzo stary i słaby. Miał problem z podnoszeniem rąk. Bez pomocy z zewnątrz nie byłby w stanie popełnić samobójstwa w „zwykły" sposób, czyli wieszając się np. na haku od żyrandola. Powieszenie się na uchwycie okiennym to faktycznie bardzo drastyczna śmierć, ale Hess uznał najwyraźniej, że nie ma innego wyboru.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pierre Servent jest francuskim badaczem historii drugiej wojny światowej. W Polsce ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „Hess. Fanatyczny wyznawca" (wyd. Prószyński i S-ka).

REKLAMA

eprasa.pl 65c12f148d

1975 r. / Libańska wojna religii, polityki i cywilizacji

Izraelska inwazja na Liban

Arkadiusz Karbowiak

Izraelski „Pokój dla Galilei" zaostrzył w 1982 r. wojnę toczoną od siedmiu lat w spokojnym, kwitnącym przedtem kraju

W czasie izraelskiej wojny o niepodległość toczonej w latach 1948–1949 doszło do masowego exodusu ponad 750 tys. Palestyńczyków, którzy osiedlili się na terytoriach sąsiednich państw arabskich. Aż 458 250 uchodźców znalazło schronienie w Królestwie Transjordanii (potem Jordanii). Ta liczba powiększyła się o kolejne 400 tys., przybyłych po zakończeniu wojny sześciodniowej w czerwcu 1967 r., kiedy to część znajdujących się pod panowaniem jordańskim palestyńskich terytoriów została zajęta przez armię izraelską. Król Husajn ibn Talal nadał im obywatelstwo jordańskie, chcąc doprowadzić do integracji z resztą społeczeństwa.

Nie byli tym zainteresowani liderzy palestyńscy, skłonni raczej do podtrzymywania wśród rodaków złudzeń o rychłym powrocie do swych dawnych miejsc zamieszkania. Jeszcze przed wojna sześciodniową, w 1964 r. powołana została do życia Organizacja Wyzwolenia Palestyny, skupiająca różne, dążące do zbudowania niepodległego państwa ugrupowania palestyńskie. Główną rolę w OWP odgrywało ugrupowanie Al-Fatah Jasira Arafata, który w 1969 r. stanął na czele organizacji. OWP będąca formacją militarno-polityczną o świeckim i zdecydowanie lewicowym charakterze stworzyła na terenach Jordanii swoiste quasi-państwo. Nie miały nad nim kontroli ani armia, ani policja jordańska.

Tę mało komfortową sytuację rządu w Ammanie pogłębiał fakt coraz większej ingerencji Palestyńczyków w wewnętrzną politykę Jordanii. Znajdujący się w składzie OWP marksistowscy radykałowie z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny – LFWP George'a Habasza – otwarcie wzywali do obalenia reakcyjnej i proamerykańskiej dynastii Haszymidów. Takie odezwy budziły poważne zaniepokojenie króla Husajna i jego otoczenia. Król początkowo miał nadzieję, że zdoła się porozumieć z OWP, ale w obliczu ataków bojówkarzy na funkcjonariuszy państwowych szybko doszedł do przekonania, że nie jest to możliwe. Dlatego – aby ochronić kraj przed anarchizacją i dezintegracją – podjął decyzję o całkowitym usunięciu struktur OWP z terytorium Jordanii.

Pretekstu do przeprowadzenia operacji dostarczyli mu Palestyńczycy. 6 września 1970 r. terroryści z LFWP porwali w Europie cztery samoloty pasażerskie. Trzy sprowadzono na jedno z jordańskich lotnisk i, po uprzednim zwolnieniu pasażerów, wysadzono. Po tym zdarzeniu LFWP ogłosiła północną cześć kraju palestyńskim wyzwolonym terytorium. 16 września 1970 r. oddziały armii jordańskiej uderzyły na obozy OWP ulokowane niedaleko Ammanu, rozpoczynając tym samym operację oczyszczenia królestwa ze zbrojnych grup Al-Fatahu. Zakończono ją w lipcu 1971 r. Większość bojówkarzy OWP wraz z 300 tys. cywilów przeniosła się na terytorium Libanu, a niewielka cześć osiadła w Syrii.

Konflikt wyznań

Liban, podobnie jak wcześniej Jordania, stał się kolejną siedzibą Fatahlandu. W libańskiej dolinie Bekaa powstały liczne obozy szkoleniowe OWP. Pod okiem

eprasa.pl 65c12f148d

Izraelscy żołnierze w Libanie

FOT. MICHAEL ZARFATI/IDF SPOKESPERSON'S UNIT/CC BY-SA 3.0

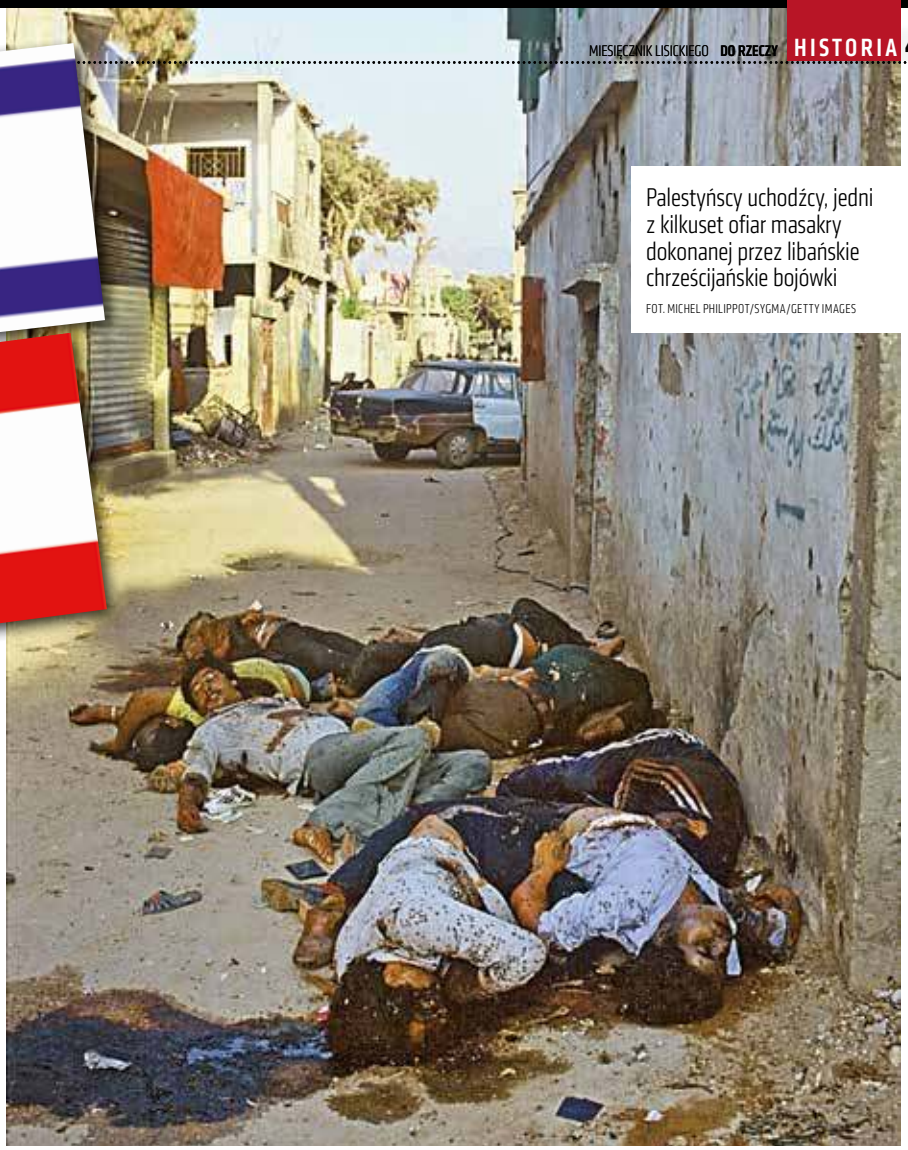

Palestyńscy uchodźcy, jedni z kilkuset ofiar masakry dokonanej przez libańskie chrześcijańskie bojówki

FOT. MICHEL PHILIPPOT/SYGMA/GETTY IMAGES

instruktorów z krajów socjalistycznych, m.in. ZSRS i NRD, szkoliło się tam nie tylko 15 tys. palestyńskich fedainów, lecz także członkowie terrorystycznych ugrupowań działających w Europie Zachodniej w rodzaju zachodnioniemieckiej Frakcji Czerwonej Armii czy włoskich Czerwonych Brygad. Pobyt OWP w Libanie zbiegł się z pogłębiającymi się problemami wewnętrznymi tego państwa.

Liban był krajem zamieszkałym przez muzułmanów, szyitów i sunnitów oraz maronickich chrześcijan. Porozumienie z 1943 r., zwane Paktem Narodowym, podzieliło struktury władzy pomiędzy poszczególne wspólnoty religijne. Stanowisko prezydenta przyznano przedstawicielowi najliczniejszej z nich, czyli chrześcijanom, funkcję premiera sprawował sunnita, a przewodniczącym parlamentu był szyita. Niestety, utrzymanie tego modelu w latach 70., kiedy zmieniły się proporcje demograficzne na rzecz muzułmanów, było coraz trudniejsze. Czynnikiem wzmagającym stan napięcia było otwarte popieranie przez Palestyńczyków islamskiej społeczności w sporach z chrześcijańską mniejszością. W takiej sytuacji wybuch zbrojnej konfrontacji był tylko kwestią czasu.

Zainicjowały ją wydarzenia z 26 lutego 1975 r., kiedy rybacy w mieście Sydon zaprotestowali przeciwko monopolizacji połowów ryb przez firmę Protien, należącą w 50 proc. do chrześcijańskiego maronity, byłego prezydenta Libanu z lat 1952–1958 Camille'a Chamouna. Protest postanowiły wykorzystać ugrupowania muzułmańskiej lewicy i OWP. Podczas zorganizowanej przez nie demonstracji lewicowi bojówkarze użyli broni, niszcząc za pomocą granatników przeciwpancernych jeden z pojazdów wojskowych. Śmierć poniósł wówczas podoficer libańskiej armii, a kilku żołnierzy odniosło rany.

W odpowiedzi wojsko odpowiedziało ogniem. Od wystrzelonych kul zginął znany panarabski polityk, współzałożyciel Ludowej Organizacji Nasserowskiej Maroufa Saad. Kierowaną przez chrześcijańskich dowódców armię oskarżono o dokonanie morderstwa z premedytacją. Na ulicach libańskich miast doszło do zamieszek. Rząd próbował opanować sytuację, ale wymknęła się spod kontroli po wydarzeniach z 13 kwietnia 1975 r. Tego dnia członkowie milicji falangistowskiej, będącej zbrojnym ramieniem Libańskiej Falangi, kierując ruchem pojazdów przed położonym we wschodniej części Bejrutu kościołem Notre Dame de la Delivrance, próbowali zmusić do wyboru innej trasy jazdy pojazd, w którym podróżowała grupa bliżej nieokreślonych bojówkarzy. Ponieważ fedaini się nie zatrzymali na wezwanie, milicjanci otworzyli ogień, zabijając kierowcę.

Około godz. 10.30 do wychodzących po ceremonii chrztu falangistów otwarto ogień z samochodu oznakowanego znakami LFWP. Znajdowali się w nim najprawdopodobniej bojówkarze Syryjskiej Partii Socjalno-Nacjonalistycznej. Zabite zostały cztery osoby, w tym szef ochrony falangistowskiego lidera Pierre'a Gemayela, Joseph Abu Assi. Milicjanci postanowili wziąć odwet za tę zbrodnię i po południu otworzyli ogień do autobusu wiozącego cywilów (kobiety i dzieci) oraz fedainów z Arabskiego

eprasa.pl 65c12f148d

Frontu Wyzwolenia. W rezultacie ostrzału zginęło 27 Palestyńczyków, a 19 odniosło rany. Wiadomość o masakrze autobusowej obiegła cały Bejrut. Miasto stanęło momentalnie w ogniu walk, które wybuchły pomiędzy milicją falangistowską a muzułmańskimi bojówkami wspieranymi przez OWP. W ten sposób rozpoczęła się w Libanie trwająca 15 lat wojna domowa.

Po jednej stronie uczestniczyli w niej – w ramach utworzonego Frontu Libańskiego – Falanga Libańska Pierre'a Gemayela, Brygada Marada, czyli milicja prezydenta Libanu Sulejmana Farandżiji, Strażnicy Cedrów Etienne Sakra i Al-Tanzim Georges'a Adwana. Formacje te, nazywane powszechnie falangistami, tworzyły jednostki Sił Libańskich. Po drugiej strony barykady oprócz OWP i innych rozłamowych palestyńskich organizacji terrorystycznych znalazły się ugrupowania z Libańskiego Ruchu Narodowego, Syryjska Partia Socjalno-Nacjonalistyczna, druzyjska Postępowa Partia Socjalistyczna Kamala Dżumblatta czy Libańska Partia Komunistyczna.

Ingerencje zza granic

Oprócz zaangażowania w konflikt wewnętrzny w Libanie OWP prowadziła intensywną działalność terrorystyczną na terenie Izraela. Skutkowała ona operacjami odwetowymi w postaci rajdów izraelskich jednostek specjalnych lub bombardowań. Jednak kiedy podczas tzw. masakry na drodze nadbrzeżnej zabito 39 Izraelczyków, w tym 13 dzieci, a 76 osób raniono, władze z Tel Awiwu postanowiły zareagować znacznie bardziej zdecydowanie na to zdarzenie niż dotychczas. 14 marca 1978 r. rozpoczęła się operacja „Litani". Zadaniem biorących w niej udział wojsk było wyparcie sił OWP z terenów południowego Libanu za rzekę Litani. Na zajętych obszarach utworzono strefę buforową, w której władza została przekazana w ręce majora armii libańskiej Saada Haddada.

Ów oficer pod parasolem ochronnym Izraela utworzył Armię Wolnego Libanu przemianowaną w maju 1980 r. na Armię Południowego Libanu. Jej oddziały ściśle współdziałały z jednostkami Sił Obronnych Izraela. W APL służyli, obok chrześcijan, także szyici i druzowie. Po śmierci Haddada w 1984 r. dowództwo nad tą strukturą przejął gen. Antoine Lahad. Operację „Litani" przerwała interwencja USA. Na wniosek Waszyngtonu Rada Bezpieczeństwa ONZ wydała rezolucję nr 425, nakazującą przerwanie ognia i wycofanie wojsk izraelskich z terytorium Libanu. Jednocześnie na obszarach ogarniętych konfliktem rozmieszczono oddziały Tymczasowych Sił Zbrojnych ONZ w Libanie (UNIFIL). Ich obecność nie zwiększyła bezpieczeństwa Izraela. Fedaini z OWP swobodnie przedostawali się na terytorium żydowskiego państwa, gdzie dokonywali kolejnych zamachów.

Tymczasem w wojnę domową w Libanie coraz bardziej ingerowała Syria, wprowadzając na teren Libanu swoje wojska oraz wspierając muzułmańskie oraz palestyńskie bojówki. Izrael dla przeciwwagi wspomagał maronitów. W grudniu 1980 r. Siły Libańskie podjęły próbę usunięcia Syryjczyków z Libanu. Doszło do zaciętych walk. Tym razem na prośbę falangistów w starciach, na polecenie premiera Menachema Begina, wzięło udział izraelskie lotnictwo. Interwencja stanowiła kolejny krok pogłębiający zaangażowanie rządu izraelskiego w wojnę domową w Libanie.

Premier poszukiwał pomysłu na przerwanie albo zmniejszenie rosnącej liczby ataków palestyńskich fedainów na terytorium Izraela. Ten były żołnierz Wojska Polskiego doszedł do przekonania, że konieczne jest przeprowadzenie operacji mającej na celu całkowite wyparcie OWP z Libanu. Wydawało mu się, że falangiści okażą się w tych działaniach przydatnym sojusznikiem. W tej materii przywódcę Likudu miało spotkać głębokie rozczarowanie. Wydanie decyzji o ataku przyspieszyły informacje, które nadeszły z Wielkiej Brytanii. W Londynie trzech zamachowców – dwóch z Rady Rewolucyjnej Fatah, organizacji wspieranej przez wywiad iracki, a potem syryjski, kierowanej przez dysydenta z OWP Abu Nidala: Jordańczyk Hussein Ghassan Said i Marvan al-Banna oraz oficer wywiadu irackiego Nawaf al-Rosan – dokonało 3 czerwca 1982 r. zamachu na wychodzącego z bankietu w hotelu Dorchester ambasadora Izraela Szlomo Argowa. Postrzelony w głowę Argow przeżył i przez 21 lat leżał sparaliżowany.

Następnego dnia po próbie zabójstwa samoloty izraelskie zniszczyły obóz OWP Bourg el-Barajn, natomiast Palestyńczycy w odpowiedzi ostrzelali północną Galileę. Zebrany 5 czerwca 1982 r. w trybie nagłym sztab kryzysowy rządu izraelskiego doszedł do wniosku, że 280 różnych incydentów zbrojnych, które miały miejsce z udziałem OWP w ostatnich dwóch latach, daje podstawę do interwencji militarnej w Libanie (premier nie ujawnił wszystkich jej celów).

SOI atakuje

W sobotę 6 czerwca 1982 r. siły lądowe SOI liczące 78 tys. żołnierzy, 1240 czołgów i 1500 samochodów pancernych, osłanianych z powietrza przez 634 samoloty i 42 helikoptery wkroczyły do Libanu, rozpoczynając operację „Pokój dla Galilei". Przewaga techniczna oraz ogniowa powodowała, że tempo natarcia było bardzo duże. Bronione punkty oporu w miastach starano się omijać, nie wdając się w walki uliczne. Ciekawym epizodem kampanii była bitwa stoczona o średniowieczną twierdzę Beaufort.

W zamku stacjonowała niewielka załoga złożona z 21 członków tzw. batalionu studenckiego Al-Fatah pod dowództwem Yaqouba Abdela-Hafiza Sumoura. W pobliskich wsiach rozmieszczono inne jednostki Fatahu oraz grupę fedainów z marksistowsko-maoistycznego Demokratycznego Frontu Wyzwolenia Palestyny (grupa rozłamowa z LFWP kierowana przez Hafifa Hawatima). Zanim doszło do szturmu, pozycje palestyńskie ostrzelała artyleria i zbombardowało lotnictwo, używając bomb kasetonowych. Palestyńczykom, za pomocą ręcznie odpalonej rakiety typu Strieła-2, udało się zestrzelić myśliwiec bombardujący Skyhawk A-4. Pilot kapitan Acharon Achiaz katapultował się i trafił do niewoli.

Początkowo Izraelczycy zamierzali przeprowadzić atak w ciągu dnia, ale z powodu zatłoczonych dróg 88-osobowa grupa szturmowa, składająca się z 65 saperów i 23 żołnierzy oddziału rozpoznawczego z Brygady Golani, dotarła na miejsce dopiero po południu i musiała się obejść bez wsparcia czołgów, które utknęły. Po rozpoczęciu walk saperzy szybko opanowali wyznaczone pozycje, natomiast komandosi przygwożdżeni zostali ogniem karabinów maszynowych. Na szczyt dotarło ich zaledwie ośmiu (dwóch po-

eprasa.pl 65c12f148d

legło, a czterech odniosło rany), reszta tkwiła na przedpolu, kryjąc się przed ogniem obrońców. Przełomowy okazał drugi atak, w którym brał udział dowódca ppłk Giory Harnik. Niestety, poległ w jego trakcie. 7 czerwca od godz. 6.30 oddziały SOI w pełni kontrolowały twierdzę. Zginęli wszyscy obrońcy i sześciu Izraelczyków.

10 czerwca 1982 r. 211. Brygada dowodzona przez płk. Eli Geva dotarła od południa do przedmieść Bejrutu. Cztery dni później 35. Brygada połączyła się z siłami milicji falangistowskiej, zamykając ostatecznie pierścień okrążenia wokół miasta. Bejrut był ostrzeliwany przez izraelską artylerię oraz stale bombardowany przez siły powietrzne, także za pomocą bomb fosforowych. Te ataki powodowały olbrzymie ofiary wśród ludności cywilnej, choć wypada wspomnieć, że przed rozpoczęciem ostrzału miasta lotnictwo izraelskie rozrzuciło ulotki wzywające ludność cywilną do jego opuszczenia. Zdobywać Bejrutu nie chciano.

Premier Menachem Begin miał nadzieję, że uczynią to milicje falangistowskie. Były to błędne przypuszczenia. Ich lider Baszira Gemayela uważał, że to zadanie powinni wykonać Izraelczycy. Stworzyła się swego rodzaju sytuacja patowa. Przystąpienie do walk ulicznych w konsekwencji pociągnęłoby za sobą poważne straty wśród żołnierzy i pogorszyło pozycję premiera w kraju. Natomiast oblężenie i wynikające z niego cierpienia cywilów obniżały reputację i niszczyły wizerunek państwa żydowskiego na arenie międzynarodowej. Pewnym wybawieniem w tej sytuacji okazało włączenie się do działań zmierzających do zakończenia konfliktu dyplomacji amerykańskiej. Ich efektem było wyrażenie zgody przez Arafata na wycofanie sił OWP z Bejrutu. Miasto i tereny położone wokół niego miały opuścić również wojska izraelskie i syryjskie. Nadzór nad tą operacją sprawował mieszany kontyngent sił pokojowych amerykańsko- włosko-francuskich. Do początku września ponad 10 tys. palestyńskich fedainów wyjechało z Libanu. Arafat postanowił przenieść swoją kwaterę do Tunisu. Wydawało się, że główny cel operacji „Pokój dla Galilei" został osiągnięty.

Sabra i Szatila

W Tel Awiwie jednak oczekiwano na pojawienie się w Libanie przyjaznego Izraelowi rządu i podpisanie z nim traktatu pokojowego. Nadzieję na realizację tych oczekiwań wzrosły, gdy 23 sierpnia 1982 r. parlament libański wybrał na prezydenta falangistowskiego przywódcę Baszira Gemayela. Początkowo nowy przywódca, choć przyjazny Izraelowi, odrzucił propozycję dotyczącą zawarcia układu pokojowego, nie chcąc jawnie wiązać się z Tel Awiwem. Do dalszych negocjacji w tej kwestii nie doszło, ponieważ 14 września 1982 r. prezydent zginął wraz z 25 innymi osobami w zamachu przeprowadzonych przez Habiba Chartouniego, agenta wywiadu syryjskiego i członka Syryjskiej Partii Socjalno-Nacjonalistycznej.

Izraelczycy, którzy już wcześniej otoczyli obozy uchodźców palestyńskich w Bejrucie w reakcji na zamach, postanowili obsadzić, łamiąc podpisane wcześniej porozumienie, szereg strategicznych obiektów w mieście. Minister obrony Ariel Szaron był przekonany, że w obozach ukrywają się uzbrojeni palestyńscy fedaini. Do wkroczenia do nich zdecydowano się wykorzystać, dyszące żądzą zemsty, falangistowskie milicje (początkowo myślano, że za zamachem stoi OWP). W nocy z 14 na 15 września na rozmowy z ich dowódcami przybył do Bejrutu szef sztabu SOI gen. Rafael Etian. Dzień później konferował on z Arielem Szaronem. 16 września 1982 r. 150-osobowe komando falangistowskie, dowodzone przez Maruna Mashalani Michaela Zuwayna, pod ogólnym nadzorem szefa falangistowskiego wywiadu Eliego Hobeiki, wkroczyło do obozów Sabra i Szatila.

Teoretycznie zadaniem falangistów było ich oczyszczenie z bojowników OWP. W praktyce dopuścili się masakry cywilów, podczas której zamordowano co najmniej 460 osób w tym 15 kobiet i 20 dzieci (inne dane określają liczbę zabitych na 1,7 tys. osób). Zbrodnia wywołała protesty na całym świecie. W Izraelu rząd powołał do ustalenia przebiegu zdarzeń specjalną komisję, która uznała Szarona za pośrednio odpowiedzialnego za wydarzenia w obozach. Begin zdecydował się odwołać generała ze stanowiska szefa MON, ale pozostawił go w rządzie jako ministra bez teki.

W maju 1983 r. Izrael podpisał porozumienie w sprawie wycofania swoich wojsk z Libanu. Ostatni żołnierze wyjechali z tego kraju 10 czerwca 1985 r. Jednak aż do 2000 r. stacjonowali w buforowej strefie bezpieczeństwa w południowym Libanie. W latach 1982–1985 poległo w walkach 654 Izraelczyków, a 3887 odniosło rany.

RYS. JACEK GRAMBURG

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c12f148d

Portret książąt Stanisława, Janusza i Anny. Po prawej: ich pieczęć

FOT. PIOTR LIGIER/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

1526 r. / Wygaśnięcie linii Piastów mazowieckich

Śmierć ostatnich dwóch książąt

Sławomir Koper

Na wzburzonym Mazowszu mówiono o truciźnie. Za winną zgonów Stanisława i Janusza uznawano również królową Bonę...

Od połowy XIV w. mazowiecka linia Piastów była lennikami władców z Krakowa, co oznaczało, że – w przypadku bezpotomnej śmierci poszczególnych książąt – ich posiadłości inkorporowano do Polski. W ten sposób przyłączono: Bełz, Rawę, Gostynin, Sochaczew oraz księstwo płockie. Władza ostatniego przedstawiciela rodu, Konrada III Rudego, została ograniczona wyłącznie do wschodniego Mazowsza, ale wiadomo było, że po jego bezpotomnej śmierci także te obszary zostaną włączone do Korony.

W 1497 r. książę poślubił córkę wojewody wileńskiego, Annę Radziwiłłównę, i niebawem doczekał się dwóch synów i dwóch córek. Narodziny męskich potomków zostały powitane z radością przez miejscowe możnowładztwo i rycerstwo, które było bardzo przywiązane do rodziny książęcej. Chociaż bowiem Konrad nie cieszył się osobistą popularnością, to jednak większość jego poddanych nie chciała inkorporacji do Królestwa Polskiego.

Narodziny następców nie przyniosły jednak księciu osobistego szczęścia, gdyż Piast zmarł już w październiku 1503 r. Jego synowie, Stanisław i Janusz, mieli wówczas odpowiednio trzy i dwa lata, a regencję objęła wdowa po księciu. Była to kobieta wielkiej urody i ambicji, a przy okazji też ogromnego temperamentu. W chwili śmierci męża miała dopiero 27 lat i postanowiła ułożyć sobie życie na nowo.

Spowodowało to oburzenie miejscowych możnowładców. Nad Wisłą nigdy nie było tradycji damskich rządów, a mazowiecką szlachtę dodatkowo oburzał fakt, że Radziwiłłówna nie zamierzała żyć w abstynencji seksualnej. Nawiązała bowiem romans z byłym pisarzem dworskim, Janem Mrokowskim, a gdy ten się jej znudził, jej kolejnym partnerem został drobny szlachcic, Andrzej Zaliwski. Był to przystojny mężczyzna wyróżniający się „długimi, lekko kręconymi włosami i urodą rumianego oblicza". Do tego okazał się całkiem zdolnym administratorem, co zaowocowało błyskawiczną karierą, gdyż został starostą liwskim, później warszawskim i najbardziej zaufanym doradcą księżnej.

Niestety, faworyt był nie tylko zdolnym urzędnikiem, lecz także osobnikiem wyniosłym i zarozumiałym. Mazowiecką szlachtę – oprócz urody i zachowania Zaliwskiego – drażniło przede wszystkim powodzenie finansowe Zaliwskich. W dzielnicy narastało wrzenie, a powód do buntu szybko się znalazł. Zgodnie z ówczesnymi obyczajami książę Stanisław stał się pełnoletni w wieku 14 lat, a zatem już w 1514 r. matka powinna przekazać mu władzę.

Mazowsze stanęło na progu wojny domowej i zbuntowana szlachta obległa księżnę Annę w Makowie Mazowieckim, gdzie przebywała razem z synami i Zaliwskim. Napastnicy podobno „w nader grubych słowach" żądali rezygnacji księżnej z regencji, a w ślad za inwektywami leciały pociski, tak że niewiele brakowało, by został trafiony książę Stanisław. Obie strony poprosiły o mediację Zygmunta Starego, ale prawo było jednoznaczne, książę Stanisław miał

eprasa.pl 65c12f148d

już 17 lat, zatem od dawna powinien sprawować samodzielne rządy. Radziwiłłówna nie miała wyboru i musiała się zgodzić z decyzją, chociaż zachowała decydujący wpływ na syna.

Prawdopodobnie też nie zerwała związku z Zaliwskim, który dalej odgrywał znaczną rolę na Mazowszu. Gdy zmarł w lipcu 1521 r., odnotowano to w Metryce Książęcej wraz z informacją, że kasztelan spoczął w kolegiacie św. Jana w Warszawie (obecnej archikatedrze). Anna zmarła kilka miesięcy później.

Zgubne obyczaje

Księżna bardziej dbała o rozrywki dorastających synów niż o regularną edukację. Przydzieliła im nawet osiem dziewcząt, by mogli zaspakajać swoje młodzieńcze żądze, i książęta chętnie korzystali z „podarunku". Rodzicielka tolerowała również skłonności synów do alkoholu, tak jakby chciała ich zająć przyjemnościami codziennego życia, by nie byli zainteresowani rządami w księstwie.

Cel swój osiągnęła, gdyż młodzi Piastowie najbardziej interesowali się alkoholem i seksem, chociaż nie zaniedbywali też nauki rycerskiego rzemiosła. Obaj też wyróżniali się w tej dziedzinie, a Janusz imponował jeszcze potężną posturą i niemal nadludzką siłą. Opowiadano nawet, że miał podwójną kość pacierzową (guziczną), co po wiekach udało się potwierdzić. Ale tryb życia książąt wzbudzał niepokój otoczenia, chociaż bardziej z powodów finansowych niż obyczajowych. Dochody władców Mazowsza nigdy nie były zbyt duże, a bracia zaczęli przejawiać wyrafinowane upodobania i „stary miód z puszcz mazowieckich nie podniecał już dość silnie wśród biesiad", a miejscowe piwo „nie grzało". Na dwór sprowadzano z dalekich stron „wino reńskie, więc muszkatele, więc małmazje", co było wyjątkowo kosztowne, zwłaszcza że książęta nie pijali trunków samotnie, ale dosłownie lały się one strumieniami podczas wystawnych uczt. Zdarzały się nawet sytuacje, gdy uczestnicy biesiad kazali sobie wino „lejem w gębę lać aż do dna". Bardziej to przypominało czasy saskiego sarmatyzmu niż początków renesansu.

Poważnym obciążeniem dla skarbu było również upodobanie dynastów do płci pięknej, tym bardziej że obaj przejawiali prawdziwie piastowski gest. Szczodrze zatem obdarzali swoje wybranki „obfitością sznurów pereł, złotych naszyjników, pasów nabijanych złotymi kamieniami, adamaszków". Dwór książęcy wciąż był bez pieniędzy i nie pomagały zastawy lub sprzedaż majątków piastowskich. Pożyczano zatem pieniądze od warszawskich lichwiarzy lub brano towary na kredyt. Doszło wreszcie do tego, że spieniężono nawet osobiste klejnoty jednej z książęcych sióstr.

W sierpniu 1524 r. książę Stanisław odwiedził brata w Błoniu. Zasiedli do uczty, biesiada przerodziła się w dziką pijatykę i następnego dnia Stanisław był mocno niedysponowany. Postanowił jednak wracać do Warszawy i na ciężkiego kaca wmusił w siebie kawałek kapłona polanego małmazją octową. Posiłek nie poprawił samopoczucia i z każdym kilometrem Piast czuł się coraz gorzej. Wzbudziło to zdziwienie jego otoczenia, gdyż dotychczas książę raczej dobrze radził sobie z takimi sytuacjami. W Warszawie zatrzymał się w kamienicy należącej do księży mansjonariuszy przy placu Zamkowym i tam też zmarł.

Chociaż śmierć młodego księcia była dużym zaskoczeniem, a lekarze nie potrafili wyjaśnić jej przyczyn, początkowo nie prowadzono żadnego dochodzenia. Normalną koleją odbył się pogrzeb, a jedynym władcą dzielnicy został Janusz III. Śmierć brata nie wpłynęła nań specjalnie i młodszy z Piastów wciąż prowadził bardzo rozrywkowy tryb życia – aż zachorował na przełomie lat 1525 i 1526. Nic nie wiemy bliższego na temat przebiegu schorzenia poza tym, że była to choroba przewlekła. Był jednak okres kilku tygodni, gdy książę poczuł się lepiej, a medycy uznali, że jego organizm przezwyciężył kryzys. Zaczęto też podejrzewać, że Piast był podtruwany, i że śmierć jego starszego brata też nie była naturalna.

Rozpoczęto energiczne śledztwo i skierowano podejrzenia na ambitną córkę wojewody płockiego, Katarzynę Radziejowską. Początkowo była kochanką starszego z braci i nie ukrywała, że miała wobec niego plany matrymonialne. Stanisław, jak to mężczyzna, unikał jasnych deklaracji, a poza tym miał też inne partnerki. Co gorsza, rozpoczął rozmowy w sprawie małżeństwa z córką Zygmunta Starego i w tej sytuacji wojewodzianka przerzuciła swoje względy na młodszego z braci, a starszego postanowiła się pozbyć. Dlatego dalej bywała na dworze i przy okazji zapewniła sobie współpracę starosty błońskiego, Piotra Jordanowskiego. Podobno był on nieprzytomnie zakochany w Radziejowskiej, co jednak nie przeszkadzało mu w organizacji jej schadzek z księciem Januszem.

Oboje byli też obecni na biesiadzie wydanej przez młodszego z braci w Błoniu i to właśnie Radziejowska miała podać Stanisławowi kapłona, którego osobiście przyrządziła. Winna małmazja miała zapewne zakamuflować smak trucizny, możliwe zresztą, że również była nafaszerowana toksynami. Podobno zaraz po wyjeździe księcia Radziejowska kazała zabrać Jordanowskiemu niedojedzoną potrawę i ją zniszczyć.

Wkrótce okazało się jednak, że Janusz III także nie zamierzał ożenić się z wojewodzianką i podjął plany matrymonialne brata. Tego Radziejowska nie zamierzała darować, tym bardziej że kochanek nie wywiązał się z ważnych dla niej zobowiązań majątkowych. Skoro nie było ołtarza ani pieniędzy, zatem musiał być pogrzeb.

Radziejowska miała podtruwać kochanka, robiła to jednak znacznie bardziej subtelnie niż w przypadku Stanisława. Pierwszy atak choroby przyszedł jeszcze przed końcem roku, kiedy Piast przebywał u przyjaciela Jakuba Brzóski w jego majątku w Rzwieniu. To właśnie wówczas zaczął podejrzewać, że podano mu truciznę i zwrócił uwagę na dziwne okoliczności śmierci brata. Zarządzone śledztwo wykazało winę Jordanowskiego, który został postawiony przed sądem, skazany na śmierć i ścięty.

Wojewodzianka nie czekała na śledztwo i już wcześniej schroniła się na ziemiach należących do Korony. Wiadomo, że nic

eprasa.pl 65c12f148d

Płyta nagrobna książąt Stanisława i Janusza w warszawskiej katedrze FOT. WIKIPEDIA

się jej nie stało, ale jej dalsze losy są nieznane. Wątpliwe jednak czy były specjalnie szczęśliwie, gdyż została napiętnowana jako trucicielka.

Książę Janusz na początku marca przybył do Warszawy, jednak w stolicy dolegliwości zdrowotne powróciły ze wzmożoną siłą i kilka dni później zmarł. Śmierć władcy nie przerwała śledztwa, zwłaszcza że torturowany w śledztwie Jordanowski wskazał osoby, które miały być zamieszane w otrucie książąt. W tym gronie znaleźli się puszkarz Piotr i muzyk Maciej, którzy kiedyś służyli u kuzyna Radziejowskiej. To oni byli w otoczenia księcia Janusza w Rzwieniu i tam mieli mu podawać truciznę. Dostarczyć miał ją natomiast płocki aptekarz Jan Altansee, a całość koordynowała ziemianka o nazwisku Kliszewska (lub Kliczowska). Pomagała jej w tym jakaś piekarka (handlarka pieczywem?) z Krakowa.

Macieja i Piotra stracono, a poza nimi także większość aresztowanych. Najgorszy los spotkał Kliszewską i jej pomocnicę, gdyż opis ich kaźni do dzisiaj wzbudza przerażenie: „[...] straszne męki zadawano dwóm białogłowom, jakoby które Janusza Księcia Mazowieckiego zgładziły ze świata: wkopali słup pod Warszawą i dwa łańcuchy przy nim, którymi je opak za ręce nago przywiązali, i drew koło nich stosami nakładłszy zapalili: piekły się przez cztery godziny, biegając około słupa, a gdy się z sobą zeszły, kąsały ciało na sobie wzajemnie, aż upieczone pomarły”.

Ani Bona, ani arszenik

Współcześni byli przekonani o otruciu książąt. W skład specjalnej komisji do zbadania sprawy Zygmunt Stary powołał głównie medyków, którzy ostatecznie ogłosili, że „książęta nie sztuką ani sprawą ludzką, lecz z woli Pana Wszechmogącego z tego świata zeszli”. Przeciwnicy króla natomiast twierdzili, że wywierał on wpływ na prace komisji, chcąc odsunąć podejrzenia od Bony, która miała inspirować Radziejowską. Królowa nigdy nie miała dobrej prasy nad Wisłą, gdyż zarzucano jej zachłanność na majątek i trucicielstwo. Bona faktycznie uważała, że ubogi król, to słaby król, ale nie ma żadnego potwierdzonego przypadku używania przez nią trucizny. Warto też pamiętać, że Włochów w tamtej epoce uważano za urodzonych skrytobójców, co rzutowało na obiegowe opinie o królewskiej małżonce.

SŁAWOMIR KOPER
„HISTORYCZNE ARCHIWUM X. TAJEMNICZE ZGONY ZNANYCH POLAKÓW”
FRONDA

Dzisiejsi badacze praktycznie w całości odrzucają hipotezę otrucia ostatnich Piastów mazowieckich. Wskazują, że torturami można było wymusić każde zeznanie, natomiast książęta zeszli z tego świata w sposób naturalny. Nie można jednak wskazać, jakie choroby były przyczyną ich śmierci. Być może cierpieli na gruźlicę, która szczególnie w przypadku młodszego z dynastów była dość prawdopodobna. Na pewno tryb życia, jaki książę prowadził, mógł przyspieszyć postępy choroby. Nie wykluczona jest też marskość wątroby, a w przypadku starszego, Stanisława, zapalenie trzustki, które mogło zmieść go z tego świata w krótkim czasie.

Dziwić może też, że jeżeli śmierć Stanisława była tak niespodziewana, a śledztwo niemal od razu wykazało otrucie, to dlaczego z jego podjęciem czekano na chorobę młodszego brata? Czyżby początkowo nie widziano nic dziwnego w zgonie Stanisława i dopiero z czasem uznano, że sprawa jest podejrzana? Kolejna zagadka.

Badacze tematu przyznają również, że na wygaśnięciu mazowieckiej dynastii najbardziej skorzystała Bona, która w przyszłości miała otrzymać duże nadania w tej dzielnicy. Dlatego też zgodnie z zasadą Is isfecit, cui prodest (Ten uczynił, komu to przyniosło korzyść) zarzuty kierowano na największą beneficjentkę zgonu Piastów. Faktycznie, królowa niebawem miała przekształcić dzielnicę w dobrze prosperujące przedsiębiorstwo handlowo-produkcyjne i nigdy nie narzekała na zbyt niskie dochody z tego tytułu. Ale zarzuty sprawczej roli trucicielki pojawiły się dopiero z upływem czasu, gdy było już wiadomo, że to Bona najlepiej wyszła na inkorporacji Mazowsza do Korony.

Pewne światło na przyczyny zgonu książąt mazowieckich rzuciły badania przeprowadzone po odkryciu ich grobowca w katedrze warszawskiej. Oględziny szczątków w Zakładzie Medycyny Sądowej potwierdziły wiele wcześniejszych relacji na temat budowy ostatnich Piastów, a szczególnie podwójną kość pacierzową Janusza III. Nie znaleziono jednak śladów otrucia, a szczególnie popularnego w tamtych czasach arszeniku. Jednak badania miały miejsce w latach 50. ubiegłego stulecia i gdyby je obecnie powtórzyć, zapewne wiedzielibyśmy więcej o okolicznościach śmierci ostatnich członków mazowieckiej dynastii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

K. Jasiński, „Okoliczności śmierci ostatnich książąt mazowieckich”, „Rocznik Polskiego Towarzystwa Heraldycznego nowej serii”, t. 3.
M. Wawrzeniecki, „Krwawe widma. Ciekawe procesy, tortury i osobliwe egzekucje”, Warszawa 1909.
A. Pawiński, „Ostatnia księżna mazowiecka”, Warszawa 1902.
M. Piber-Zbieranowska, „Andrzej Zaliwski i jego bracia. Przyczynek do dziejów szlachty ziemi liwskiej za regencji księżnej Anny Radziwiłłówny”.

eprasa.pl 65c12f148d

Już 22 listopada w „Do Rzeczy” dodatek

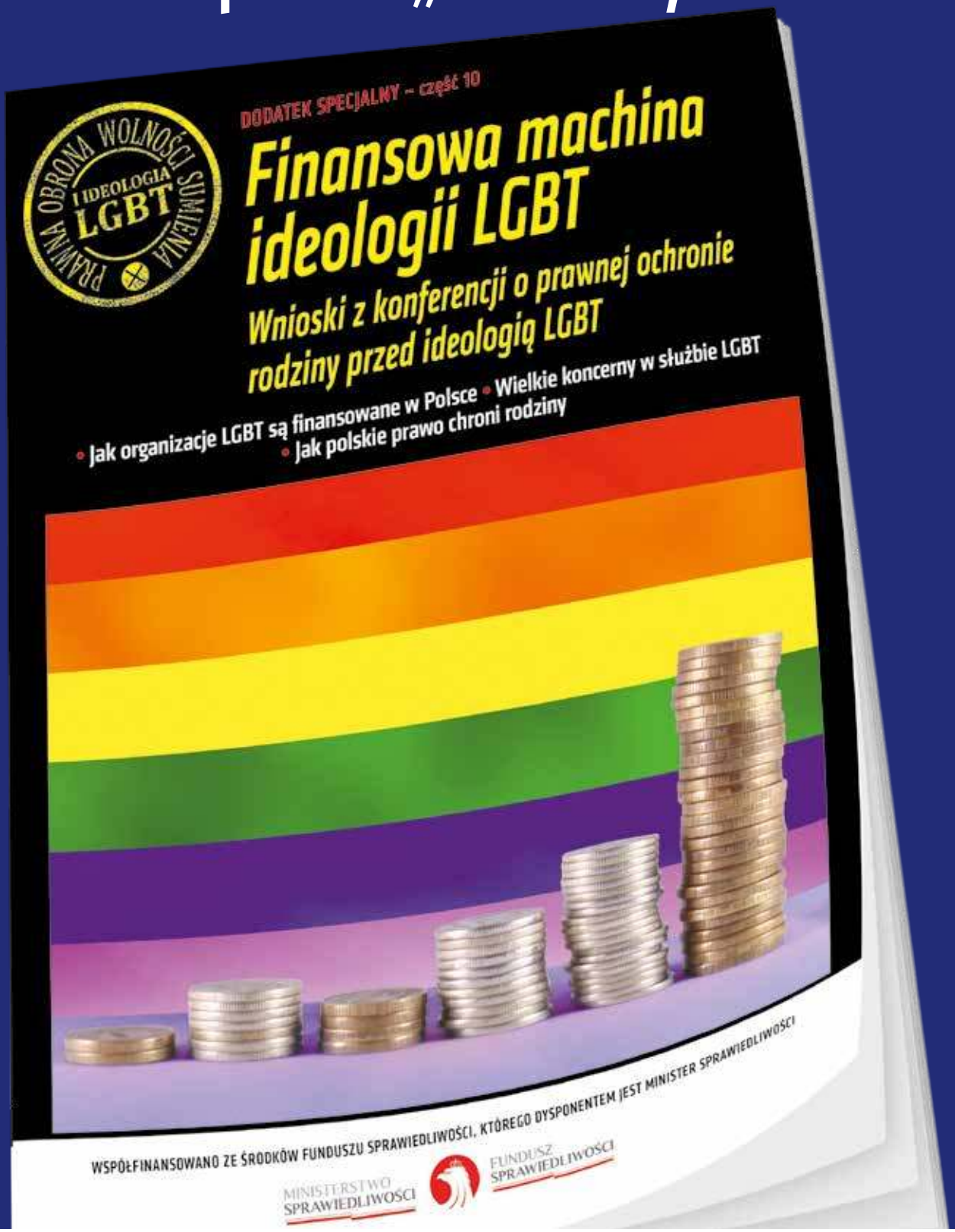

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 65c12f148d

Druga wojna światowa / Serial telewizyjny „Stawka większa niż życie”

Stanisław Mikulski jako Hans Kloss

FOT. FILMOTEKA NARODOWA

Kloss, czyli kłamstwo ekranu

eprasa.pl 65c12f148d

Jakub Ostromęcki

Wybielanie ponurej sowieckiej okupacji, przypisywanie osiągnięć AK komunistom, czynienie bohaterów ze zbrodniarzy – oto motywy scenariusza Szypulskiego i Safjana

Serial „Stawka większa niż życie" ma do dziś wierne rzesze obrońców. „Jaka znowu propaganda?" – pytają oni oburzeni, twierdząc, że serial nakręcony według scenariusza Andrzeja Szypulskiego i Zbigniewa Safjana to po prostu wartka, znakomicie skonstruowana szpiegowska opowieść z drugiej wojny światowej, sam Kloss „jest polskim agentem, a łapanki i okrucieństwa Niemców to przecież prawda". Faktycznie, w kolejnych odcinkach serialu pochwała agentury komunistycznej jest sprytnie zawoalowana, a ukazane bestialstwo III Rzeszy nie podlega dyskusji. Przyjrzyjmy się jednak pierwszemu odcinkowi sagi.

Koledzy z razwiedki

Jest rok 1941 – ale jeszcze przed Barbarossą. Granica niemiecko-sowiecka. Stanisław Kolicki zabija znienacka niemieckiego żołnierza patrolującego okolicę i ucieka przez rzekę na stronę ZSRS. W nadbrzeżnych krzakach, ku swojemu nieskrywanemu zadowoleniu, zostaje zatrzymany przez sowieckich pograniczników. Na posterunku NKWD mówi, że chce „walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi".

Zwróćmy uwagę, jak od samego początku ukrywa się tu fakt podziału Polski między okupantów. Gdy akcja rozgrywa się po stronie Generalnego Gubernatorstwa, widzimy polskie szyldy na prywatnych sklepach, ale już po stronie sowieckiej żadnych śladów polskości nie widać. Cała narracja, dialogi, nazwy fikcyjnych miasteczek i wsi budowane są tak, jak gdyby granica niemiecko-sowiecka nie przechodziła wiosną 1941 r. przez środek ziem II Rzeczypospolitej, ale gdzieś koło Smoleńska, a Wilno czy Lwów nigdy nie były miastami polskimi. Seria o Klossie nie jest tu oczywiście żadnym wyjątkiem – kłamstwo to sączyło się nie tylko z ekranów telewizora, lecz także z podręczników szkolnych.

Pod koniec odcinka Kolicki ucina sobie pogawędkę ze swoim przyjacielem z sowieckiej bezpieki. Podniosła puenta wygłoszona przez oficera ani na jotę nie odbiega od putinowskiej propagandy: „Oddamy to miasto i wiele innych. Ale potem popędzimy Niemców tak, że zatrzymamy się dopiero w Berlinie. A po drodze będzie Polska. Twoja Polska". Autorzy podręczników i haseł w encyklopediach powtarzali jak zaprogramowani, że sukcesy III Rzeszy były „początkowe". Tak jakby trwały raptem kilka tygodni i niewiele znaczyły. Cisza o blamażu, chaosie, degrengoladzie i gigantycznych stratach sowieckiej armii trwających przez pół roku. Tak samo jak w dziesiątkach innych produkcji filmowych Sowiet musi tu występować jako sojusznik i wyzwoliciel. O współdziałaniu z III Rzeszą w 1939 r., o deportacjach, łagrach, mordach, terrorze – organizowanych przecież przez takich samych ludzi jak rozmówca Kolickiego – nie ma tu ani słowa, trudno więc mówić przed czerwcem 1941 r. o jakimś „wspólnym" dla Polaków i Sowietów wrogu.

Jakiej służby agentem jest Kolicki-Kloss? Nie jest to dokładnie powiedziane. Z pierwszego odcinka możemy wnosić, że jest to NKWD-NKGB lub wywiad wojskowy Razwiedupr, wkrótce przemianowany na GRU. Za wywiadem sowieckim przemawiają też rozległe kontakty Klossa i miejsca, do których trafia – od Normandii do Stambułu. Późniejsze odcinki mogą sugerować bliską współpracę z wywiadem Gwardii Ludowej/Armii Ludowej, który był ekspozyturą NKWD. GL/AL nie miała swoich agentów poza ziemiami polskimi, a większość jej działań polegała na rozpracowaniu podziemia niepodległościowego. Tak czy inaczej Kolicki-Kloss nie jest agentem polskim.

Gdyby Kolicki-Kloss istniał w rzeczywistości, mógłby być zatem ideowym komunistą. To oznaczałoby, że w czasie kampanii wrześniowej działałby przeciwko wojsku polskiemu, inspirując wydarzenia podobne do tych z tzw. powstania skidelskiego. Pod okupacją niemiecką inwigilowałby również polskie organizacje niepodległościowe, ewidencjonując działalność antykomunistyczną czy tworząc listy „elementów społecznie obcych". Po 1945 r. komuniści nie byliby wszak w stanie zniszczyć podziemia, gdyby nie dane pieczołowicie zbierane przez całą wojnę.

Można sobie jednak wyobrazić również Kolickiego-Klossa niekomunistę, z jakiegoś jednak powodu podejmującego przed czerwcem 1941 r. współpracę z NKWD. W takiej sytuacji znajdowali się ludzie, którzy mieli rodzinę po sowieckiej stronie granicy. Setki osób próbowały ją nielegalnie przekraczać. Schwytani przez NKWD byli natychmiast szantażowani, zastraszani i zmuszani do współpracy. NKWD chwytało w pułapkę polskich oficerów wywiadu przebywających na Zachodzie lub pod okupacją niemiecką, inwigilując ich żony czy dzieci przebywające na Kresach. Tak się stało np. ze Stanisławem Pstrokońskim aresztowanym we Lwowie po tym, jak przybył tam wysłany z Londynu.

Inni przekazywali Sowietom informacje zdobyte pod okupacją niemiecką w zamian za to, że NKWD pozostawiało, oczywiście chwilowo, w spokoju żołnierzy ZWZ działających pod okupacją sowiecką. I ci jednak nie mogli czuć się bezpiecznie. Jak pisze Piotr Kołakowski w „NKWD i GRU na ziemiach polskich 1939–1945": „Sowiecki aparat bezpieczeństwa pozostawił przy życiu jedynie tych działaczy politycznych i dowódców wojskowych, którzy w ocenie NKWD rokowali nadzieję jako ewentualni wykonawcy sowieckich planów w stosunku do Polski lub też byli traktowani jako cenne źródło informacji oraz ocen". Nie może być zatem mowy o tym, aby Kloss – uciekinier i niekomunista rozmawiał z Sowietami jak równy z równym.

Pierwowzory Klossa

„Stawka większa niż kłamstwo". Tak nazywa się książka Macieja Replewicza, w której autor drobiazgowo rozpraco-

eprasa.pl 65c12f148d

wał wszystkie odcinki serialu o kapitanie Klossie. Pisząc o tym, jak w jednej z najsłynniejszych sag PRL fałszowano historię, nie sposób pominąć tej pozycji.

Według Replewicza wśród agentów NKWD istnieją dwa możliwe pierwowzory Klossa. Pierwszym jest Nikołaj Kuzniecow. Zdolny rosyjski chłop z okolic Permu, który mieszkając obok Niemców nadwołżańskich, nauczył się ich języka. Przed wojną został funkcjonariuszem NKWD. Odnosił sukcesy w infiltrowaniu niemieckich dyplomatów w Moskwie. W 1941 r. Kuzniecow podszył się pod przebywającego w niewoli sowieckiej niemieckiego oficera Sieberta. Był do niego podobny, znał język i szczegóły z życia jeńca. Kuzniecow przywdział więc mundur feldgrau i w 1942 r. wylądował na spadochronie po niemieckiej stronie frontu. Jego zadania nie były wyrafinowane. Udając Niemca miał likwidować wysokich oficerów i funkcjonariuszy – i na tym polu odniósł szereg sukcesów. Jego oddział, niejako przy okazji zwalczał również Armię Krajową. Ostatecznie zagrożony dekonspiracją Kuzniecow zdecydował się na ewakuację. Zginął jednak w zasadzce zorganizowanej przez UPA w marcu 1944 r. Kuzniecow, tak samo jak Kloss, miał wygląd aryjskiego przystojniaka i był bawidamkiem. Jego działalność, choć szkodliwa dla III Rzeszy, była jednocześnie antypolska.

Innym wzorcem dla Klossa mógłby być Artur Ritter-Jastrzębski. Mógłby – ponieważ w momencie powstawania serialu jego twórcy nie mogli znać szczegółów historii długoletniego funkcjonariusza bezpieki. Był to przedwojenny komunista z niemieckimi korzeniami: z racji organizowania dywersji i dezinformacji przeciw Wojsku Polskiemu częsty bywalec naszych więzień. W latach 30. przebywał przez pewien czas w ZSRS i tam został agentem NKWD. W 1939 r. uciekł wraz z rodziną przed Niemcami na teren okupacji sowieckiej. W 1941 r. NKWD przerzuciło go wraz z rodziną z powrotem do Generalnego Gubernatorstwa. Ritter-Jastrzębski zalegalizował się jako reichsdeutsch, szybko znalazł pracę w SA i prowadził robotę wywiadowczą, współpracując z wywiadem GL/AL.

W 1943 r. nadzorował akcję wymierzoną przeciw Armii Krajowej. Przy ul. Poznańskiej mieściło się archiwum AK. Znajdowały się tam dane zarówno funkcjonariuszy gestapo, jak i członków PPR i komunistycznych agentów. Latem ludzie Jastrzębskiego umieścili w archiwum swojego agenta, który zajął się przepisywaniem co ważniejszych – z punktu widzenia GL – informacji. Szło to jednak zbyt długo. GL połączyło zatem siły z… gestapo i siłą przejęło zasoby archiwum. Połączona ekipa agentów niemieckich, NKWD i GL opanowała z zaskoczenia

Artur Ritter-Jastrzębski
FOT. WIKIPEDIA

lokal, obezwładniając jedynego znajdującego się tam członka AK – Wacława „Kruka" Kupeckiego. Łupem podzielono się sprawnie i „sprawiedliwie": każdy wziął akta dotyczące własnej agentury. Kupeckiego wraz z żoną jako niewygodnych świadków wywieziono w nieznanym kierunku i zamordowano. Jastrzębski spisał się na medal. Akcję chwalili Spychalski i Gomułka. Po wojnie Jastrzębski działał aktywnie w bezpiece. Jego ludzie torturowali m.in. schwytanych żołnierzy Zdzisława „Uskoka" Brońskiego. Zwieńczeniem jego kariery była funkcja attaché wojskowego w Rzymie.

Fałszerstwa

Istnieje kilka typów historycznych fałszerstw popełnionych przez Szypulskiego i Safjana. Pierwsze polega na sprytnym dezawuowaniu osiągnięć II RP. Widzimy ów manewr w odcinku „Ściśle tajne". Fikcyjny doktor Pułkowski, którego pierwowzorem jest polski konstruktor Jan Oderfeld, miał opatentować swój silnik odrzutowy przed wojną w faszystowskich Włoszech. W rzeczywistości Oderfeld wraz z dwoma kolegami zbudował nowatorski silnik, tzw. strumienicę, w 1932 r. w zakładach Ursus.

Kolejnym typem fałszerstw jest wybielanie działań GL/AL. Widzimy je w odcinkach „Edyta" i „Wielka wsypa". W „Wielkiej wsypie" mamy do czynienia ze swoistym hołdem dla Stanisława Filipiaka i Mariana Baryły. Pierwszy był krwawym katem Kozienic w czasie, gdy szefował tamtejszemu UB, drugi zaś przedwojennym komunistą, który jak wielu jego kolegów odbył szkolenie dywersyjno-wywiadowcze w ZSRS. Nabytą wiedzę wykorzystał gorliwie w warszawskich fabrykach, gdzie agitował za połączeniem się z „ojczyzną proletariatu". W „Genialnym planie pułkownika Krafta" pojawia się odniesienie do Ireny Perkowskiej – łączniczki PPR. Działaczki powiązanej blisko z Teodorem Duraczem, przedwojennym agentem sowieckim, oraz Jankiem Krasickim, który jako student w okupowanym przez Sowietów Lwowie wychwalał stalinizm.

W „Edycie", rozgrywającej się w Radomiu, słynny Brunner napada na mieszkanie lokalnego działacza NSDAP. Rabuje kosztowności i morduje jego rodzinę. W prawdziwym Radomiu w tym czasie miał miejsce podobny mord, popełniony nie na urzędniku, ale na rodzinie volksdeutschów. Dokonał go nie chciwy esesman, lecz kilku lokalnych komunistów. Członkowie czerwonego komanda zamordowali nożami całą rodzinę łącznie z dziećmi. Nie chodziło im jednak o żadną karę za zdradę, lecz o zwykły rabunek, co pokątnie przyznawali po wojnie. Tak też morderstwo to zaklasyfikowali Niemcy. Obyło się zatem bez odwetowej egzekucji na sąsiadach zabitej rodziny.

Sporo fałszerstw polega na przypisywaniu sukcesów Armii Krajowej komunistom z GL/AL czy też wywiadowi sowieckiemu. Z odcinka „Ściśle tajne" możemy się dowiedzieć np., że GL w 1942 r. nie tylko wykryła produkcję rakiet V1 i V2, lecz także jeszcze była w stanie zaatakować fabrykę, w której te pociski produkowano. Plany takie w rzeczywistości wykryła AK, ale nawet ona nie była

eprasa.pl 65c12f148d

w stanie w 1942 r. przeprowadzić ataku o takiej sile. W podobny sposób w „Haśle" sukcesy wywiadu polskiego i brytyjskiego we Francji przypisano NKWD i lokalnym komunistom. Pierwowzorem Huberta Ormella, wypowiadającego słynne hasło „Najlepsze kasztany są na placu Pigalle", jest Władysław Ważny. Agent polskiego wywiadu współpracujący z Brytyjczykami i francuskim ruchem oporu – ale nie z komunistami.

Serial starał się też oddziaływać „na odcinku walki z amerykańskim imperializmem". Film emitowano przecież w czasie wojny w Wietnamie. W „Spotkaniu" agentka OSS Elken ściga się z Klossem w poszukiwaniu archiwum zatopionego przez Niemców w pobliskim jeziorze. Oczywiście wyścig przegra, ale zanim to nastąpi, będzie kusić Klossa: „Można zarobić dużo dolarów Kloss, dużo dolarów!". Po prawdzie nie ma na świecie służby, która nie kusiłaby przeciwników pieniędzmi. Zawsze to jednak mniej rażące niż zmuszanie do współpracy poprzez deportowanie rodziny na Sybir.

W odcinku „Gruppenführer Wolf" mamy już całą plejadę Amerykanów. Jako pierwsi w obiektywie kamery pojawiają się Murzyni na jeepach. Stanowią oni większość wśród szeregowych żołnierzy pilnujących niemieckich więźniów. Jest to obraz chybiony. Amerykanie nie rzucali w drugiej wojnie światowej czarnych na front, aby ginęli za białych. Zakładali natomiast, co naturalnie też nie przynosi chluby, że Murzyni są w większości „materiałem bojowo nieprzydatnym".

Pierwszą rzeczą, jaką robi amerykański oficer po wejściu do gabinetu, jest oczywiście rzucenie nóg na stół i nalanie sobie burbona. Pęd do kukurydzianego trunku ustępuje u niego jedynie coca-coli. Amerykańskie obyczaje oczywiście dziwiły Europejczyków, ale zarzucanie im pociągu do alkoholu przez reżysera, który sam w swoim serialu sławi armię sowiecką, pijącą wszak na umór, aż nazbyt przypomina biblijną przypowieść o drzazdze i belce w oku.

Przy okazji Amerykanów dostało się też „zachodnioniemieckim rewanżystom". W odcinku „Żelazny Krzyż" jedną z głównych postaci jest esesman Max Dibelius. Jest to wyjątkowo nieszczęśliwy wybór nazwiska i do tego niestety świadomy. Prawdziwy Karl Otto Dibelius był duchownym protestanckim, przeciwnikiem zarówno komunizmu, jak i nazizmu. Za swoje poglądy był przez hitlerowski reżim prześladowany. Odwrócili się od niego również hierarchowie protestanccy ulegający narodowemu socjalizmowi. Po wojnie Dibelius był biskupem Berlina Zachodniego, zwalczał komunizm tak energicznie, że otrzymał zakaz wjazdu do NRD. Krytyki nie szczędziła mu i prasa PRL-owska, a zatem Szypulski i Safjan musieli znać postać prawdziwego Dibeliusa. Nie przeszkadzało im to dać jego nazwiska kanalii w czarnym mundurze. I kto tu jest kanalią?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 65c12f148d

Marek Gałęzowski

Dwaj wybitni twórcy zostali zgładzeni przez Niemców. To część straszliwych wojennych strat polskiej kultury

Szczególnie godne uwagi wydaje się nam zjawisko ochrony, tworzenia i rozpowszechniania treści kulturalnych w społeczeństwie skazanym przez okupanta na uwiąd duchowy, degenerację intelektualną i kompletne wyjałowienie kulturalne, które poprzedzać miały ostateczną zagładę fizyczną tak zwanych warstw przywódczych" (czyli Polaków ze średnim i wyższym wykształceniem) – pisał Władysław Bartoszewski w studium „Oblicza kultury polskiej w konspiracji". Ci, którzy bronili kultury polskiej przed unicestwieniem z rąk Niemców, tworząc ją w podziemiu, płacili za to nie mniejszą cenę niż żołnierze zbrojnej konspiracji. Wspomnijmy o dwóch pisarzach – przedstawicielach literatury polskiego międzywojnia. Nie tak słynni, jak skamandryci, ale o uznanej pozycji i znaczących osiągnięciach, znaleźli się wśród wybijających się przedstawicieli kultury Polski Podziemnej, życiem dając świadectwo swojej ofiarności.

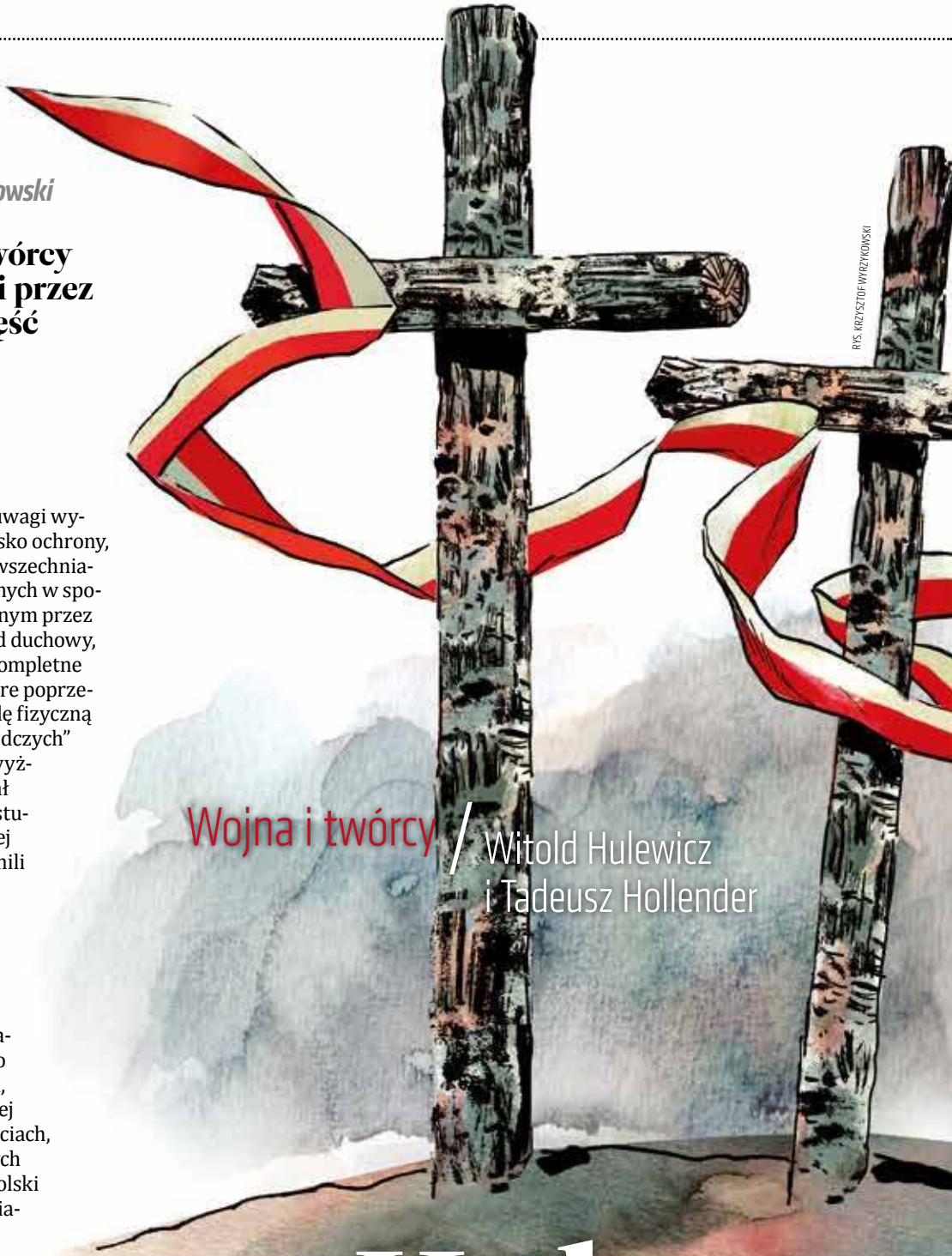

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Wojna i twórcy / Witold Hulewicz i Tadeusz Hollender

Kule dla pisarzy

Tłumacz Rilkego

„Obecność Hulewicza w Wilnie była niesłychanie silna. To znaczy w środowisku literackim i artystycznym. Wszędzie był Hulewicz" – wspominał starszego o pokolenie poetę Czesław Miłosz w rozmowie z Aleksandrem Fiutem.

Nie był wilnianinem. Pochodził z ziemiańskiej rodziny osiadłej

eprasa.pl 65c12f148d

w Wielkopolsce, w majątku Kościanki. Jaki los rzucił go do Wilna? Witold Hulewicz, bo o nim mowa, należał do pokolenia, którego młodość przypadła na okres pierwszej wojny światowej i zmagań o granice Rzeczypospolitej. Najpierw, jak liczni Polacy z zaboru pruskiego, służył w armii niemieckiej, początkowo na wschodzie, w czasie walk w Galicji, później na froncie zachodnim. Po zakończeniu wojny wziął udział w powstaniu wielkopolskim, współorganizował służbę telegraficzną powstańczego wojska. Wkrótce wraz nim został wcielony do Wojska Polskiego, otrzymał awans oficerski i funkcję redaktora czasopisma „Wiedza Wojskowa".

Dopiero po demobilizacji mógł rozpocząć studia, najpierw na Uniwersytecie Poznańskim, później w Paryżu, by ostatecznie uzyskać absolutorium na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. I w Wilnie miał pozostać przez 10 lat, stając się tam wybitnym animatorem życia kulturalnego. Był kierownikiem literackim słynnego teatru Reduta Juliusza Osterwy, by na początku 1927 r. przejść na stanowisko dyrektora programowego nowo powstałej Rozgłośni Wileńskiej Polskiego Radia. Pisał teksty do cyklicznej audycji kabaretowej „Kukułka wileńska", słuchowisk i audycji literacko-muzycznych – spośród nich „Pogrzeb Kiejstuta" był pierwszym oryginalnym słuchowiskiem radiowym Polskiego Radia.

Jego rola była tak wielka, że najpoważniejszy badacz dziejów Polskiego Radia Maciej J. Kwiatkowski uznał go za „chyba najwybitniejszego w Polsce organizatora i współtwórcę, reżysera i teoretyka teatru radiowego". W innym zaś miejscu dodawał, że w rozgłośni wileńskiej potrafił on „stworzyć najciekawszy i najbardziej dynamiczny program literacki z teatrem radiowym na czele".

Hulewicz działał też na innych polach. Współtworzył Związek Zawodowy Literatów Polskich w Wilnie i działający przy związku kabaret Smorgonia, zainicjował Środy Literackie w Celi Konrada w klasztorze oo. Bazylianów. Napisał przewodnik po Wileńszczyźnie „Gniazdo żelaznego wilka", przeznaczony dla młodych czytelników z zachodniej i centralnej Polski. Czytamy w nim: „Trzeba przemierzyć krainę wzdłuż i wszerz, ale nie koleją i nie samochodem: pieszo najlepiej, kajakiem albo nartami [...]. Trzeba błądzić wśród resztek puszcz".

Były to najbardziej widoczne przykłady aktywności kulturalnej Hulewicza. Wspomnijmy jednak, że należał on również do propagatorów poezji nurtu ekspresjonistycznego i jego czołowych przedstawicieli w Polsce jako jeden ze współzałożycieli czasopisma „Zdrój", w którym zamieszczał swoje poezje,

Tadeusz Hollender FOT. WIKIPEDIA

Witold Hulewicz FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 65c12f148d

publikowane także w autorskich zbiorach „Płomień w garści" i „Miasto pod chmurami". Jednak może największą jego zasługą dla kultury polskiego międzywojnia były pierwsze przekłady poezji i prozy Rainera M. Rilkego. Był zresztą zaprzyjaźniony z tym wybitnym, przedwcześnie zmarłym poetą austriackim, który cenił sobie tę przyjaźń, udzielając Hulewiczowi wyłączności na tłumaczenia swoich utworów na język polski.

Odejście Hulewicza do Warszawy 1 września 1935 r., gdzie objął kierownictwo Wydziału Literackiego Polskiego Radia, wzbudziło w kulturalnych sferach wileńskich powszechny żal. Gwoli jednak ścisłości dodajmy, że nie u wszystkich. Miał Hulewicz bowiem zaprzysięgłego przeciwnika w osobie redaktora „Słowa", Stanisława Cata-Mackiewicza.

Hulewicz podśmiewał się w Smorgoniach z monarchistycznych poglądów słynnego publicysty. „Słowo" nie pozostawało dłużne, odpowiadając kąśliwymi artykułami i karykaturami Feliksa Dangla, który w jednej z nich przedstawiał Hulewicza jako wielkiego mistrza krzyżackiego, przyglądającego się knechtowi zakonnemu, podpalającemu litewską chatę. W końcu Dangel wyzwał Hulewicza na pojedynek, ale pisarz odmówił, stwierdzając, że ten nie jest człowiekiem honorowym. Wówczas na pojedynek wyzwał Hulewicza Cat-Mackiewicz. Jak pisała Agnieszka Karaś, walkę na szable „przeżyli obaj. Hulewicz został ranny w rękę, Mackiewicz – w głowę. Obrażenia były lekkie" (dodajmy, że tej niechęci nie dzielił chyba brat Cata, Józef Mackiewicz, który o Hulewiczu w ogóle nie wspominał – ani w swojej publicystyce, ani korespondencji).

Po wybuchu wojny Hulewicz został spikerem polskich audycji propagandowych nadawanych w języku niemieckim. Profesor Stanisław Lorentz, który zaprzyjaźnił się z Hulewiczem w Wilnie i wraz z nim wyjechał do Warszawy, wspominał, że ten „wygłaszał niesłychanie celne i bojowe antyhitlerowskie przemówienia po polsku i po niemiecku". Ewakuowany 7 września 1939 r. z ekipą Polskiego Radia, wrócił jednak do stolicy spod granicy rumuńskiej. A Dangel, który kilka lat wcześniej przedstawiał Hulewicza jako Krzyżaka? Pojawił się w Wilnie po zakończeniu okupacji sowieckiej w mundurze oficera Wehrmachtu.

Tymczasem w okupowanej Warszawie Witold Hulewicz natychmiast związał się z konspiracją niepodległościową. Przystąpił do Komendy Obrońców Polskich i objął redakcję „Polska Żyje" – pierwszego czasopisma konspiracyjnego, które ukazało się w okupowanym kraju. Jego artykuł „Walka o kulturę polską" z sierpnia 1940 r. był, jak uznał Lesław Bartelski, pierwszą wypowiedzią w konspiracyjnej prasie formułującą program działania polskiego podziemia kulturalnego. W innych zamieszczanych tam tekstach informował o niszczeniu kultury polskiej przez Niemców.

Został aresztowany przez gestapo 1 września 1940 r. i uwięziony na Pawiaku. Był torturowany w czasie śledztwa. Pisał o tym w jednym z grypsów: „Strasznie mnie skatowali, wytrzymałem, nikogo nie wydałem". 12 czerwca 1941 r. – on, tłumacz Rilkego, autor biografii Beethovena, wiceprezes Związku Zawodowego Literatów Polskich – zginął rozstrzelany przez Niemców w Palmirach. Ci, którzy po jego śmierci trwali nadal na posterunku, tworząc podziemną kulturę polską, opublikowali jego wiersze w trzech antologiach poetyckich. Wśród nich – „Pieśni niepodległej", której jednym z redaktorów był Czesław Miłosz, jeszcze jeden z wileńskich współpracowników Hulewicza.

Z myślą o klasycznej Grecji

Młodszy od Hulewicza o 15 lat Tadeusz Hollender był z kolei związany w międzywojniu z życiem kulturalnym Lwowa. Tam na Uniwersytecie Jana Kazimierza studiował prawo, a później polonistykę. Studiów tych nie ukończył, od czasu nauki gimnazjalnej bardziej zajęty pisaniem poezji niż jej teorią. Na początku lat 30. otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie Polskiego Radia za wiersz „Płyta Nieznanego Żołnierza". Jesienią 1933 r. współzakładał lewicowy miesięcznik literacki „Sygnały" i był jego pierwszym redaktorem. Publikował tam nie tylko własne utwory, lecz także przekłady z poezji ukraińskiej (wyprzedzając nieco fakty dodajmy, że część ukazała się wiele lat po jego śmierci i był to pierwszy wybór poezji ukraińskiej opublikowany w powojennej Polsce), tłumaczył również poezję rumuńską i niemiecką.

Jego twórczość szybko zdobyła rozgłos poza Lwowem. W 1934 r., równorzędnie z Anną Świrszczyńską, zdobył pierwszą nagrodę w Turnieju Młodych Poetów zorganizowanym przez redakcję „Wiadomości Literackich". Wkrótce został jednym z autorów satyrycznych „Szpilek", pisał też m.in. do „Buntu Młodych" Jerzego Giedroycia, „Wiadomości Literackich", „Skamandra", a także komunizującego pisma „Lewar". Opublikował tomiki poezji „Czas, który minął i inne wiersze", dedykowany Julianowi Tuwimowi i Kazimierzowi Wierzyńskiemu („największym poetom polskim jakich znałem") oraz „książkę wierszem" – „Ludzie i pomniki".

Tutaj do jedenastej łukami perspektyw
przesuwa noc latarnie jak perły na sznurach,
szumi park, drzemie głowa nad paskiem korekty,
noc usiada chmurami na siedmiu pagórach.
Może Rzym, może Londyn morzem mgły podpływa,
może florencki Kraków na tym lwowskim rynku,
bo któż wie, ile troski i życia ubywa
w spłakanych harmoniami łyczakowskim szynku

eprasa.pl 65c12f148d

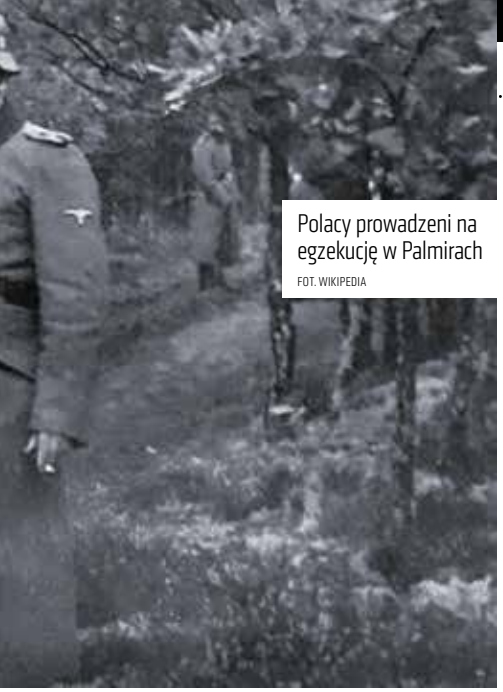

Polacy prowadzeni na egzekucję w Palmirach
FOT. WIKIPEDIA

O, bo żadne Warszawy, Paryże ni Rzymy nie kryją takiej pustki na wylotach ulic, gdy w mrok bram, po dziesiątej zamkniętych, tulimy twarze – i tylko smutku już nam nie utulić [...].

„We Lwowie"

A jednak opuścił tak bliski mu Lwów i na początku 1937 r. przeprowadził się do Warszawy. W następnym roku odbył długą podróż do Palestyny, później zwiedził jeszcze Grecję, Turcję i Rumunię, a wrażenia opisał w cyklu reportaży. Powróciwszy do kraju, opublikował powieść satyryczną „Polska bez Żydów", w której potępił antysemityzm.

Po wybuchu wojny wrócił do Lwowa. Tam też przebywał w czasie okupacji sowieckiej, przez pewien czas zimą 1939 r. mieszkał też u Brunona Schulza w Drohobyczu. Utrzymywał się, pisząc teksty dla amatorskiego Kabaretu Miniatur. Pułkownik Stefan Rowecki w meldunku do komendanta Związku Walki Zbrojnej gen. Kazimierza Sosnkowskiego z lutego 1940 r. wymienił Hollendra wśród literatów kolaborujących z władzami sowieckimi.

Prawda była całkiem inna. Chociaż przed wojną Hollender sympatyzował z lewicą, w czasie okupacji sowieckiej jako jeden z nielicznych pisarzy polskich odrzucił możliwość podpisania rezolucji popierającej najazd sowiecki, a następnie współpracy z Sowietami w jakiejkolwiek formie, nie zapisał się również do Związku Literatów. Chętnie za to rozpowszechniał antysowieckie dowcipy, m.in. taki: „Ilu żołnierzy stanowi obsługę najnowszego sowieckiego czołgu? 52: jeden przy kierownicy, jeden przy hamulcu, reszta – pięćdziesięciu – pcha". Nie było to zgodne z rzeczywistym stanem uzbrojenia Armii Czerwonej, ale wśród powszechnego strachu dowodziło, że nie wszyscy tracą wiarę.

W sierpniu 1941 r. Hollender wrócił do Warszawy. Tutaj od razu zaangażował się w działalność konspiracyjną. Wstąpił do Armii Krajowej i został współpracownikiem referatu literackiego Wydziału Propagandy Mobilizacyjnej „Rój" BIP KG AK, uczestniczył w akcji dywersyjnej „N". Lecz przede wszystkim był jednym z najaktywniejszych twórców kultury podziemnej, w tych jej mniej patetycznych, ale jakże niezbędnych i nie mniej niebezpiecznych formach. Organizował antyniemieckie przedstawienia satyryczne w teatrzyku kukiełkowym. Publikował wiersze wyśmiewające okupanta, m.in. w lewicującej gazetce „Demokrata" i zdecydowanie prawicowej „Kulturze Jutra", w antologiach opracowanych przez Jerzego Zagórskiego („Słowo prawdziwe") i Stefanię Skwarczyńską – „Wierne płomienie". Samodzielnie zredagował antologię „Anegdota i dowcip wojenny" (1943), będącą najprawdopodobniej pierwszym zbiorem satyrycznym tego typu wśród wydawnictw konspiracyjnych.

W pierwszym konkursie poetyckim zorganizowanym w podziemiu otrzymał pierwszą nagrodę za wiersz „Wspomnienie z Grecji'. Ale – znów, jak niegdyś w Turnieju Młodych Poetów – ex aequo z Anną Świrszczyńską. Odrębne znaczenie miała twórczość przeznaczona dla dzieci, w której zresztą nie dało się uniknąć nawiązań do okupacyjnej grozy, m.in. „O kotku Albinie (Bajka dla dzieci)", przede wszystkim zaś „Śpiewy dla Ewy".

„Uśmiech Warszawy"
[...] Na wszystkich murach co dzień obraża
szkopów, Führera i całą oś,
I na latarniach, bramach, cmentarza
znów „nur für Deutsche" napisze ktoś.
Wbrew obietnicom, mordom i krzyżom,
wbrew mocy, która podbiła świat,
wielka Warszawo, polski Paryżu,
śmiech na ruinach kwitnie jak kwiat.
Bo ten zwycięży, który się śmieje,
rozpacz to dzisiaj ogromny grzech,
dla tych, co zawsze mieli nadzieję,
brzmi twój przekorny, zwycięski śmiech.
Dziś „nur für Deutsche" jutro – „für Polen",
zażyjesz jeszcze wolności swej,
jutro zaśpiewasz im carmagnolę,
śmiej się Warszawo, śmiej się nam, śmiej.

W kwietniu 1943 r. na krótko przyjechał do Lwowa – ostatni raz widział się wtedy z rodzicami. Nie minął miesiąc, kiedy został aresztowany przez gestapo po przemówieniu, które wygłosił 19 maja podczas zebrania robotniczego na Grochowie. Podobnie jak Hulewicz i tylu innych został uwięziony na Pawiaku. Był w jednej celi ze Zdzisławem Stroińskim z grupy literackiej „Sztuka i Naród", który później opowiedział Lesławowi Bartelskiemu, że „Tadeusz Hollender wyszedł z celi z podniesionym czołem, podtrzymywał na duchu współtowarzyszy niedoli, opowiadając im dzieje herosów greckich". Zginął 31 maja 1943 r., rozstrzelany przez Niemców w ruinach warszawskiego getta. Nie spełniło się poetyckie marzenie wyrażone w wierszu, który dał chwilę wytchnienia w nieludzkiej rzeczywistości:

„A na Krecie będzie spokojnie, / a na Krecie będzie po wojnie, / morze będzie, wino i śpiew / będą chwiały się czubki drzew, / piasek miękki przyjmie mnie miękko, / będę głaskał morzeńko ręką / słodka dziewczyna usta mi poda, / woda, przyroda, powietrze, łagoda, / słońce morze sobą zapali /fala fali poda mnie dalej [...]".

Podobnie jak upamiętniono pośmiertnie Witolda Hulewicza w podziemnych antologiach poetyckich, tak i uhonorowano Tadeusza Hollendra, którego wiersz „Warszawa" otrzymał drugą nagrodą (razem z Tadeuszem Gajcym i Tadeuszem Miernowskim) w konkursie poetyckim ogłoszonym przez pismo „Kultura Jutra". W listopadzie 1943 r. ukazał się zaś zbiór utworów poety „Satyry i fraszki", podpisany jego konspiracyjnym pseudonimem „Tomasz Wiatraczny".

Powszechne i drastyczne represje niemieckie, wymierzone w twórców kultury polskiej w okupowanym kraju, nie przerwały jej trwania. I – jak pisał Władysław Bartoszewski – „Wyjątkowa prężność środowisk twórców kultury pobudzona poczuciem potrzeby społecznej odbioru jej dóbr spowodowała, że pięcioletni okres okupacji mimo krwawych, ogromnych ofiar i dotkliwych strat materialnych – nie stanowił takiej luki w ciągłości kultury polskiej, jaka powinna by powstać w wyniku realizacji założeń okupanta".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl 65c12f148d

Sierpień 1944 r. / Wizyta Stanisława Mikołajczyka w ZSRS

Oszukany w Moskwie

Powitanie Stanisława Mikołajczyka po powrocie z Moskwy, Londyn 13 sierpnia 1944 r. FOT. NAC

eprasa.pl 65c12f148d

Mikołaj Iwanow

Liczyć na jakąkolwiek współpracę ze Stalinem było wielką naiwnością ówczesnego polskiego premiera, a może i głupotą. Mikołajczyk dał się oszukać jak dziecko...

Premier polskiego rządu na uchodźstwie, przewodniczący Polskiego Stronnictwa Ludowego Stanisław Mikołajczyk, przyjechał do Moskwy 30 lipca 1944 r. w przededniu rozpoczęcia Powstania Warszawskiego. Stosunki polsko-sowieckie w tym momencie były prawdopodobnie na najniższym możliwym poziomie. Perspektywy ich naprawienia i uzyskania pomocy dla powstańców były wyjątkowo mroczne. Po rozbiorze Rzeczypospolitej Polskiej przez III Rzeszę i Związek Sowiecki w 1939 r., po fiasku współpracy wojskowej w latach 1941 i 1942, po ujawnieniu przez Niemcy prawdy o Katyniu, po zerwaniu stosunków dyplomatycznych w 1943 r., po masowych aresztowaniach akowców na Wileńszczyźnie i na Ukrainie liczyć na jakąkolwiek współpracę ze Stalinem było wielką naiwnością, a może i głupotą, jak uważali niektórzy polscy politycy w Londynie.

A jednak Stanisław Mikołajczyk wybiera się do Moskwy w nadziei przekonania Stalina do odnowienia stosunków dyplomatycznych i dogadania się w sprawie współpracy Armii Czerwonej z AK. Gwoli sprawiedliwości odnotujmy, że wizytę polskiego premiera w Moskwie zorganizowali Brytyjczycy. Winston Churchill literalnie zmusił Mikołajczyka do złożenia tej wizyty w celu uniknięcia dalszych konfliktów wewnętrznych w koalicji antyhitlerowskiej. W roku 1944 stało się jasne, że włączenie Polski w orbitę wpływów ZSRS w wyniku drugiej wojny światowej jest nieuniknione. Ważyły się jednak losy stopnia tego podporządkowania. Zarówno w Londynie, jak i w Waszyngtonie zastanawiano się, jak daleko Stalin będzie chciał posunąć się w sprawie podporządkowania Polski Związkowi Sowieckiemu.

Polska niewątpliwie zajmowała wśród państw Wschodniej i Centralnej Europy czołowe miejsce w planach strategicznych Kremla. Był to jedyny kraj tego regionu, który miał za sobą wygraną wojnę z Rosją Sowiecką w 1920 r., kraj, z którym Stalin w okresie międzywojnia musiał się liczyć jako realną siłą polityczną i wojskową. W Moskwie również niewątpliwie wiedziano, że mimo wzmożonych wysiłków Międzynarodówki komunizm i jego ideologia były obce przeważającej większości Polaków. To wszystko dawało nadzieje, że Stalin zgodzi się na jedynie powierzchowną sowietyzację Polski, na zrezygnowanie z represji na szeroką skalę według tradycji sowieckich.

W końcowym etapie drugiej wojny światowej Polska miała przed sobą trzy warianty swego dalszego losu:

– całkowita komunizacja Polski, pozbawienie kraju suwerenności i powszechne represje wobec przeciwników „władzy ludowej";

– odłożona w czasie wasalizacja – sowietyzacja kraju według czechosłowackiego scenariusza;

– finlandyzacja Polski – stworzenie w Polsce przyjaznego wobec ZSRS koalicyjnego rządu, tylko częściowo podporządkowanego Moskwie przy zachowaniu elementów społeczeństwa demokratycznego w życiu wewnętrznym kraju.

Na możliwość realizacji właśnie tego ostatniego wariantu liczył Mikołajczyk, składając wizytę Stalinowi.

Spotkanie z gensekiem

Na Kremlu wizyta polskiego premiera była rozpatrywana jako możliwość realizacji własnego planu sowietyzacji Polski. Rzekoma uległość Moskwy wobec usilnych nalegań Churchilla, aby przyjąć Mikołajczyka, stanowiła jedną z ważnych części tego planu. W Moskwie w wielkiej tajemnicy odbywały się intensywne przygotowania do spotkania polskiego premiera. Szykowano się nie do porozumienia się z polskim obozem niepodległościowym w Londynie, lecz do rozbicia tego obozu i pozyskania na rzecz stalinowskiej koncepcji sowietyzacji Polski najmniej odpornych jego działaczy (w tym również samego Mikołajczyka).

Scenariusz tych spotkań był starannie rozpracowany i wyreżyserowany na Kremlu, tak aby uzyskać maksymalny efekt propagandowy. Stanisława Mikołajczyka niezwykle chłodno (a może nawet wrogo) przyjął nie Stalin, lecz Wiaczesław Mołotow. Pierwsze spotkanie ze Stalinem (3 sierpnia) również nie wyróżniało się szczególnie przyjazną atmosferą i szczerością. Natomiast ostatnie (9 sierpnia) po zgodzie Mikołajczyka na rozmowy z prosowieckim Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego (PKWN) i innych ustępstwach z jego strony to już prawdziwy pokaz szczodrości Stalina w obiecywaniu współpracy z polskim Londynem i pomocy dla Powstania Warszawskiego. Mikołajczyk nie podejrzewał, że było to prymitywne zwodzenie Polaków.

Wiaczesław Mołotow przyjął polskiego premiera 31 lipca o godz. 21. Było to stosunkowo krótkie spotkanie, na którym Mikołajczyk złożył prośbę o spotkanie ze Stalinem. Sowiecki ludowy komisarz spraw zagranicznych zareagował na tę prośbę bardzo tajemniczo i nie dał żadnej konkretnej odpowiedzi. Natomiast na deklaracje Mikołajczyka o gotowości jego rządu do całkowitego uregulowania stosunków wzajemnych i do szerokiej współpracy wojskowej Mołotow odpowiedział niezwykle wrogo. Wbrew wszystkim kanonom protokołu dyplomatycznego powiedział wprost, że „nie rozumie polskiego premiera", że większość polskiego rządu jest wrogo ustosunkowana wobec ZSRS i w takich warunkach nie ma podstaw, aby mówić o jakiejkolwiek współpracy.

Pierwsze spotkanie Stanisława Mikołajczyka ze Stalinem odbyło się 3 sierpnia, kiedy w Warszawie już trzeci dzień toczyły się zażarte walki. Temat Powstania jakby wisiał w powietrzu, ale Mikołajczyk zaproponował sowieckiemu przywódcy trzy tematy: przyszłe stosunki z Niemcami; zasady administrowania terenów Polski „wyzwolonych" przez Armię Czerwoną i kształt przyszłej granicy polsko-sowieckiej.

Stalin ze swej strony od początku rozmowy umiejętnie dążył do skierowania rozmów sowiecko-polskich na tory tzw. rozmów polsko-polskich, na zmuszenie rządu londyńskiego do uznania PKWN.

eprasa.pl 65c12f148d

Moskiewski Kreml

FOT. QUISTNIX/WIKIPEDIA/CC-SA 3.0

To samo próbował zrobić we wstępnej rozmowie z Mikołajczykiem Mołotow. Dzięki sowieckim agentom w Londynie przywódcy sowieccy znali przebieg ostatniego przed wyjazdem Mikołajczyka do Moskwy posiedzenia polskiego rządu, na którym zapadła decyzja unikania wszystkich bezpośrednich kontaktów z PKWN. Zmuszając polskiego premiera do złamania tej instrukcji, Stalin i Mołotow dążyli do poszerzenia istniejącego podziału w rządzie londyńskim i do wciągnięcia do współpracy z ZSRS i PKWN przede wszystkim samego Mikołajczyka.

Już na samym początku rozmowy wyraźnie przecenił on swe siły i wyraził przekonanie, że lada dzień Powstanie zwycięży. Niemcy zostaną wyrzuceni z Warszawy, a on, Mikołajczyk, wyląduje w stolicy jako prawowity szef polskiego rządu – stwierdził. Czy był to z jego strony poważny błąd, który miał decydujący wpływ na traktowanie Powstania i całej Polski podziemnej przez Stalina? Stalin w odpowiedzi z sarkazmem zauważył, że w Warszawie są jeszcze Niemcy, a wywiad Armii Czerwonej donosi, że Armia Krajowa jest bardzo słaba, aby wyzwolić własną stolicę. „Armia Krajowa – podkreślał – nie walczy przeciwko Niemcom. Jej taktyka polega na tym, aby oszczędzać siebie, a później ujawnić się, kiedy do Polski wkroczą Anglicy czy Rosjanie".

Dalsza rozmowa Mikołajczyka ze Stalinem tylko ujawniła głębokie rozdrażnienie sowieckiego przywódcy faktem Powstania w polskiej stolicy bez porozumienia się z Armią Czerwoną i całą polską polityką wschodnią. Stalin w rozdrażnieniu przypomina: „Niech Pan pamięta, że Rząd Sowiecki nie uznaje Rządu Polskiego, z którym w swoim czasie zerwał stosunki. Równocześnie zaś Rząd Sowiecki utrzymuje stosunki z lubelskim Komitetem, z którym podpisaliśmy układ i któremu pomagamy. To należy wziąć pod uwagę".

Po chwili Stalin już w odpowiedzi na o wiele bardziej łagodny ton Mikołajczyka pozwala sobie na gniewny atak na AK i na powstańców: „Co to za armia bez artylerii, czołgów, lotnictwa? Nie posiada nawet dostatecznej ilości broni ręcznej. W wojnie nowoczesnej taka armia nie ma żadnego znaczenia. To są małe jednostki partyzanckie, a nie regularne formacje. Słyszę, że Rząd Polski nakazał tym oddziałom, żeby wygnały Niemców z Warszawy. Nie mogę sobie wyobrazić, w jaki sposób to uczynią. Nie mają przecież na to dostatecznej siły. Wcale zaś nie walczą z Niemcami, ale kryją się po lasach". Do ataku na Mikołajczyka dołącza się Mołotow: „Polacy masowo rozpowszechniają literaturę w języku polskim, która sieje nienawiść i odradzę do wszystkiego, co sowieckie. Możemy Panu pokazać te publikacje".

Najtrudniejszy punkt dyskusji dotyczył granic. Stalin tu zastosował uderzenie poniżej pasa, przypominając, że przed rokiem 1914 Polska była częścią Rosji, „a teraz jest mowa o niepodległości polskiej". Przypomniał, że „linia Curzona nie była pomysłem ani Rosjan, ani Polaków, lecz Lloyda George'a, Clemenceau i Curzona. Kiedy przedstawili oni tę sprawę na konferencji pokojowej w Wersalu, Rosjan tam nie było. Linia Curzona była rezultatem obiektywnych badań naukowych i stanowiła kompromis. Niewielu Rosjan chętnie odda Polsce Białystok, ale mimo to będziemy popierać linię Curzona, co też czynimy".

Z agentami Moskwy

Kolejne dni pobytu Stanisława Mikołajczyka w Moskwie przypominają niekończący ciąg jego prób szukania kompromisu ze Stalinem. 6 i 7 sierpnia na wyraźne życzenie i po naciskach władz sowieckich w budynku ambasady polskiej w Moskwie odbyły się dwa spotkania delegacji rządu londyńskiego i specjalnie sięgniętej z Lublina delegacji PKWN, w składzie: Bolesław Bierut, Edward Osóbka-Morawski, Michał Żymierski, Andrzej Witos, Jakub Berman i Wanda Wasilewska.

Pierwsze spotkanie zdominowała dyskusja: Czy Powstanie w Warszawie rzeczywiście trwa, czy nie? PKWN-owcy zgodnie z najlepszymi tradycjami dyplomacji sowieckiej próbowali bronić poglądu, że żadnego Powstania w Warszawie nie ma, są tylko pojedyncze starcia z Niemcami. Agresywnie zachowywała się Wanda Wasilewska, która wcześniej dwukrotnie (4 i 5 sierpnia) odwiedziła Stalina i niewątpliwie mówiła jego głosem.

Drugie spotkanie miało charakter o wiele bardziej pojednawczy. Nikt już nie kwestionował faktu wybuchu Powstania, dyskutowano natomiast o konkretnych możliwych formach niesienia mu pomocy. Rozmawiano również o powojennej konstytucji Polski, ewentualnym składzie rządu koalicyjnego i o granicach. We wszystkich tych kwestiach członkowie delegacji PKWN w istocie rzeczy powtórzyli to, co Mikołajczyk usłyszał od Stalina 3 sierpnia. Bierut przedstawił premierowi swoją wersję rządu koalicyjnego, przewidującą odstąpienie londyńczykom jedynie czterech tek ministerialnych, przy zachowaniu 14 kluczowych resortów dla PKWN.

Mikołajczyk na tym spotkaniu już robi wrażenie częściowo załamanego, godzącego się na kompromis z komunistami za wszelką cenę. Obiecuje przeprowadzić w Londynie dyskusję rządową na temat powrotu do konstytucji 1921 r. Przyrzeka swe osobiste poparcie dla planu zmiany konstytucji, obiecuje rozwiązanie Armii Krajowej z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej na terytorium Polski, przyrzeka podporządkowanie struktur administracji Polski podziemnej sowieckiej wojskowej administracji. Wyraża również przekonanie o możliwości utworzenia wspólnego rządu z komunistami i ich sojusznikami.

Polski premier w rozmowach z PKWN zgodził się praktycznie na wszystko, czego od niego na spotkaniu 3 sierpnia domagał się Stalin. Prawdopodobnie dlatego drugie spotkanie 9 sierpnia z sowieckim przywódcą odbywało się w zupełnie innej atmosferze niż pierwsze. Spotkanie to stało się triumfem zwodzenia i kłamstwa ze strony sowieckiego przywódcy. Tym razem Stanisław Mikołajczyk wyraźnie zaniepokojony sytuacją w Warszawie i zatrzymaniem natarcia I Frontu Białoruskiego prawie natychmiast po „obowiązującej" deklaracji lojalności zwraca się do sowieckiego przywódcy z prośbą o pomóc dla powstańców.

eprasa.pl 65c12f148d

Stalin niby wyraża współczucie „biednym polskim powstańcom". „Powstanie Armii Krajowej – mówi – sprawa nierealna, powstańcy bowiem nie mają broni. Niemcy natomiast tylko w rejonie Pragi mają trzy dywizje pancerne, nie licząc piechoty. Niemcy po prostu wybiją wszystkich Polaków. Żal mi tych Polaków". Sowiecki przywódca proponuje sam pomoc dla powstańców, ustala z Mikołajczykiem szczegóły tej pomocy, pyta o jej techniczne aspekty. „Ile pan potrzebuje broni i w jakich miejscach należałoby ją zrzucić?" – pyta sowiecki przywódca. Przyrzeka wysłanie sowieckiego oficera łącznikowego z radiostacją i odpowiednimi pełnomocnictwami, aby nawiązać bezpośredni kontakt między dowództwem AK i dowództwem I Frontu Białoruskiego.

Mikołajczyk zachował się wyjątkowo łatwowiernie. Przyjął puste obietnice Stalina entuzjastycznie. Powiedział nawet: „Ze swej strony niezależnie od tego, co mi jeszcze spotkać w życiu może, trzymać się będę zawsze jednej i tej samej linii politycznej, która opiera się na przyjaźni i współpracy ze Związkiem Sowieckim".

Już zupełnie groteskowo wygląda tekst telegramu, który Mikołajczyk wysłał do Stalina tuż przed odlotem ze Związku Sowieckiego z Baku, gdzie się zatrzymał w drodze powrotnej. „Zapewniam – pisał – że w wyniku naszego bezpośredniego spotkania i naszych rozmów pojawiło się wzajemne zaufanie, które powinno stać się solidnym fundamentem przyszłego przyjaznego współistnienia zwycięskiego Związku Sowieckiego i odradzającej się Polski".

Naiwny do końca

Po zakończeniu wizyty depeszował również do przywódców Powstania o rychłym nadejściu pomocy sowieckiej. W polskim obozie w Londynie chwilowo zapanowała euforia. Prawie wszyscy po telegramach Mikołajczyka o sukcesie jego misji moskiewskiej i obiecanej przez Stalina pomocy dla Warszawy uwierzyli w słowa Stalina. Jedynie gen. Sosnkowski trzeźwo ocenił propozycje sowieckie. W telegramie z 11 sierpnia do Bora-Komorowskiego pisał: „Brytyjczycy na bazy rosyjskie na razie nie latają, starania nasze u Amerykanów na razie bez skutku. Mikołajczyk depeszował wczoraj z Moskwy, że Stalin przyobiecał mu pomoc dla Warszawy. Można wątpić, czy to będzie dotrzymane".

Dla Stalina wielkie kłamstwo w sprawie Powstania Warszawskiego było sprawą rutynową. Sukces w sprawie sowietyzacji Polski był sprawą nadrzędną i za ten sukces można było zapłacić prawie każdą cenę. Cynizm sowieckiego przywódcy w sprawie Powstania logicznie wpisywał się w obowiązującą w międzynarodowym ruchu komunistycznym moralność polityczną, która dopuszczała perfidne kłamstwo wobec wrogów komunizmu w celu osiągnięcia najwyższego celu.

Przyrzekając Mikołajczykowi rychłą i obfitą pomoc dla powstańców, Stalin traktował swe słowa jako element gry politycznej, skierowanej na zniszczenie Armii Krajowej i ułatwienie polskim komunistom przejęcia władzy w Polsce. Tę grę wkrótce poszerzył na zachodnich sojuszników, wciągając nieświadomych (a może świadomych) Anglików i Amerykanów do swego antypolskiego spisku. 16 sierpnia pisał Churchillowi: „Po rozmowie z Mikołajczykiem wydałem rozkaz dowództwu Armii Czerwonej intensywnie zrzucać uzbrojenie w rejonie Warszawy. Zrzucono również ze spadochronem oficera łączności, który jednak nie osiągnął celu, został przez Niemców". Kłamstwo pospolite!

Józef Stalin w czasie konferencji krymskiej

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Nigdy w dokumentach AK ani w sowieckich archiwach nie znaleziono żadnej wzmianki o pomocy powstańcom w sierpniu. Zamiast pomocy na froncie sowiecko-niemieckim w rejonie Pragi w drugiej połowie sierpnia zapanowała złowieszcza cisza. Do Moskwy tymczasem – w oparciu o informację Mikołajczyka – płyną konkretne zamówienia powstańców. Czasem rozpaczliwe prośby o pomóc składa się za pośrednictwem Anglików, czasem robi się to bezpośrednio. Naiwnie prosi się Moskwę o bombardowanie konkretnych celów w Warszawie, o nadesłanie niemieckiej amunicji do karabinów, granaty ręczne, broń przeciwpancerną itd. Moskwa nie robi nic…

Wizyta polskiego premiera w Moskwie miała jeszcze jeden bardzo ważny aspekt. Zgoda Stalina na wizytę Mikołajczyka oznaczała przede wszystkim ukłon wobec sojuszników zachodnich, ale także próbę zbadania, na jak daleko idące ustępstwa z ich strony może liczyć ZSRS.

Rozmowy w Moskwie odbywały się w dziwnej atmosferze. Obaj rozmówcy wiedzieli, że między podległymi im armiami toczy się cicha wojna, że zapobiec dalszemu pogorszeniu stosunków polsko-sowieckich można jedynie na podstawie bardzo daleko idącego kompromisu (raczej częściowej kapitulacji ze strony polskiej). Poszukiwaniem tego kompromisu niestety zajmowała jedynie strona polska. Sowiecka strona była zainteresowana jedynie tym, jak jeszcze bardziej skompromitować Polaków w oczach swych sojuszników zachodnich, jak osiągnąć jeszcze większe osłabienie polskiego obozu niepodległościowego.

Trzeba stwierdzić, że Stanisław Mikołajczyk zachował się w Moskwie naiwnie, nie rozumiał istoty sowieckiej polityki wobec Polski, był nieprzygotowany na grę pozorów, którą umiejętnie i podstępnie prowadził Stalin. Wizyta polskiego premiera w Moskwie, jego pomyłki w prowadzeniu rozmów jeszcze bardziej pogorszyły i tak bardzo trudną sytuację powstańców Warszawy. Ale czy w konfrontacji z tak perfidnym i kłamliwym „sojusznikiem" mogło być inaczej?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c12f148d

Historia ukryta w obrazie / Jan Matejko „Pozorna zgoda Bolesława Krzywoustego ze Zbigniewem”

Braterskie wydłubanie oczu

Leszek Lubicki

Jan Matejko daje wprost do zrozumienia, że okrutny czyn Bolesława był dokonany z rozmysłem, za radami możnych

Sporo jeszcze bruździł Zbigniew [...], wreszcie pojmany dostał się do niewoli, a gdy ani tam nie wyrzekł się zdradzieckich knowań, kazał go Bolesław oślepić. Takie okrutne były wtenczas kary. Oślepienie było zwykłą rzeczą w podobnych wypadkach, a historia owych czasów zna kilkadziesiąt takich przykładów i w Polsce, i za granicą”. Autor tych słów, historyk Feliks Koneczny – jeśli dobrze odczytujemy jego przemyślenia – zbytnio nie przejął się czynem Krzywoustego w stosunku do przyrodniego brata, a możemy przypuszczać nawet, że postępowanie jego akceptował. Jesteśmy poza tym pewni, że z młodszym z przyrodnich braci sympatyzował, nazywając go wybitnym wojownikiem. „Książęta nie potrzebują krewnych” – powiadano. Fakt, to tylko kłopot. Przeżył to Bolesław Chrobry ze swoimi przyrodnimi braćmi, ale dał sobie spokojnie radę. Jego syn, Mieszko II, miał już z przyrodnim Bezprymem większy kłopot.

Po wygnaniu z kraju starszego syna Kazimierza Odnowiciela, koronowanego już na króla Polski Bolesława Śmiałego (Szczodrego), władzę obejmuje jego młodszy brat, zasiadający w Płocku książę Władysław Herman. Możni uznają, że w tej sytuacji musi mieć żonę z książęcego rodu, gdyż ta obecna, nieznana nam z imienia, tego warunku nie spełniała. Oddala zatem Władysław tę kobietę, z którą nie miał kościelnego ślubu, gdyż był on zawarty w rycie słowiańskim (pogańskim), nieuznawanym przez Kościół. W takim przypadku nie trzeba było czynić zabiegów o rozwód. Ma jednak z nią syna Zbigniewa, jakby nie patrzeć, chłopca książęcej krwi. Poślubia zaraz czeską księżniczkę Judytę. Z tego właśnie związku, już uznanego przez wszystkie stany, rodzi się Bolesław, zwany później Krzywoustym, młodszy syn władcy Polski. Ta sytuacja nieuchronnie w późniejszych latach spowoduje konflikt. Któryś z synów Hermana musiał z tej konfrontacji wyjść zwycięsko.

Starsza nasza historiografia nadzwyczaj sympatyzowała z Bolkiem. Michał Bobrzyński pisał, że okrutnego oślepienia Bolesław nie zawahał się dopuścić, ponieważ Zbigniew „niepoprawny, wrogów na własną ojczyznę sprowadzał”, a Krzywousty „żadnego kroku nie przedsięwziął dla zabawki lub osobistej próżności”. Jakkolwiek byśmy osądzali tego Piasta, to faktem jest, że rządy Bolesława III przywróciły polskie panowanie nad Ziemią Lubuską, Pomorzem Wschodnim oraz podporządkowanie księstwa zachodnio-pomorskiego. Za jego wojowniczość Gall Anonim określił Krzywoustego „marsowym dzieckiem”. W literaturze pięknej natomiast J.I. Kraszewski w powieści „Królewscy synowie” widzi Bolesława jako chrześcijańskiego rycerza bez skazy. Zbeletryzował pisarz część kroniki Galla Anonima, który owo dzieło tworzył na dworze Krzywoustego. Oczywiste więc było, że musiał „nasz” Anonim pisać tylko dobrze o swoim chlebodawcy. Pewien zapis tejże kroniki

eprasa.pl 65c12f148d

Drzeworyt Józefa Holewińskiego według zaginionego obrazu Jana Matejki „Pozorna zgoda Bolesława Krzywoustego ze Zbigniewem" (XIX w.) FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Bolesław Krzywousty. Obraz Jana Matejki FOT. DOMENA PUBLICZNA

posłużył również Janowi Matejce do namalowania obrazu odnoszącego się do jednego ze zdarzeń, które miało miejsce w konflikcie „królewskich synów".

Konflikt „królewskich synów"

Tego dzieła malarskiego Jana Matejki niestety nie będzie nam dane obejrzeć i to prawdopodobnie już nigdy. Obraz został zakupiony przez wiedeńskiego kupca zaraz po namalowaniu za sumę 1,5 tys. złotych reńskich. Gdzie się obecnie znajduje i czy w ogóle przetrwał do naszych czasów, tego nie wiemy. Wiemy natomiast, co artysta na nim ukazał dzięki drzeworytowi wykonanemu przez J. Holewińskiego. Spójrzmy zatem na fotografię obrazu mistrza Jana i posłuchajmy, co też napisał Gall Anonim o samym wydarzeniu.

Atoli Zbigniew, idąc za podszeptem ludzi głupich, niepomny przyrzeczonego poddaństwa i pokory, przybył do Bolesława nie w pokornej, lecz w wyzywającej postawie, nie jak przystało na człowieka skruszonego długotrwałym wygnaniem, znużonego tylu trudami i niepowodzeniami, lecz owszem, jak pan [udzielny], każąc miecz nieść przed sobą, z poprzedzającą go orkiestrą muzykantów grających na bębnach i cytrach, okazując w ten sposób, że nie będzie służył, lecz panował; dając do poznania, że nie będzie wasalem brata, lecz że bratu będzie rozkazywał.

W „Katalogu obrazów olejnych" Jana Matejki czytamy: „Obraz przedstawia scenę przybycia Zbigniewa do obozu Krzywoustego w celu zawarcia z nim pozornego przymierza. Otaczają go rycerze (Pomorzanie) i muzykanci, a dobosz oznajmia ich nadejście. Bolesław, siedzący pod rozłożystym drzewem z lewej strony, z uwagą przypatruje się orszakowi. Wokół niego rycerze, tuż za nim pochylony wojewoda Skarbimir z rodu Awdańców wydaje się coś mu doradzać. Pośrodku grupa dworzan z psem".

Jest to finisz historii konfliktu pomiędzy dwoma synami Władysława Hermana, który kończy się, jak już wiemy, oślepieniem Zbigniewa z rozkazu Krzywoustego i w konsekwencji śmiercią starszego z braci. Wiemy już, że wydłubanie oczu była to „zwykła rzecz" w owych czasach, ale trzeba było mimo wszystko ponieść konsekwencję takiego działania. I Bolko ją poniósł, nawet nie próbując się wymigać. Odprawił kościelną pokutę, pielgrzymował we włosienicy do miejsc świętych, w tym boso do grobu św. Wojciecha, nadawał kościołom cenne dary. Jednak, jak zauważa Paweł Jasienica, „wątpić wolno, czy naprawdę sprawiły to wyrzuty sumienia. Skazanie i śmierć Zbigniewa musiały rozjątrzyć sprzyjających mu możnych, szczególnie duchownych. Nie jest wykluczone, że spadła na Bolesława klątwa. Książę upokorzył się [...] i uniknął losu stryja, króla Bolesława Śmiałego".

To, że w większości nasi „starsi" historycy, a pisali to w czasach zaborów, usprawiedliwiają działanie Krzywoustego, wynika zapewne z faktu, że dzięki jego walecznej postawie Polska ponownie staje się krajem, którego boją się Niemcy. Bo za Hermana się nas nie bali. Po śmierci matki Bolesława, która zeszła z tego świata zaraz po jego urodzeniu, niedługo potem Władysław Herman ponownie się żeni. Tym razem jego wybranką jest także Judyta, a dokładnie Judyta Maria, wdowa po królu Węgier i córka króla Niemiec Henryka III, a „dwór polski i dwór niemiecki stały się odtąd jakby jednym domem". Czyli zaszło to, do czego nie chciał dopuścić Bolesław Śmiały.

Trzeci z naszych wielkich Bolesławów, niestety niekoronowany, gdy doszedł do lat sprawnych, dobrze to rozumiał. Tym bardziej że ojciec, uważany za władcę nieudolnego, marnujący osiągnięcia starszego królewskiego brata, oddał władzę wszechwładnemu wojewodzie Sieciechowi. Ten bezustannie knuł za jego plecami, później także z Judytą Marią i to zarówno politycznie, jak i w sprawach obyczajowych. Jednak z tą „nieudolnością" to nie jest tak do końca prawda, gdyż w obszarze skarbu i gospodarki całkiem przyzwoicie dawał sobie radę.

Zgoda niezgoda

Zanim jednak doszło do sytuacji opisanej przez Galla i wymalowanej przez Jana Matejkę, działo się tak wiele, że nie sposób w tym krótkim szkicu opisać wszystkich szczegółów braterskiego konfliktu. A więc w wielkim skrócie:

W chwili narodzin Bolesława jego przyrodni brat był już w wieku sprawnym i przypuszczalnie pasowany na rycerza. Dla ojca stało się wówczas oczywiste, że tylko ten młodszy może po nim dziedziczyć władzę jako potomek dyna-

eprasa.pl 65c12f148d

Opactwo benedyktyńskie w Tyńcu FOT. JAKUB HALUN

styczny. Zbigniew starym obyczajem został więc prawdopodobnie przeznaczony do stanu duchownego i oddany do szkoły katedralnej w Krakowie.

Później za namową drugiej żony zostaje wysłany do żeńskiego klasztoru w Niemczech, gdzie przeoryszą była jej siostra. Tak być musiało, ponieważ – jak pisał czeski kronikarz Kosmas – „dwa kocury schwytane do jednego wora nie mogą być razem". Przypuszcza się, że inicjatorem takiego posunięcia był Sieciech, który obawiał się utraty swojej mocnej pozycji przy schorowanym Hermanie. Możnowładcy bowiem chcieli osłabić pozycję wojewody, a swoje nadzieje na to wiązali właśnie z księciem Zbigniewem. Dlatego w 1093 r. zostaje on wykradziony z klasztoru i przybywa na Śląsk. Przez kilka lat wiele się dzieje, Zbigniew zostaje uznany przez ojca za legalnego spadkobiercę, później więziony przez Sieciecha i ponownie przywrócony do łask.

Gdy Herman wysyła obydwu synów na czele wojsk przeciwko Pomorzanom, ci – przeczuwając podstęp – zawracają. Zmuszają ojca do wydzielenia im samodzielnych dzielnic z prawem do posiadania własnego wojska. Herman przystaje na ten warunek, jednak chce zachować władzę zwierzchnią. Zbigniew otrzymuje Wielkopolskę i ziemię łęczycko-sieradzką, Bolesław Śląsk. Herman pozostawia sobie Mazowsze i Małopolskę. Kilkakrotnie dochodzi wówczas do zatargów braci z ojcem i Sieciechem. Koniec końców palatyn, którego podejrzewano o plany obalenia synów i założenia własnej dynastii, zostaje oślepiony i wygnany. Następuje podział kraju. Herman pozostaje tylko w Płocku. Umiera trzy lata później, w 1102 r.

Nad trumną ojca dochodzi pomiędzy braćmi do zatargu o podział spadku. Po mediacjach biskupa akceptują jednak ustną wolę starego księcia. Polska zostaje wówczas podzielona niejako na dwa oddzielne księstwa. Problemem jest jednak, że nie ma wyznaczonego princepsa, czyli tego, który jest księciem zwierzchnim. Taki stan rzeczy nie może trwać długo, dochodzi do walk pomiędzy braćmi. Krzywousty zwycięża, a Zbigniew uznaje go za księcia zwierzchniego i przyjmuje od brata w lenno Mazowsze. Jednak dwa lata później młodszy brat najeżdża starszego, pod błahym pretekstem, że ten drugi nie udzielił mu pomocy w walce z Pomorzanami. Zbigniew ratując głowę, czmycha z kraju. Chce pozyskać Czechów do walki o swoje dziedzictwo, a następnie prosi o to niemieckiego króla Henryka V.

Ten ma wreszcie pretekst do najazdu na Polskę. Wówczas to dochodzi do legendarnej już, bohaterskiej obrony Głogowa. Bolesław z tej konfrontacji wychodzi obronną ręką, jednocześnie godząc się na powrót brata z wygnania. Ma zamiar przekazać mu w lenno niewielki obszar kraju, prawdopodobnie ziemię sieradzką. I wówczas to dochodzi do tego prowokacyjnego zachowania Zbigniewa. Wraca i chce pokazać, że jest udzielnym księciem, o czym świadczy niesiony przed nim miecz.

W opisie obrazu mistrza Jana wspomniano, że Bolesławowi do ucha szepce coś wojewoda Skarbimir. Możemy z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że to on podsuwa myśl krańcowego rozwiązania problemu ze Zbigniewem. Jak celnie stwierdza Andrzej Nowak, „historii nie tworzą sami panujący", nawet ci najwybitniejsi. „Jej sprawcami, czasem nawet świadomymi reżyserami (na ile to w ludzkiej mocy osiągalne) są także ich poddani, doradcy, możni i na możność się wybijający".

Pozostańmy na koniec tej opowieści z pytaniem, czy rzeczywiście pierwszy syn Władysława Hermana, książę Zbigniew, nie miał praw dziedziczenia? Sprawa wcale nie jest taka prosta, jakby się mogło wydawać. Zwyciężył jednak ten, jak to w życiu bywa, który miał mądrzejszych i bardziej wpływowych doradców oraz wspierających go możnych, liczących na wybicie się przy silniejszym z książąt. Jednak wydłubanie oczu słabemu już w znaczeniu militarno-politycznym przyrodniemu bratu wydaje się czynem jednoznacznie podłym. Choć, jak wiemy, była to „zwykła rzecz" w owych czasach. Gall Anonim bronił rzecz jasna rozpaczliwie Krzywoustego i trudno zakładać, aby napisał całą prawdę o tragicznym losie Zbigniewa. Posłuchajmy: „Niech wszakże nikt nie sądzi, iż ten grzech dokonany został z wyrachowania, a nie z zapalczywości, że go spełniono z rozmysłu, a nie pod wpływem okoliczności [...]. Oskarżamy [tu] Zbigniewa, a uniewinniamy Bolesława? Bynajmniej! Lecz mniejszą jest winą popełnić grzech pod wpływem gwałtownego gniewu i okoliczności, niż choćby zastanawiać się z rozmysłem nad jego popełnieniem".

Czyli – mówiąc dzisiejszym językiem – wkurzył się Bolko na ten miecz podniesiony, będący symbolem księcia udzielnego i pod wpływem tego gniewu kazał go oślepić i to tak, aby za dni kilka zmarł, zapewne z upływu krwi. Nie bez przyczyny Jan Matejko namalował szepczącego coś Krzywoustemu do ucha rycerza. Artysta daje wprost do zrozumienia, że działanie Bolesława nie było emocjonalne, tylko zaplanowane i dokonane z rozmysłem, za radami możnych. Matejko opierał swoje malarstwo historyczne na źródłach i być może skorzystał w tym przypadku z kroniki Marcina Bielskiego, który zapisał: „I tak za radą niektórych panów (którzy nie będąc przyjaciółmi Zbigniewowi, pana nań jako mogli najbardziej podżegali) kazał go tajemnie niektórym zabić, którzy w rzeczy zwadziwszy się z nim, zabili go. A drudzy powiadają, że mu oczy wyłupili, z czego potem miał śmierć". Niektórzy historycy uważają, że żył Zbigniew jeszcze czas jakiś, tylko „zniknął z widowni życia publicznego".

Bolesław Krzywousty, znając przecież dobrze historię swoich przodków, a i mając własne negatywne doświadczenia, sam pozostawił po sobie wielu potomków płci męskiej, którzy niczym w chęci posiadania pełni władzy nie różnili się od swoich poprzedników i parli po nią, nie przebierając w środkach. Jednak oślepienia rywala do tronu nikt się nie dopuścił. Te braterskie waśnie doprowadziły do burzliwych zamętów w państwie Piastów trwających prawie 200 lat. Miał zapewne nadzieję Bolesław, że pozostawiając po sobie słynny „Testament" zapobiegnie braterskim starciom. Niestety, tak się nie stało, ale to już inna historia.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c12f148d

#włączprawdę

REPUBLIKA

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 65c12f148d

Krzysztof Masłoń

1921–1944 / Krzysztof Kamil Baczyński

... otom jest

Pamiętajmy o Krzysztofie Kamilu Baczyńskim. To nasz obowiązek. Wobec poezji. Wobec literatury. Wobec Warszawy. Wobec Polski

O Krzysztofie Kamilu Baczyńskim można mówić nieskończenie. A raczej inaczej: nie można, a trzeba. Nie tylko dlatego, że rok 2021 jest Rokiem Baczyńskiego (stulecie urodzin poety), jak również Rokiem Norwida, Rokiem Tadeusza Różewicza i Rokiem Lema. Rocznice są potrzebne, by upomnieć się na przykład o pomnik twórcy „Śpiewu z pożogi", którego w Warszawie wciąż nie ma. A jest Baczyński – co akcentuje znawca jego twórczości i tropiciel jego śladów Wiesław Budzyński – „najsławniejszym warszawiakiem, jaki brał udział w Powstaniu, i największym stołecznym twórcą, który na szali wolności złożył własne życie".

Miał 23 lata, gdy dosięgła go śmierć od kuli, w pałacu Blanka, w czwartym dniu Powstania Warszawskiego, w którym walczył jako żołnierz Armii Krajowej. Jego żona Barbara, w wyniku rany odniesionej 26 sierpnia, zmarła 1 września. Nie dożyła swoich 22. urodzin. Jej matka potwierdziła później pogłoskę o ciąży Basi.

Miłosne wiersze Baczyńskiego, utrwalające uczucie, jakim darzyli się młodzi małżonkowie, należą w literaturze polskiej do najpiękniejszych. Zasłużoną sławę zdobyły jego utwory, powiedzmy, historiozoficzne, inaczej rzecz się ma z poezją religijną, a to dlatego, że z poety na siłę próbowano zrobić lewicowca, socjalistę, a i ateusza, który udawał jedynie katolika, by zrobić przyjemność matce, skądinąd Żydówce z pochodze-

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 65c12f148d

nia. Z pewnością dużo racji miał Jarosław Iwaszkiewicz w 1978 r., dziękując za tekst Jerzemu Andrzejewskiemu: „Wzruszyło mnie to, co napisałeś o Krzysztofie – postaci najbardziej zafałszowanej ze wszystkich ostatnich historycznych osób (z lekkiej ręki Kazimierza Wyki)…".

On się wyciosa z ciszy snu

Ochrzczony został Krzysztof późno, bo rok i osiem miesięcy po urodzeniu, w warszawskim kościele Zbawiciela. Na powody tej zwłoki wskazywał kilkakrotne Wiesław Budzyński, ostatnio w książce „Baczyński uszlachetnia": „… rozstanie rodziców i udział Stanisława [ojca poety – przyp. K.M.] w powstaniach śląskich. Pani Stefania w tym czasie rok przebywała poza Warszawą, w Białymstoku, gdzie uczyła. To może coś wyjaśniać, choć nie całkiem. Pani Stefania, jako katoliczka, na pewno tę sytuację bardzo przeżywała, zgodnie bowiem z religią katolicką nieochrzczony formalnie nie istniał. Wiązały się z tym również pewne ograniczenia prawne, jako że akt chrztu był zarazem dokumentem państwowym i ochrzczone dziecko stawało się z tym momentem obywatelem. Podobnie zresztą jak i akt ślubu kościelnego, sankcjonowany przez państwo. […] Tak więc chrzest odbył się, ale rodzice nadal byli w separacji i na zgodę się nie zanosiło…".

W szkole Krzysztof z Bogiem się wadził, pozostawał nawet pod wpływem trockistowskiej organizacji, wraz z dochodzeniem do dorosłości przestał – i to bezwzględnie – fascynować się komunizmem i odzyskał wiarę. Można rzec, że z dnia na dzień, po wybuchu wojny. I wiersze religijne pisał odtąd niezrównane, takie jak ten, z różnych powodów najbliższy mi – „Psalm o krzyżu". Powstał on w grudniu 1941 r., a dziewięć dni po jego napisaniu 20-letni autor ofiarował go matce na Wigilię. Ten sam utwór trafił później do dedykowanego żonie poety zeszytu „Trzy psalmy". Miał się też znaleźć w wybranym przez Krzysztofa tomie wierszy „Śpiew z pożogi", jak wiadomo – niewydanym za życia twórcy. Oto i ten psalm:

Nie nadaremnie jest ten krzyż,
który przykuwa trzepot rąk.
Posłuchaj tylko: czas jak mysz
podgryza rozłożysty dąb.
Nie nadaremny jest ten krzyż,
jakby odarty z czaszki mózg,
gdzie tysiącmłotem wieków łzy,
tak jakbyś ziemię w dłoniach niósł.

On w miłość, w roli skowyt psi,
on się wyciosa z ciszy snu;
jest u każdego progu dni;
jest, jakbyś ziemię w sercu niósł.

I nie nadaremny, bo gdy w lustro łez –
– jak w lustro nieba – śmiercią spojrzysz,
zobaczysz, powiesz: otom jest,
którym się krzyżem w Bogu drżył.

Oto jak pisał ten poeta, z którego przez zwykłe chciejstwo, rozmaite oportunistyczne niedouki, ale i najbardziej przemądrzały z uczonych Artur Sandauer, usiłowały uczynić ateistę. A jak komentował „Psalm o krzyżu" sam Baczyński? „O ile odrzucimy nadzieję – po cóż mamy żyć? – pytał retorycznie. – Rozwiązuje się tym samym wszelką moralność".

A dookoła dymi wszystko…

Był Baczyński znany i popularny w konspiracyjnym środowisku młodoliterackim, co nie znaczy, że powszechnie go akceptowano. Krytyka spotykała go ze strony „Sztuki i Narodu", gdzie dystansował się od jego „Wierszy wybranych" Tadeusz Gajcy, a będąca częścią dwugłosu nota Stanisława Marczaka (wydrukowana pod pseudonimem Andrzej Obornicki) wymyka się zwyczajowym ocenom historycznoliterackim: „Żołnierzy nie ma; są tylko wojownicy, rycerze i jeden kanonier. A dookoła dymi wszystko: i trop, i arkebuzy. Jak w Wilnie.

Nietutejszy woźnico: batem dekadenckich nastrojów poganiasz konia. I coraz dalej od nas wóz się toczy płaszczyzny gwiazd tasujesz w nierzeczywistych dłoniach.

Arharbalu, odejdź!".

Ten „nietutejszy woźnica" zgrzyta, i to bardzo, ale nie zmienia to faktu, że stanowczo za daleko zapędził się Czesław Miłosz, imputując Baczyńskiemu żydowskie pochodzenie nie tylko ze strony matki, co było prawdą, choć rodzina była od dawna spolonizowana, lecz także ojca, co już z faktami nie miało nic wspólnego, a noblistę doprowadziło do konkluzji całkowicie wypaczających sens twórczości Baczyńskiego, znaczenie jego życia i śmierci.

Miłosz zresztą, choć cenił swego młodszego kolegę po piórze, wydziwiał nad jego wierszami, „zanadto eterycznymi", i miał nadzieję, że z czasem staną się „bardziej mięsiste". Czasu – jak wiemy – zabrakło, jeśli zaś chodzi o Miłosza i jego niewątpliwy kompleks wobec poetów walczących, co sprawiło, że – jak pisał Stefan Chwin – jego postawa w latach 1944–1945 „zdecydowanie rozmijała się z aksjomatami polskiej tradycji niepodległościowej", to nie należy przegapić znaczenia zdarzenia mającego miejsce na jednym z wieczorów poetyckich w okupowanej przez Niemców Warszawie. Otóż po tym, jak Baczyński skończył czytać swoje wiersze, podszedł do niego Miłosz i powiedział: „Ty chyba będziesz większy ode mnie". Na co usłyszał: „Ja już jestem większy od ciebie".

Nie ustać w wysiłku…

Wygląda na to, że Czesław Miłosz nie potrafił przejść nad tymi słowami do porządku dziennego. Ale dlaczego uparł się przy swoim odkryciu, że ojczyzna, dla której Baczyński poległ, nie chciała go – jako Żyda? Najwięcej owych żydowskich treści doszukuje się w znanym wierszu poety zaczynającym się od słów: „Byłeś jak wielkie, stare drzewo, narodzie mój jak dąb zuchwały…". Utwór był niedatowany, co było rzadkością u Baczyńskiego, choć nie wyjątkiem. Wiesław Budzyński ustalił, że napisany został w kwietniu 1943 r., po wybuchu powstania w getcie warszawskim. Wskazuje na to chronologia rękopisów, „lecz też nigdzie nie jest powiedziane – czytamy w przypisach do książki »Baczyński uszlachetnia« – że ma to dotyczyć wyłącznie Żydów i wyłącznie getta.

Baczyński w wierszach nigdy nie pisał o nacjach. Żydzi jako Żydzi pojawiają się dopiero w wierszu okolicznościowym »Do pana Józefa…«. Nawet ktoś z zagranicy miał pretensje, że w wierszach poeta… Żydów nie widzi, że w ogóle ich nie widzi. Że ich u niego nie ma. Trzeba tu coś wyjaśnić. Baczyński nie pisze o Polakach, Niemcach,

eprasa.pl 65c12f148d

Krzysztof Kamil Baczyński ok. 1930/1931 r. DOMENA PUBLICZNA

Tablica pamiątkowa na pałacu Blanka, przy placu Teatralnym FOT. WIKIPEDIA

Rosjanach czy Żydach. Pisze o ludziach dobrych i złych, szlachetnych i łajdakach. Pisze o rzeczach świętych i zbrodniach. Tu kwestia moralna jest najważniejsza, to kwestia wyboru. Dekalogu. Odczytywanie tego w kontekście polskim jest zupełnie naturalne, bo dzieje się tu i teraz.

Baczyński był patriotą polskim, jak również żołnierzem polskim, składał przysięgę AK i tej przysiędze był wierny. To jest tak czytelne, że nie podlega dyskusji. Jeśli ktoś nawet zarzucał, że »zabraliśmy Żydom« ich poetę, to nie wie, o czym mówi. Nikt nikomu niczego nie zabierał. Taki był… Z tym chyba nawet Miłosz by się zgodził".

A wiersz „Do pana Józefa w dniu imienin 1942 roku", typowo okolicznościowy, pisany ponoć przez autora na cztery ręce razem z matką, wydał się pewnie cenzurze groźny, skoro usunęła go z jednego z wydań „Utworów zebranych" Baczyńskiego. A wieszczył w nim tak:

[…] Wojna krótko
potrwa, jakieś sześćdziesiąt latek, i cichutko
nim się człowiek obejrzy, będziemy w ojczyźnie,
w nowych spodniach, w krawacie i czystej bieliźnie –
żeby tak rzec – prawdziwi już obywatele,
nadęci, uśmiechnięci, chodzący w niedzielę
do kina i Zachęty oglądać obrazy,
nie klnący od cholery i jedzący zrazy
z kaszą i sztukę mięsa z chrzanem i do tego
jakiś kompot prawdziwy albo wędzonego
węgorza.

Tak to będzie. I Sikorski będzie,
pepesowcy, chadecy, poeci i wszędzie
znów się Żydzi rozplenią i znów stwierdzą ludzie,
że wszystko było przez nich i że Żydzi w brudzie
rozsiewają miazmaty, i że trzeba szyby
i sklepy im rozwalić i zęby im wybić.

I będzie sejm i senat, i nowe obozy
koncentracyjne, i ci na obroży,
i ci, co ją trzymają, i będą kolonie,
będą mądrzy i głupi, zdolni i gamonie,
będą książki, cenzura, będą grafomani
i po ulicach będą brodzili pijani.
W urzędach będą siedzieć sami naczelnicy
i będzie raz na dobę noc z żółtym księżycem,
i będą policjanci, będą konfidenci,
propaganda, złe drogi.
O Wy wszyscy święci.
Wszystko będzie i martwić się właśnie dlatego
nie należy, nie ustać w wysiłku i biegu,
i w ogóle.

Telefon do pana…

W styczniu 1949 r. ubecy przyszli po Krzysztofa Kamila Baczyńskiego – prawie pięć lat po śmierci poety! – do mieszkania jego teściów przy ul. Śniegockiej. To była część tego samego ciągu wydarzeń, który zaznaczył się zamordowaniem młodszego kolegi Baczyńskiego, Janka Rodowicza „Anody", i aresztowaniem jego dowódcy z „Zośki" Juliusza B. Deczkowskiego. Historia się w tym miejscu powtórzyła. Po śmierci ojca Krzysztofa, Stanisława Baczyńskiego, tak samo poszukiwali nieboszczyka Niemcy i też nie mogli uwierzyć, że nie żyje, że wymknął im się z gestapowskich łapsk i nie będą mogli zabić go własnoręcznie.

Cała ta sytuacja rodem z koszmarnego snu skłania do zastanowienia się nad tym, co mogłoby spotkać Baczyńskiego, gdyby dane mu było przeżyć Powstanie. Czy podzieliłby los „Anody"? Najprawdopodobniej, a w każdym razie trudno wyobrazić sobie poetę „łysawego i siwiejącego", w górskim pensjonacie czekającego na podanie rosołu z makaronem czy odrywanego od posiłku wołaniem: „Panie Baczyński, telefon do pana". A tak właśnie zachciało się widzieć go Wisławie Szymborskiej w wierszu „W biały dzień" (z tomu „Ludzie na moście"). W wierszu, w którym najważniejsze jest to, co nie zostało wypowiedziane wprost, a mianowicie przeświadczenie, że nawet i ten wyjątkowy poeta zapłaciłby cenę za swoje przeżycie, za to, „że się nie umarło wcześniej". Eo ipso świniłby tak samo jak my wszyscy, jak ja…

Tego było za wiele nawet dla Adama Zagajewskiego, który w swoim szkicu o twórcy „Elegii" sugeruje, że „być może Baczyński, gdyby niemiecki pocisk poszybował innym torem, byłby dumny, odważny i czysty wewnętrznie; może nie zawarłby żadnego kompromisu i może to wyrażałoby się także na jego szlachetnej twarzy, nie zniszczonej, lecz tylko wyrzeźbionej przez czas". No właśnie.

Nam jedna szarża

Gdy za powietrza zasłoną dłoń pocznie kształty fałdować
i czuje się wielkie ptaki rosnące za chmur kwiatami,

eprasa.pl 65c12f148d

zmierzch schodzi lekko. A ona świeci u okna głową
jasną jak listek światła i śpiewa piosenkę ciszy.
Długą, wijącą się wstęgą głos ciepły w powietrzu stygnie,
aż jego dosięgnie w zmroku i szept przy ustach usłyszy.
„Kochany" – szumi piosenka i głowę owija mu, dzwoni
jak włosów miękkich smuga, lilie z niej pachną tak mocno,
że on, pochylony nad śmiercią, zaciska palce na broni,
wstaje i jeszcze czarny od pyłu bitwy – czuje,
że skrzypce grają w nim cicho, więc idzie ostrożnie, powoli,
jakby po nici światła, przez morze szumiące zmroku
i coraz bliższa jest miękkość podobna do białych obłoków,
aż się dopełnia przestrzeń i czuje jej głosik miękki
stojący w ciszy olbrzymiej na wyciągniecie ręki.
„Kochany" – szumi piosenka, więc wtedy obejmą ramiona
więcej, niż objąć można kochając jedno ciało.
Dłoń wielka kształty fałduje za nieba czarną zasłoną
I kreśli na niej zwierzęta linią drżącą i białą.

A potem świt się rozlewa. Broń w kącie ostygła
i czeka.
Pnie się wąż biały milczenia, przeciągły wydaje syk.
I wtedy budzą się płacząc, bo strzały pękają z daleka,
bo śnili, że dziecko poczęli całe czerwone od krwi.

To ostatni wiersz Krzysztofa Kamila Baczyńskiego – z 13 lipca 1944 r. Jeśli cokolwiek później napisał – a dlaczego miałby nie napisać? – to do tego jeszcze, niestety, nie udało się dotrzeć. Ale łączniczka Barbara Malanowicz zapamiętała słowa marsza, który powstał w pierwszych dniach Powstania, a zaczynał się tak:

Nam pod hełmy zaglądać nie trzeba,
na legendę gwiżdżemy i śmierć,
nam wystarczy piosenka żołnierza,
w rytmie kroków zaklęta i serc.

„W słowach pierwszej strofy – pisał Wiesław Budzyński w »Miłości i śmierci Krzysztofa Kamila« – znaleźć można podobieństwo piosenki śpiewanej przez żołnierzy baonu »Zośka« do słów Baczyńskiego; »Raz-dwa-trzy-cztery – niech ambasador nosi ordery, nam jedna szarża – do nieba wzwyż, i jeden order – nad grobem krzyż…«.

Końcówka trzeciej zwrotki piosenki znajduje odbicie w słowach: »… z naszych to ramion czy tak, czy siak, wytryśnie Polska wolna jak ptak«.

Jeśli słowa zapamiętane przez panią Malanowicz mają coś wspólnego z Baczyńskim, to jest to może ostatni ślad twórczości poety, jedyny, jaki – być może – ocalał z Powstania!".

Jakże często w wierszach poety powtarzają się tytuły: „Pieśń…", „Piosenka…", „Pioseneczka". Tak, tak, jak u Norwida. A pisał także dla konkretnych odbiorców. Lesław Bartelski wspominał, że gdy szedł kiedyś z Baczyńskim, ten „szepnął do niego znacząco: »A wie pan, co teraz najważniejsze?«. Kiedy nie odpowiedziałem, dodał: »Piosenki żołnierskie«".

Znów wędrujemy ciepłym krajem

I pisał je: „Maszeruje pluton" czy „O Barbaro, o Barbaro…", corocznie śpiewaną w rocznicę wybuchu Powstania obok takich „przebojów" tamtego wyjątkowego czasu jak „Warszawskie dzieci":

O Barbaro, o Barbaro,
wkoło ciebie chłopców rój,
lecz ty pójdziesz z naszą wiarą,
w naszych sercach pójdziesz w bój.

Wielka bania ze śpiewaną poezją Baczyńskiego rozbiła się dopiero ćwierć wieku po jego śmierci. Wstrząsem dla każdego wrażliwego Polaka stały się „Wiersze wojenne", kompilacja kilku genialnych utworów poety z kongenialną muzyką Zygmunta Koniecznego w wykonaniu Ewy Demarczyk. Tego się nie zapomni nigdy!

Dziś „Wiersze wojenne" wykonuje Janusz Radek i robi to dobrze. A Baczyńskiego śpiewali i inni, lepiej lub gorzej, przy okazji popularyzując jego lirykę, że wspomnę tu tylko o zespole Boom („Słońce, słońce w ramionach") czy o znanym z różnych interpretacji, głównie Grzegorza Turnaua, „Znów wędrujemy ciepłym krajem". Ale, powtórzę, poza konkurencją pozostają „Wiersze wojenne" Ewy Demarczyk, która z wielkim powodzeniem śpiewała także „Sur le Pont d'Avignon".

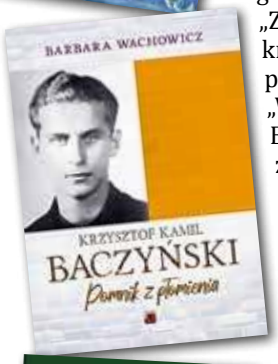

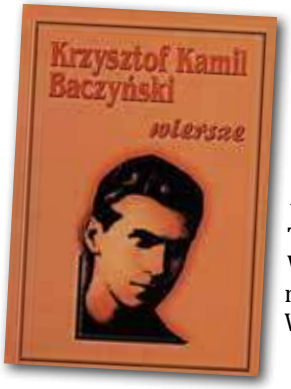

W służbie wolności ojczyzny

„Baczyński swoją poezją przedarł się przez komunizm – pisze Wiesław Budzyński. – Jego już nie można było zakazać czy »usynowić«, co próbowano, rozdmuchując jego młodzieńcze poglądy, które później niemal całkowicie odrzucił, służąc sprawie najważniejszej: wolności własnej ojczyzny.

Poezja Baczyńskiego ukazała się, poczynając od lat 60., w sumie w ogromnym nakładzie – ok. pół miliona egzemplarzy! Żaden polski poeta, łącznie z Mickiewiczem, na którego było przyzwolenie z jakimiś wyjątkami, nie mógł poszczycić się takim wzięciem, taką popularnością, i to obok lub wbrew komunistom. To zjawisko wykracza poza literaturę…".

Pamiętajmy o Krzysztofie Kamilu Baczyńskim. To nasz obowiązek. Wobec poezji. Wobec literatury. Wobec Warszawy. Wobec Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c12f148d

Pomnik konfederackiego generała Roberta R. Lee usuwany z postumentu, 17 maja 2017 r., Nowy Orlean FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Książka miesiąca / Biała flaga USA

Wolny świat?

Nie są to czasy dobre dla wolności – stwierdza Rafał A. Ziemkiewicz w zakończeniu swojej najnowszej książki, bez złudzeń oceniając rzeczywistość, w której żyjemy.

Gołym okiem widać, że tak wytęskniony przez nas Zachód już jutro przestanie być – powiada Ziemkiewicz – „nie tylko »wolnym światem«, lecz także cywilizacyjnym centrum, oazą dobrobytu, naukowego i cywilizacyjnego postępu. Że na naszych oczach zacznie podupadać także materialnie i podobnie jak realny socjalizm dorobi sobie do tego ideologię – że trzeba nauczyć się żyć biedniej i godzić z niedostatkiem w imię wartości". A kto ma żyć biedniej? Przecież nie najbogatsi, bo ci mają więcej, niż mieli kiedykolwiek, ani nędzarze, bo gorzej być im już nie może, ale na pewno klasa średnia, bo ta pauperyzuje się błyskawicznie. Im głośniej liberalni demokraci mówią o wyrównywaniu szans, tym większe stają się społeczne nierówności. Przy czym Stany Zjednoczone do niedawna wydające się enklawą zdrowego rozsądku, bastionem broniącym się przed dzikimi pomysłami nawiedzonego lewactwa, wywiesiły białą flagę i dziś po światowym mocarstwie numer 1 pozostają jedynie wspomnienia. Amerykanie jak wcześniej Sowieci mogą jedynie lizać rany, z zazdrością spoglądając w stronę Chin czy innych azjatyckich „tygrysów". Przedstawiciele żółtej rasy nie tylko pracują o niebo wydajniej od innych, lecz także zdobywają coraz więcej laurów naukowych, kulturalnych, sportowych.

Z cywilizacji białego człowieka pozostały szczątki. Z Donalda Trumpa amerykańscy liberałowie uczynili mordercę meksykańskich dzieci. Wystarczyły zainscenizowane scenki, fotki, zjadliwe memy i potoki łez wylewanych przez ludzi o czułych sercach i miękkich czterech literach, a nielegalni imigranci stali się ofiarami okrutnych pograniczników. Jeśli ktoś miał nadzieję, że u nas – w „potopie", z którym mamy do czynienia na granicy z Białorusią – sytuacja ta się nie powtórzy, to wie już, że był w grubym błędzie.

Z praw człowieka uczyniono pośmiewisko. Obecnie te prawa obowiązują wobec gejów, lesbijek, całego towarzystwa LGBT, ale nie działają w odniesieniu do tych (a są jeszcze tacy!), którzy ani nie uważają się za „innych", ani nie chcą nimi być, niezależnie od tego, że się to dziś po prostu opłaca.

Do lamusa oddaje się historię, literaturę, a już religię przede wszystkim. Oczywiście z chrześcijaństwem na czele. Kultura zaś to w rozumieniu „młodych, nowoczesnych" imprezka w klubie, w najlepszym razie pop music lub niewyczerpujący myślowo film. No i seks stający się rytuałem, wszystko jedno, czy rzeczywistym czy wirtualnym.

I tutaj warto zaakcentować wagę informacji Rafała Ziemkiewicza o dwu zarządzeniach rządu chińskiego, zakazującego dzieciom grania w gry komputerowe dłużej niż jedną godzinę tygodniowo (co tylko w naszych warunkach wydaje się abstrakcyjne) oraz, ważniejszym, zabraniającego promowania w tamtejszych mediach „zniewieściałości" i „nieobyczajności". Straszne, nieprawdaż? Czyż jednak te – czytamy – „zamordystyczne skądinąd zarządzenia nie zwiększają ewolucyjnej przewagi Azji nad Zachodem"?

„Strollowana rewolucja" to ważna i potrzebna książka. Ziemkiewicz nie podsuwa gotowych recept, zresztą takimi nie dysponuje, ale przedstawiając fakty, ukazuje ich drugie dno, a do opinii i sądów, szczególnie tych autorstwa osób uchodzących za autorytety, podchodzi nie ze szczyptą, ale z całą górą krytycyzmu. Zalety jego pióra są dobrze znane, a niekiedy drażniąca u tego autora apodyktyczność mniej niż zwykle rzuca się w oczy.

Niestety, ma rację Ziemkiewicz, konstatując, że przyszły czasy fatalne dla wolności, a i nie tylko dla niej. Na szczęście nie popada w czarną rozpacz, nieśmiało podsuwając nawet sposoby radzenia sobie w tej arcytrudnej sytuacji. Jak? Odsyłam do jego książki, sygnalizując w tym miejscu jedynie dwie polskie powinności: przestać nareszcie wieszać się u klamki albo Europy Zachodniej, albo Ameryki, bo to kiepski interes, robić swoje, no i jeszcze jedno – nie dać się trollować. ©℗

Krzysztof Masłoń

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„STROLLOWANA REWOLUCJA"
FABRYKA SŁÓW, LUBLIN 2021

eprasa.pl 65c12f148d

Tragedia Tatr 2019

Za 50 i 100 lat będzie się przypominać o dwóch tragediach tatrzańskich roku 2019, które wydarzyły w tym samym czasie: masowym porażeniu piorunami turystów na Giewoncie i śmierci dwóch grotołazów w Wielkiej Jaskini Śnieżnej. Może ktoś napisze książkę na podstawie rozmów z ostatnimi świadkami tragedii: ofiarami piorunów i ratownikami TOPR. Jednak najważniejsza zawsze będzie książka Beaty Sabały-Zielińskiej, która ukazuje się dwa lata po tragicznych wydarzeniach. Daje najpełniejszy ich obraz, niemal minuta po minucie, stworzony dzięki rekacjom tych, którzy przeżyli, i tych, którzy ratowali. A ich wspomnienia są świeże, dokładne, pełne emocji, Pioruny zabiły wtedy kilka osób, poraniły i poparzyły 200. „Byliśmy pewni, że nie przeżyjemy – mówiła jedna z ofiar tragedii – bo pioruny cały czas waliły". W historii światowego ratownictwa górskiego nie było większego wyzwania, nigdy nie było aż tak wielu potrzebujących pomocy, reanimacji. Dlatego też jeszcze podczas burzy wystartował śmigłowiec TOPR, inni ratownicy dojechali do Hali Kondratowej, a stamtąd szli ku Giewontowi. Zastali przerażający obraz: ludzie poparzeni, w spalonych ubraniach, z połamanymi kończynami. „Wiało grozą i powiewem beznadziejności. W koło płacz, lament i jęki, zawodzenia". Część porażonych była w szoku, stała lub leżała bez ruchu. Ratownicy wspominali też wspaniałe postawy ludzi. „Idźcie dalej, tam jest gorzej, ja sobie poradzę" – usłyszeli od jednego z porażonych piorunem. Widzieli, że ludzie pomagają sobie nawzajem.

W tym czasie rozgrywał się dramat dwóch grotołazów w Wielkiej Jaskini Śnieżnej, którzy znaleźli się w śmiertelnej pułapce. Ratownicy słyszeli ich chrapanie i rzężenie, grotołazi umierali z wychłodzenia. Dwie doby trwała zażarta walka z czasem i przeciwnościami, odpalano mikroładunki wybuchowe, by dostać się do uwięzionych. „Na bardzo wczesnym etapie wiedzieliśmy, że szliśmy po ciała, choć ciągle wierzyliśmy, że jednak przetrwali". Gdy jeden z zespołów ratowników TOPR wychodził załamany, bo nic się nie dało zrobić, zastępowano go drugim, wypoczętym, ten znów wychodził załamany, do akcji wkraczały nowe siły. Jak bywa w takich sytuacjach, inni grotołazi „mieli cztery miliony pomysłów, jak to można zrobić, lepiej, szybciej" – wspominał jeden z ratowników. Nie było można. Nie udało się uratować uwięzionych. ©℗ *Tomasz Stańczyk*

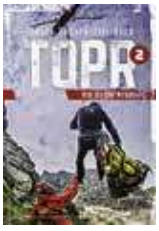

BEATA SABAŁA-ZIELIŃSKA
„TOPR 2. NIE KAŻDY WRÓCI"
PRÓSZYŃSKI MEDIA

As wywiadu II RP

Ze swadą autor opisuje postać i działania Jana Henryka Żychonia, oficera polskiego wywiadu działającego w latach 30. na niebezpiecznym odcinku pomorskim. To on zorganizował „Wózek", akcję penetrowania niemieckich przesyłek między Prusami i większością Rzeszy, która przyniosła bogate żniwo. Porwał nawet niemieckiego agenta na terenie Gdańska. Dorównywał Abwehrze w przebiegłości i brutalności. Szczuli przeciwko niemu zazdrośni koledzy. Zginął pod Monte Cassino. I jeszcze uwaga: propozycji sujuszu z Czechami nie odrzucił w 1938 r. Józef Beck, ale ówczesny prezydent Czechosłowacji Edward Beneš… ©℗ *(m.r.)*

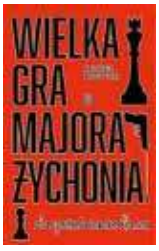

ANDRZEJ BRZEZIECKI
„WIELKA GRA MAJORA ŻYCHONIA. AS WYWIADU KONTRA RZESZA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

BORYS KIERŻENCEW
„ZNIEWOLONA ROSJA. HISTORIA PODDAŃSTWA"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

OSTATNI KRĄG PIEKŁA

Chłopi rosyjscy byli absolutną własnością pana. Aż do połowy XIX w. mógł ich sprzedać, odłączyć od rodziny i surowo karać. Bicie, czym popadnie, chłosta, zakuwanie na całe dnie w tzw. kuny były na porządku dziennym. Podobnie jak niemal zwyczajowe gwałcenie chłopskich córek i żon. Jeżeli życie chłopów pańszczyźnianych w Polsce nazwiemy piekłem, to w Rosji był piekła ostatni krąg. ©℗ *(m.r.)*

HARALD JÄHNER
„CZAS WILKA. POWOJENNE LOSY NIEMCÓW"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

NIEMCY NA GRUZACH

Przedstawianie historii Niemiec często kończy się na kapitulacji III Rzeszy. Hitler strzelił sobie w głowę, Wehrmacht złożył broń. Koniec. Warto więc sięgnąć po książkę Haralda Jähnera, aby dowiedzieć się, co było dalej. Jak Niemcy żyli na gruzach swojej ojczyzny, w jaki sposób radzili sobie ze zbrodniczą brunatną spuścizną i goryczą klęski. ©℗ *(p.z.)*

RAFAŁ MATYJA
„MIEJSKI GRUNT. 250 LAT POLSKIEJ GRY Z NOWOCZESNOŚCIĄ"
KARAKTER

HISTORIA POLSKI INACZEJ

Historia Polski ostatnich 250 lat to nie tylko walka o niepodległość, powstania, wojny i okupacje. Autor proponuje przyjrzenie się temu, jak powstawała współczesna sieć miejska, jak rozwijały się infrastuktura i usługi, koleje. Pisze o rewolucji sanitarnej, komunikacyjnej i przemysłowej w XIX w., o tym wszytskim, co zmieniało oblicze miast i życie ich mieszkańców. Opowieść o procesach modernizacji doprowadzona jest do XXI w. ©℗ *(t.s.)*

eprasa.pl 65c12f148d

Amerykańscy żołnierze w Wietnamie, 1966 r. FOT. WIKIPEDIA

Bagno Wietnamu

To wspaniałe panoramiczne dzieło najbardziej poczytnego brytyjskiego pisarza historycznego dotyczy tym razem przewlekłego konfliktu, który rozgorzał w Wietnamie po zakończeniu drugiej wojny światowej i toczył się aż do połowy lat 70. Zaczął się zwycięską walką Wietnamczyków z Francuzami, starającymi się wrócić do swoich kolonii w Indochinach po ustąpieniu okupacji japońskiej. Wycofali się po sromotnej klęsce pod Dien Bien Phu w 1954 r. Ich miejsce zajęły wkrótce dwa odmienne reżimy: komunistyczny na północy i autorytarny – kapitalistyczny, ale nieudolny i skorumpowany – na południu. Francuski kolonializm wydawał się przy nich sielanką.

Nieszczęścia narodu wietnamskiego pogłębiła rychło walka partyzantów Wietkongu, wzniecana na południu przez komunistów Ho Chi Minha z północy, wspieranych przez maoistowskie Chiny oraz Związek Sowiecki. Aby uniemożliwić im zwycięstwo w całych Indochinach, do akcji przystąpiły wtedy USA. I oto najpotężniejsze mocarstwo świata kilkanaście lat zmaga się z nierozwiniętym, rolniczym krajem azjatyckim.

Ustępuje on Amerykanom pod każdym względem – poza jasno określonym celem walki oraz poparciem znacznej części świata, z opinią amerykańską włącznie (!). Bo przekazy telewizyjne ukazują na ogół amerykańskie okrucieństwo w wioskach otoczonych polami ryżowymi, dżunglą i bagnami, gdzie podstępny wróg zakładał miny i urządzał pułapki, a mógł czaić się wszędzie i o każdej porze. Rozjuszeni stratą kolegów marines – którzy z początku uśmiechali się i rozdawali dzieciom cukierki – strzelali do wszystkiego, co się rusza, zabijając zwykle niewinnych chłopów.

Przerzedzone oddziały Wietkongu zastępują całe dywizje północnowietnamskie, które przechodzą przygranicznym szlakiem przez Laos i Kambodżę. Wreszcie lotnictwo USA rozszerza dywanowe naloty i na te szlaki, i na Wietnam Północny. Ofiary wśród ludności sięgają 2 mln, ale Amerykanie toną w bagnie. Nie mają na kim się oprzeć, bo kolejne kliki rządzące w Sajgonie chowają ich pomoc do kieszeni, hasło walki o niepodległość ukradli im komuniści, a demokracji zachodniej nikt tu nie rozumie. Nie wiadomo więc, dla kogo i po co wysyłają coraz więcej żołnierzy i sprzętu do Azji. Eskalacja działań ulega też – niezrozumiałym pod kątem wojskowym – samoograniczeniom i niekonsekwencji rządzących w Waszyngtonie.

Zajęcie Iraku oraz Afganistanu już w XXI w. dowodzi, że Wietnam niczego Amerykanów nie nauczył. ©℗ ***Maciej Rosalak***

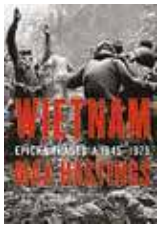

MAX HASTINGS
„WIETNAM. EPICKA TRAGEDIA 1945–1975”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Maszyny wojenne na torach

Wiele lat temu – gdy byłem jeszcze nastolatkiem – jechałem tramwajem po Mokotowie i czytałem książkę o Orlętach Lwowskich. Mniej więcej na wysokości kościoła Świętego Michała zagadał do mnie pewien starszy pan.

– Mój tatuś służył w trakcie tej wojny w pociągu pancernym. Nazywał się „Smok” – powiedział. – Ten pociąg szedł na odsiecz do Lwowa.

Mój rozmówca opowiedział mi o przygodach swojego ojca i reszty żołnierzy służących na „Smoku”. Rozmowę tę przypomniałem sobie, przeglądając niesamowity album Adama Jońcy „Polskie pociągi pancerne 1921–1939”. Znalazłem w nim zdjęcia „Smoka” i historię jego zaciętych zmagań z Ukraińcami na trasie Przemyśl–Lwów.

Album zawiera niesamowitą opowieść o tym – obecnie już nie używanym – pojeździe wojskowym. Polskie pociągi pancerne walczyły z bolszewikami w roku 1920, wzięły również udział w kampanii 1939 r. Wyposażone w potężne pancerze, najeżone działami i karabinami maszynowymi stanowiły bardzo groźną broń.

Album Adama Jońcy zawiera setki kapitalnych zdjęć przedstawiających polskie pociągi pancerne i ich załogi. Rysunki techniczne, mapy, niezwykle kompetentne opisy techniczne uzbrojenia i konstrukcji pociągów. Wiele z tych konstrukcji było naprawdę niebywałych! W książce znalazła się również pasjonująca opowieść o szlaku bojowym tych maszyn. ©℗ ***Piotr Zychowicz***

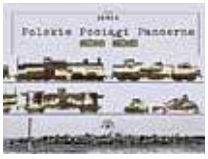

ADAM JOŃCA
„POLSKIE POCIĄGI PANCERNE 1921–1939”
VESPER

eprasa.pl 65c12f148d

II RP i emigranci z Rosji

To pierwsza całościowa monografia, jaka się ukazała na temat stosunków pomiędzy państwem polskim a mniejszością i emigracją rosyjską. Autor przedstawił panoramę różnych rosyjskich ugrupowań politycznych, funkcjonujących w II Rzeczypospolitej i ich relacji z państwem polskim w latach 1926–1935, a więc podczas ostatniego dziesięciolecia życia marszałka Józefa Piłsudskiego.

Największe znaczenie dla władz II RP w początkowych latach istnienia państwa miały środowiska tworzące Rosyjski Komitet Polityczny kierowany przez Borysa Sawinkowa, wyrażające wolę współpracy z Polską na bazie akceptacji jej nowych granic i zawartych układów sojuszniczych. Naczelnik Józef Piłsudski wyrażał nadzieję, że dzięki RKP uda się stworzyć tzw. trzecią Rosję, stanowiącą alternatywę wobec wrogich Rzeczypospolitej, „białej" czy „czerwonej". Niestety, traktat ryski ostatecznie przekreślił możliwości realizacji wspomnianej koncepcji. Budziła ona zresztą zdecydowaną niechęć u dążących do odbudowania „jednej i niepodzielnej" Rosji, związanych z ROWS (Rosyjski Związek Ogólnowojskowy) ośrodków emigracyjnych, postrzegających ludzi z kręgów RKP jako swoistych politycznych outsiderów.

Najwybitniejszą osobą w tym gronie był bez wątpienia wiceprzewodniczący RKP Dymitrij Fiłosofow, który po wyjeździe Sawinkowa z Polski kontynuował linię porozumienia i dialogu z władzami RP. Fiłosofow miał osobisty dostęp do czołowych przedstawicieli polskich władz państwowych z Józefem Piłsudskim na czele. Marszałek darzył go zresztą szczególnym zaufaniem, czego wyrazem było kilkanaście spotkań. Redaktor gazety „Za wolność" był krytykiem literackim, dziennikarzem, a jeśli chodzi o sferę poglądów politycznych – liberalnym demokratą i przede wszystkim antykomunistą. Do jego sukcesów należy zaliczyć powołanie we wrześniu 1930 r. Rosyjskiego Komitetu Społecznego, w którego władzach znaleźli się działacze różnych środowisk politycznych, m.in. monarchistycznego ROWS.

Osobą reprezentującą zbliżone do Fiłosofowa poglądy w materii współdziałania z Polską był esauł, a potem pułkownik Michaił Jakowlew. Ten zdecydowany i bezkompromisowy antykomunista w czasie wojny polsko-bolszewickiej pełnił funkcję dowódcy brygady kozaków kubańskich (sam kozakiem nie był), a potem dywizji kozackiej. Pułkownik nie miał takiej pozycji politycznej i autorytetu jak Fiłosofow, stąd jego współdziałanie z Polakami miało głównie charakter głównie wywiadowczy. Jako współpracownik Oddziału II Sztabu Generalnego Jakowlew wyłamywał się często z ram kooperacji, nakreślonych przez oficerów polskiej „dwójki", podejmując różne samodzielne przedsięwzięcia. Do takich posunięć wypada zaliczyć pomoc, której udzielił 20-letniemu rosyjskiemu emigrantowi Borysowi Kowerdzie w przygotowaniach do przeprowadzonego 7 czerwca 1927 r. w Warszawie, skutecznego jak się okazało, zamachu na sowieckiego przedstawiciela dyplomatycznego posła Piotra Wojkowa. Po rozpoczęciu okupacji niemieckiej Michaił Jakowlew związał się z konspiracyjną organizacją gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza. Skutkiem tego było aresztowanie i deportacja do KL Auschwitz, gdzie zmarł w 1940 r.

Szczegóły współpracy wywiadowczej II Oddziału z innymi przedstawicielami rosyjskiej społeczności mieszkającej w Polsce, wśród których znajdowali się m.in. przywódcy struktur NTS (Związek Narodowo-Pracowniczy), oraz prezentację wielu innych zagadnień dotyczących relacji polsko-rosyjskich, takich jak choćby kolaboracji z władzami RP prorządowego ZROM Borysa Pimonowa, znajdzie każdy zainteresowany tą tematyką, zagłębiając się w lekturę tej niezwykle wartościowej pracy. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

ŁUKASZ DRYBLAK
„POZYSKAĆ PRZECIWNIKA. STOSUNKI POLITYCZNE MIĘDZY PAŃSTWEM POLSKIM A MNIEJSZOŚCIĄ I EMIGRACJĄ ROSYJSKĄ W LATACH 1926–1935"
IPN

HISTORYCZNE BITWY

2014 Ukraina

Przypomnienie wojny, którą Rosja nęka od kilku lat Ukrainę, przynosi nam dziś szczególnie aktualną, złowrogą przestrogę. Zajęcie Krymu w pierwszym kwartale 2014 r. – rzekomo przez „zielonych ludzików" – ułatwione istnieniem tam garnizonów rosyjskich, rozkładem ukraińskiego wojska i marynarki oraz poparciem znacznej części mieszkańców odbyło się błyskawicznie. Akcję zakończyła ubrana w pozory legalności aneksja Krymu przez Federację Rosyjską. Z końcem zimy rozpoczęła się agresja na południowo-wschodnie ukraińskie obwody Doniecka i Ługańska. Zarówno w drugiej połowie 2014 r., jak i zimą 2015 r. oddziały prorosyjskich rebeliantów wspierane na ziemi i z powietrza – a także w cyberprzestrzeni oraz w sugestywnej propagandzie przez Kreml – zajęły główne ośrodki obwodów. Mimo rozjemczych postanowień dwóch konferencji (Mińsk 1 oraz Mińsk 2) strzały i wybuchy nadal tam słychać, a zbrojni oraz cywile tracą życie. Moskwa nie posuwa się do aneksji cudzych terytoriów; wystarcza tu ciągła destrukcja ukraińskiego państwa i jego gospodarki, dezinformacja ludności, ciągłe sianie zamętu. Oto niewypowiedziana wojna Rosji z Ukrainą. Dostęp autora do dokumentów sztabowych, raportów z pola walki czy najbardziej miarodajnych świadectw musiał być szalenie utrudniony, a jednak otrzymaliśmy relację wartościową i ciekawą. Warto np. wiedzieć, że na przełomie lat 2014 i 2015 (czyli po zwycięstwie Majdanu) ukraińskie siły lądowe liczyły 40 tys., ale w oddziałach zdolnych do walki służyło ledwie 6 tys. żołnierzy uzbrojonych w przestarzały oręż i sprzęt… ©℗

Maciej Rosalak

MICHAŁ KLIMECKI
„KRYM, DONIECK, ŁUGAŃSK 2014–2015"
BELLONA

eprasa.pl 65c12f148d

Wojciech Kossak „Bitwa pod Kircholmem" FOT. DOMENA PUBLICZNA

Geopolityka / Książka „Nadchodzi III wojna światowa"

rozmawiają Jacek Bartosiak i Piotr Zychowicz

Polska może być potężna

Musimy czerpać ze wzorów Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Musimy zbudować armię, która będzie odpowiednikiem husarii – fragment rozmowy Jacka Bartosiaka i Piotra Zychowicza

PIOTR ZYCHOWICZ: Czyli naprawdę wierzysz, że można cofnąć koło historii?

JACEK BARTOSIAK: Mało tego, wierzę, że z historii Rzeczypospolitej należy czerpać wzory. Bo zmieniają się środki techniczne, ale nie realia geopolityczne. Wojska dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów miały swój określony sposób funkcjonowania. Były bardzo ruchliwe. Mało piechoty, bardzo dużo konnicy. Lubiły chodzić komunikiem, czyli bez taborów albo tylko z lekkimi taborami. Stare urządzenie polskie, czyli – mówiąc współczesnym językiem – koncepcja operacyjna dawnego wojska polskiego, nie polegało wcale na tym, że husaria pędziła na łeb na szyję i wbijała się we wszystko, co stanęło jej na drodze. Najpierw było kształtowanie pola walki, manewrowanie – ze względu na warunki geograficzne byliśmy znakomici w manewrze na dużych przestrzeniach. Tak kręciliśmy przeciwnikiem, że cały czas osłabiał się w terenie. Tak się urzutowywał, tak ustawiał do starcia, że mogliśmy używać naszego wojska, jak chcieliśmy. Byliśmy mistrzami ówczesnego kształtowania systemu świadomości sytuacyjnej. Oczywiście w ramach dawnych możliwości technicznych.

Do tego krótkiego wykładu o staropolskiej sztuce wojennej warto dodać to, o czym w szkole uczy się każde polskie dziecko, ale co często nam

eprasa.pl 65c12f148d

umyka. Otóż wiele z największych triumfów oręża polskiego udało się osiągnąć znacznie mniejszymi siłami niż przeciwnik. Weźmy dwa przykłady z brzegu. Rok 1605 i bitwa pod Kircholmem. 3,5 tys. żołnierzy Rzeczypospolitej rozbiło 11 tys. Szwedów. Rok 1610, bitwa pod Kłuszynem. Niecałe 7 tys. żołnierzy hetmana Stanisława Żółkiewskiego rozbiło 20-tysięczną armię moskiewską wspieraną przez kilka tysięcy najemników. Ciekawe, prawda?

Tak. To jest kolejna historyczna lekcja na dzisiaj. Decydujące są koncepcja operacyjna, ukształtowanie siły i szybkość decyzji. A nie sama przewaga liczebna. Tak było w XVII w. i tak jest teraz. W tamtych czasach sztuka wojenna miała ogromne znaczenie. Wbrew pozorom to nie była tępa rąbanka szablami. Uderzenia jazdy, rozprzężenie, rozwinięcie piechoty, rozciągnięcie linii. Wszystko to były mistrzowskie metody naszych hetmanów, którzy potrafili idealnie ustawić sobie nieprzyjaciela, a potem wykonać punktowe uderzenie w jego punkt ciężkości. Pozwolę sobie na porównanie kulinarne: najpierw gotujesz galaretę, a potem po prostu przecinasz ją uderzeniem pięści w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie i przy odpowiedniej pogodzie, porze dnia. To jest właśnie ta staropolska szkoła wojenna. Zawsze czuliśmy się lepsi w manewrze, w ruchu. Dopiero wiek XVIII, potem rewolucja czasów napoleońskich, pobór masowego rekruta, masowość śmierci doprowadziły do tego, że Rosjanie ze swoim olbrzymim potencjałem demograficznym mogli przystąpić do gry o równowagę w Europie. I co pewien czas rzucali do akcji swoje masowe armie.

Tak było w latach 1812, 1914 i 1941. Brytyjczycy za każdym razem wykorzystywali rosyjskiego żołnierza do zdławienia imperialnych ambicji europejskich kandydatów do hegemonii europejskiej. Napoleona, Wilhelma II i Hitlera. Mówiłeś, że Rosjanie mogliby nakryć czapkami litewską armię. A polskiej nie? Przecież ludność Federacji Rosyjskiej to obecnie 144,4 mln. A Polski 38 mln. Wciąż jest ich znacznie więcej niż nas. To się przekłada na większe możliwości mobilizacyjne.

Tak było aż do końca XX w. Teraz dokonała się prawdziwa rewolucja. Na nowoczesnym polu walki liczba ludności danego państwa nie ma prawie żadnego znaczenia. Mało tego, zbyt duża koncentracja masy zaczyna być ciężarem w czasie błyskawicznej wojny

W nowoczesnej wojnie liczą się zwrotne, małe jednostki. Szybkie, trudne do namierzenia, korzystające z odpornej pętli decyzyjnej i dominacji informacyjnej nad przeciwnikiem

manewrowej. Bo jeżeli przeciwnik dysponuje kosmicznymi sensorami, czyli widzi cię z daleka i może dzięki temu precyzyjnie prowadzić ogień, to wielka koncentracja masy oznacza wielkie straty. Nowoczesna wojna tak nie wygląda. Liczą się małe, zwrotne jednostki. Szybkie, trudne do namierzenia, korzystające z odpornej pętli decyzyjnej i dominacji informacyjnej nad przeciwnikiem.

Czyli staropolska sztuka wojenna wraca do łask.

[śmiech] Właśnie. To premiuje (relatywnie oczywiście) państwa średnie w starciu z państwami wielkimi. Państwa, które są nowocześnie zarządzane, zaawansowane technicznie i technologicznie, armie, które mają rzutkich, dobrze wykształconych oficerów. Ci oficerowie muszą mieć dużą wolność decyzyjną, muszą sami wyznaczać sobie zadania. To musi być armia zgrana, a nie bardzo duża. Potrafiąca zadawać przeciwnikowi bolesne ciosy i unikać strat własnych. Zdolna wygrać nowoczesną bitwę zwiadowczą, czyli obezwładnić systemy rozpoznania przeciwnika, i samodzielnie wybrać moment uderzenia. A w momencie zagrożenia potrafiąca się rozproszyć. Tak jak pięść, którą w każdej chwili może rozewrzeć palce.

Skoro rozmawiamy o historycznych analogiach, to na potrzeby projektu armii nowego wzoru warto byłoby przeanalizować kampanię polsko-rosyjską 1830–1831, która nastąpiła po powstaniu listopadowym. Żeby nie było wątpliwości, samo powstanie, a raczej rewolucja listopadowa, jej okoliczności, mordowanie polskich generałów w noc listopadową to jest coś koszmarnego. Ale kampania wojenna, która potem nastąpiła, jest ciekawym polem do rozważań. Otóż okazało się, że niewielka, lecz bardzo sprawna, świetnie zorganizowana i uzbrojona w nowoczesny sprzęt armia Królestwa Polskiego radziła sobie całkiem nieźle w starciu z wielką armią rosyjską. Było sporo badaczy, m.in. śp. prof. Jerzy Łojek, którzy uważali, że gdyby nie pewne błędy operacyjne, gdyby udało się wprowadzić w życie plan gen. Ignacego Prądzyńskiego, Polska mogłaby rozstrzygnąć tę kampanię na swoją korzyść. A już na pewno walczyć znacznie dłużej. Problem jednak polega na tym, że aby mieć obecnie taką armię, trzeba płacić. Jak wiadomo, państwa NATO mają docelowo przeznaczać co najmniej 2 proc. PKB na siły zbrojne. Mam tu pod ręką dane za rok 2019. Niemcy – 1,38 proc., USA – 3,42 proc., Wielka Brytania – 2,14 proc. A Polska – równo 2 proc. Czy to za mało, czy za dużo? Ile będzie nas kosztowała armia nowego wzoru?

To jest do policzenia i może to kiedyś policzmy. Ale żeby to zrobić, trzeba mieć dostęp do realnych danych na temat wydatków Wojska Polskiego.

To może inaczej sformułuję pytanie. Czy te niemałe przecież pieniądze, które obecnie przeznaczane są na polską armię, można wydać lepiej?

Oczywiście. To jest sprawa absolutnie fundamentalna. Polska wydaje na wojsko niewiele mniej niż Turcy. A porównajmy sobie zdolności tureckie i nasze. To jest naprawdę bardzo dużo pieniędzy. To zresztą szerszy problem, jak w III Rzeczypospolitej wydawane są środki publiczne. Jeżeli chodzi o zbrojenia, to niestety odwiecznie utrwalone interesy grup interesu są często mocniejsze niż władza wykonawcza w państwie polskim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment rozmowy Jacka Bartosiaka i Piotra Zychowicza „Nadchodzi III wojna światowa" (REBIS).

eprasa.pl 65c12f148d

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Zagórski przemówił zza grobu

/ Ukazał się właśnie dokument niezwykły – przechowane u rodziny wspomnienia zamordowanego gen. Zagórskiego

Kilka lat temu ukazał się w „Gazecie Wyborczej" wywiad z Leszkiem Moczulskim (a może jego odautorski tekst? – nie pamiętam). Było to dość typowe dla tej gazety – chętnie wyciąga ona z niepamięci różne starsze osoby, których nazwiska wciąż jeszcze wiele znaczą dla kręgu ich dawnych wielbicieli, jeśli tylko uda się skłonić je do miotania obelg i przekleństw na PiS. Nie pogardziła, mimo swego chorobliwie antyprawicowego i antyendeckiego profilu, nawet Maciejem Giertychem, czemuż więc miałaby nie opublikować czegoś chętnemu do spełnienia tego warunku Moczulskiemu.

Były działacz ROPCiO i KPN nie ograniczył się jednak do bieżącej polityki i sam z siebie wystąpił z apologią marszałka Piłsudskiego, negując najbardziej ponurą z ciążących na nim zbrodni. Chodzi o sprawę gen. Włodzimierza Ostoi-Zagórskiego. Moczulski z wielką pewnością siebie oznajmił, że generał sam zaaranżował swoje zniknięcie i uciekł, najpewniej do Afryki, z zagrabionymi pieniędzmi, był bowiem zwykłym aferzystą – a plotki o jego rzekomym porwaniu i skrytobójczym mordzie to brudne pomówienia endeckiej opozycji.

To tak, jakby upierać się, że Grzegorza Przemyka pobili na śmierć sanitariusze, Reichstag podpalili komuniści, a wojna zaczęła się od polskiej napaści na radiostację w Gliwicach. Nie ma tak sędziwego wieku i tak wielkich zasług, żeby tolerować wygadywanie podobnych bredni. Tymczasem nie tylko „Gazeta Wyborcza", lecz także właściwie wszyscy przeszli nad absurdalną apologią marszałka w wykonaniu Moczulskiego do porządku dziennego.

Jak sądzę, nie ze względu na autorytet samego Moczulskiego, bo po wyroku sądu lustracyjnego i związaniu się z obozem politycznym dziś zepchniętym do opozycji mocno stracił on na uznaniu wśród zwolenników prawicy, a wśród lewicy i liberałów nie zyskał. To nazwisko Piłsudskiego wciąż gasi w zarodku wszelką chęć historycznych dociekań. Mimo że sprawa Zagórskiego została już zbadana i udokumentowana tak dobrze, że niewiadomym pozostaje właściwie tylko miejsce pochówku i szczegóły dokonanego przez piłsudczyków na zlecenie „Komendanta" mordu.

Niestrudzony badacz tej sprawy, Piotr Kowalski, opublikował właśnie dokument niezwykły – przechowane u rodziny wspomnienia zamordowanego generała. Generał pisał je w ostatnich latach życia z myślą o publikacji i najprawdopodobniej to właśnie ten pamiętnik stał się przyczyną zbrodni. Oprawcy wiedzieli, że obrzucony przez piłsudczykowską prasę oskarżeniami o nadużycia oficer przygotowuje taki tekst na swoją obronę i zechce go upublicznić, wiedzieli też, że z racji funkcji pełnionych w czasie wojny zna on doskonale szczegóły współpracy Piłsudskiego z wywiadem Austro-Węgier, uznawane wtedy za kompromitujące.

Pamiętnik został starannie, naukowo opracowany, dla wszelkiej pewności w publikacji umieszczono jako dodatek cały oryginalny maszynopis generała w formie fotokopii.

Taka publikacja powinna być sensacją wydawniczą, ale… Ale ukazała się tylko w niszowej Oficynie Wydawniczej Kucharski, zapewne w minimalnym nakładzie, podobnie jak wcześniejsza o kilkanaście lat biografia Zagórskiego pióra tegoż Kowalskiego, wyróżniona w konkursie Nagrody Mackiewicza. We wstępie zapowiada on, że pracuje nad opublikowaniem także innych przechowanych przez rodzinę dokumentów po zamordowanym.

A najgorsze jest to, że za jakiś czas i tak ktoś kolejny – jak gdyby nigdy nic – powtórzy publicznie te same brednie co Moczulski… ©℗

eprasa.pl 65c12f148d

Piotr Semka

/ Felieton

Upiorny listopad

Tej rocznicy raczej nikt nie będzie obchodzić. Dokładnie 40 lat temu karnawał Solidarności, który zaczął się w sierpniu 1980 r., powoli wchodził w fazę oczekiwania na uderzenie komunistycznej władzy. Wówczas, jako gorący sympatyk Solidarności, obserwowałem z punktu widzenia 16-latka wyraźne oznaki wymęczenia. Wielu byłych działaczy Solidarności początek przełomu w nastrojach widzi w odwołaniu strajku generalnego Solidarności 31 marca 1981 r. Wtedy to Solidarność cofnęła się przed zderzeniem z władzą i władza po raz pierwszy pokazała swoją siłę.

Lato jeszcze przeszło jako tako i zjazd Solidarności na nowo rozbudził nadzieję na siłę związku. Ale ekipa Jaruzelskiego zaczęła prowadzić wówczas politykę zagłodzenia Polaków. Było to tym łatwiejsze, im trudniej było ocenić, czy braki w dostawie podstawowych produktów żywnościowych były efektem gigantycznego kryzysu czy też diabolicznej polityki PZPR. Tak czy inaczej szczególnie kobiety zaczynały załamywać się trudnościami dostania czegokolwiek i stania godzinami w kolejkach. Solidarność próbowała te nastroje rozgoryczenia rozładowywać tzw. marszami głodowymi. Pamiętam taki marsz, który szedł ulicami Łodzi, uwieczniony w jednej z kronik filmowych. W pamięci utkwiły mi twarze kobiet wahających się między gniewem a rezygnacją.

Rezygnacji było niestety coraz więcej. Coraz częściej zdarzało mi się słyszeć głosy: „Niech to się już skończy, bo ja tej huśtawki nastrojów nie jestem w stanie wytrzymać". A z rodzin milicyjnych czy wojskowych przesączała się niepokojąca pewność siebie. To były złośliwe uwagi typu: „Już niedługo waszego pajacowania" czy „Lepiej namów męża, póki czas, żeby zrezygnował z szefowania zakładowej komisji Solidarności". Ale bywały różne reakcje działaczy związku. Ci najbardziej ideowi uważali, że związek powinien docisnąć „gaz do dechy". Z dużą dozą słuszności wskazywali, że albo związek zaryzykuje konfrontację strajkową z ekipą Jaruzelskiego, albo będzie powoli coraz bardziej bezsilnym kolosem. Takie opinie pojawiały się w trakcie posiedzenia władz Solidarności w Radomiu w listopadzie 1981 r.

Kościół na czele z prymasem Glempem skupiał się głównie na przestrzeganiu Solidarności, by nie ryzykowała żadnego czołowego starcia. Tę atmosferę symbolizowało nieudane spotkanie w trójkącie prymas Glemp, gen. Jaruzelski i Lech Wałęsa. Wielu solidarnościowców mających rutynę opozycyjnej działalności z lat 1976–1980 zaczęło po cichu ukrywać maszyny do pisania i powielacze. I wreszcie ci, którzy zaczynali się realnie bać, niemający wcześniejszego „dysydenckiego" treningu. Wybrani jesienią 1980 r. na fali powszechnego entuzjazmu zaczynali powoli cichnąć, wygłaszać jałowe banały o potrzebie spokoju w kraju czy po prostu usuwać się od działalności związkowej. Solidarność przypominała wtedy duży neon, który wskutek braku energii zaczyna migać lub blednąć.

> **Poczułem instynktownie, że coś się zmieniło, ale początkowo nie wiedziałem co. W miejscu niedawnych pielgrzymek z całej Polski było pusto...**

Nigdy nie zapomnę pewnej deszczowej soboty w listopadzie 1981 r., kiedy jako mieszkaniec gdańskiego Wrzeszcza szedłem główną arterią, al. Grunwaldzką, mijając budynek dawnego Hotelu Morskiego. Ten gmach od września 1980 r. był zawsze otoczony tłumami ludzi czekających na audycje Solidarności z megafonów i rozchwytujących związkowe ulotki. Myśląc o jakichś swoich sprawach, minąłem budynek i nagle się zatrzymałem. Poczułem instynktownie, że coś się zmieniło, ale początkowo nie wiedziałem co. W miejscu, do którego jeszcze niedawno pielgrzymowano z całej Polski, było pusto. Od mokrego od deszczu chodnika odbijało się echo audycji radiowej Agencji Solidarność. Wtedy po raz pierwszy uzmysłowiłem sobie, że te miliony Polaków mogą przyjąć likwidację Solidarności bez masowej fali protestów.

Gdy parę tygodni później oglądałem w telewizji, jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego, jak milicja pacyfikuje strajk w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej, moje złe przeczucia jeszcze się wzmocniły. Od 13 grudnia dzieliło Polaków tylko dziewięć dni... ©℗

eprasa.pl 65c12f148d

1620–1621 / Berezowka, Chocim, Kamieniec Podolski

Hołd dla wielkich hetmanów

Tomasz Stańczyk

Chocimska wiktoria z 1621 r. powinna stać się symbolem polsko-ukraińskiego przymierza i współpracy przeciw wspólnemu zagrożeniu

Czterysta lat temu, niemal po miesiącu zmagań, 9 października 1621 r., zakończyła się zwycięska obrona wojsk Rzeczypospolitej – polskich, kozackich i litewskich, pod wodzą hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza, zwycięzcy spod Kircholmu. Chocim był ostatnią bitwą tego wybitnego wodza, zmarł w jej trakcie.

Nic też dziwnego, że w uroczystościach w 400. rocznicę bitwy – zorganizowanych przez Fundację Pomoc Polakom na Wschodzie oraz Polsko-Ukraińską Fundację im. Ignacego Jana Paderewskiego – wzięła udział kilkunastoosobowa grupa członków różnych grup rekonstrukcyjnych husarii z całej Polski. Dowodził Jarosław Struczyński, inicjator odbudowy zamku w Gniewie, który stał się centrum współczesnego rycerstwa,

eprasa.pl 65c12f148d

Rekonstruktorzy wojska Rzeczypospolitej XVII w. przed pomnikiem w miejscu śmierci hetmana Stanisława Żołkiewskiego, Berezowka, Mołdawia
FOT. TOMASZ STAŃCZYK

Jan Karol Chodkiewicz
FOT. WIKIPEDIA

Stanisław Żołkiewski FOT. WIKIPEDIA

dowódcy chorągwi husarskiej marszałka województwa pomorskiego. To właśnie rekonstruktorzy dodali kolorytu i stworzyli niezwykły nastrój rocznicowych obchodów, przypominając wielkość i chwałę husarii Rzeczypospolitej.

Żółkiewski – życie dla ojczyzny

Zanim jednak rozpoczęły się chocimskie uroczystości, oddano hołd pamięci hetmana wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego, zwycięzcy spod Kłuszyna (1610), gdzie husaria pokonała kilkakroć silniejszego moskiewskiego wroga. Hołd spóźniony o rok, z powodu pandemii, uniemożliwiającej wyjazd do Mołdawii, gdzie w pobliżu wsi Berezowka (dawniej: Laszki) wznosi się pomnik obelisk na miejscu śmierci hetmana. Niemniej jednak w 2020 r. w kościele w Ungienach (mołd. Ungheni) nad Prutem, tuż obok miejsca, gdzie znajdował się obóz cecorski, odsłonięto z inicjatywy Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie na murze kościoła rzymskokatolickiego tablicę upamiętniającą żołnierzy Rzeczypospolitej walczących pod Cecorą (1620).

Żółkiewski poległ podczas tragicznego odwrotu spod Cecory. Ścigani i osaczani przez Turków i Tatarów żołnierze Żółkiewskiego, w tym Kozacy, byli już tylko kilka kilometrów od Dniestru, granicy Rzeczypospolitej, gdy doszło do tragedii. Otoczenie pragnęło ocalić hetmana, chcąc, by z niewielkim pocztem oderwał się od walczących, Żółkiewski jednak nie zamierzał uchodzić z pola bitwy i poległ w boju. Kilka tygodni wcześniej pisał do króla Zygmunta III: „Rad żywot położę dla wiary świętej, dla służby Waszej Królewskiej Mości, dla Rzeczypospolitej".

Ciało hetmana zostało wykupione przez jego żonę Reginę Żółkiewską i pochowane w kolegiacie św. Wawrzyńca i św. Stanisława w Żółkwi. Niestety, strona ukraińska nie godzi się, jak dotąd, na umieszczenie w świątyni wielkich XVII-wiecznych obrazów przedstawiających triumfy oręża Rzeczypospolitej: bitwę pod Kłuszynem, bitwę pod Chocimiem (1673), odsiecz Wiednia i bitwę pod Parkanami (1683).

Na miejscu śmierci hetmana Regina Żółkiewska, wzniosła pomnik-obelisk na niewielkim kurhanie. Przetrwał do połowy XIX w., gdy poszukiwacz skarbów zniszczył obelisk i rozkopał kurhan. Pomnik odtworzono w 1912 r. W ubiegłym roku, w 400. rocznicę śmierci Żółkiewskiego, pomnik został poddany gruntownej renowacji przez Fundację Pomoc Polakom na Wschodzie.

9 października pod pomnikiem górującym nad wielkim jabłoniowym sadem oddano hołd hetmanowi Żółkiewskiemu. Nastrój uroczystości tworzyli rekonstruktorzy, rycerstwo A.D. 2021, które wystąpiło w całej okazałości, w deliach, kontuszach, pasach słuckich, kołpakach z piórami, przy szablach oczywiście. Zdarza się wciąż czytać i słyszeć, że rzekomo Polacy lubują się w martyrologii, czczą klęski. Tamtego październikowego dnia pod Berezowką zebrani nie celebrowali jednak tragedii chocimskiej. Przemówienia wygłoszone pod pomnikiem nie mówiły bynajmniej o śmierci hetmana, lecz o wzorze jego patriotyzmu, gotowości bronienia ojczyzny i wiary, a także o idei wolności, którą reprezentowała Rzeczypospolita. „Wartości nie poddają się czasowi, nie wygasają, ale procentują po dzień dzisiejszy" – powiedział

eprasa.pl 65c12f148d

Podczas trydenckiej mszy dziękczynnej za zwycięstwo chocimskie w kościele św. Mikołaja w Kamieńcu Podolskim FOT. RADOSŁAW SZLESZYŃSKI

Bartłomiej Zduniak, ambasador w Kiszyniowie. Krzysztof Jabłonka, historyk, publicysta, autor niedawno wydanej książki „100 polskich bitew na lądzie, morzu, w powietrzu", stwierdził, że hetman nie był wielki tylko urzędem, lecz duchem i dziś tę wielkość dziedziczymy. Jarosław Struczyński powiedział zaś: „Walczymy ze złym duchem, który chce zniszczyć wielką tradycję Rzeczypospolitej".
W uroczystości wzięła udział mołdawska Polonia, między innymi ze Związku Polaków w Sorokach i Bielec, gdzie istnieje Stowarzyszenie Dom Polski, i założona w 2019 r. drużyna harcerska im. hetmana Stanisława Żółkiewskiego (pod Bielcami toczył się krwawy bój wojsk hetmana). Przedstawiciele Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie przekazali harcerzom edukacyjną grę planszową „Chocim. Potęga husarii", która została wydana także w języku ukraińskim.

Członkowie grup rekonstukcyjnych na tle zamku w Chocimiu FOT. TOMASZ STAŃCZYK

Wspólne zwycięstwo

Czterysta lat temu od pierwszych dni września 1621 r. do 9 października trwała obrona polskiego obozu warownego pod Chocimiem, niedaleko zamku, który w tej batalii nie odegrał zresztą żadnej roli. Niemal połowę wojska Rzeczypospolitej, pod wodzą hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza, stanowili Kozacy pod wodzą Piotra Konaszewicza Sahajdacznego. To Sahajdaczny na radzie wojennej stwierdził, że lepiej uczciwie umrzeć za ojczyznę – Rzeczpospolitą – niż unikać bitwy lub uchodzić, gdyż jest to niegodne ludzi rycerskich. Pod Chocimiem kolejny raz pokazała swoją moc husaria. Gdy żołnierze tureccy atakowali wały obozu warownego, 600 husarzy spędziło z pola bitwy kilkanaście razy liczniejszego wroga.

W niedzielę 10 października pod kościołem św. Mikołaja w Kamieńcu Podolskim zaprezentowała się konna grupa husarzy. Jarosław Struczyński, o wyglądzie iście hetmańskim, przypomniał, że bitwa pod Chocimiem była zwycięstwem wojsk Rzeczypospolitej, i podkreślił, że jeśli będziemy razem, tak jak wtedy, to oprzemy się każdej obcej sile. Nie sposób było nie pomyśleć po tych słowach o dzisiejszej sytuacji Ukrainy i Polski, spotykającej się z agresją i wrogością Rosji. Na przemówienie Struczyńskiego uczestnicy uroczystości, wśród nich polska młodzież z Żytomierza, odpowiedzieli okrzykiem: „Niech żyje Polska, niech żyje Ukraina!".

Bitwa chocimska może i powinna stać się symbolem polsko-ukraińskiego sojuszu przeciw wspólnemu zagrożeniu. Polscy i ukraińscy rekonstruktorzy – miłośnicy dawnego wojska – mieli się zresztą spotkać w Chocimiu. Niestety, na przeszkodzie stanęła długa odprawa na ukraińsko-mołdawskim przejściu granicznym, gdy uczestnicy uroczystości jechali do Berezowki i wracali z niej.

Msza za żołnierzy Rzeczypospolitej poległych, zmarłych z głodu i chorób

eprasa.pl 65c12f148d

Husarze A.D. 2021 przed kościołem św. Mikołaja w Kamieńcu Podolskim
FOT. TOMASZ STAŃCZYK

(ok. 11 tys.) 400 lat temu pod Chocimiem nie mogła się odbyć w innym rycie jak trydenckim, przedsoborowym, po łacinie. Była to bowiem specjalna msza dziękczynna za zwycięstwo chocimskie, ustanowiona przez papieża Grzegorza XV, a jej tekst został opracowany na polecenie synodu piotrkowskiego z 1628 r. Mszę w kościele św. Mikołaja w Kamieńcu Podolskim celebrował ks. Krzysztof Szebla z katedry we Lwowie (uroczystości odbywały się także pod patronatem archidiecezji lwowskiej).

Przed ołtarzem stanęła warta honorowa husarzy z kopiami. I tak jak to było w zwyczaju przed wiekami, rycerze rekonstruktorzy wyciągali szable z pochew na znak gotowości bronienia ojczyzny i wiary. Niestety, uroczystości chocimskich i mszy dziękczynnej w swoim kościele, którą sobie wymarzył, nie dożył o. Alojzy Kossobudzki, paulin, proboszcz parafii św. Mikołaja, ogromnie zasłużony dla prowadzonych od lat prac restauracyjnych w podominikańskiej świątyni. Zmarł we wrześniu tego roku z powodu COVID-19. Po nabożeństwie odbył się w kościele koncert śpiewów historycznych w wykonaniu artystów Lwowskiej Filharmonii Narodowej. Nie zabrakło jednak „Dumki na dwa serca" z filmu „Ogniem i mieczem".

W restaurowanym przez diecezję kamieniecko-podolską przy wsparciu Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie kościele św. Michała Archanioła zaprezentowana została wystawa „Wojska Rzeczypospolitej w czasach Stanisława Żółkiewskiego i Jana Karola Chodkiewicza". Fasadę świątyni zdobi figura św. Michała Archanioła, do niego miał szczególne nabożeństwo hetman Chodkiewicz. Na wystawie przedstawiono reprodukcje obrazów i sztychów przedstawiających m.in. bitwy pod Kircholmem, Kłuszynem i Chocimiem, stoczone z udziałem husarii, portery hetmanów, wizerunki husarzy, w tym na słynną „Rolkę sztokholmską". To fragment zbioru ikonografii czasów husarii, którą zgromadził Radosław Szleszyński, z chorągwi husarskiej marszałka województwa pomorskiego, współautor wystawy (wraz z Radosławem Sikorą, z którym napisał książkę „Husaria Rzeczypospolitej"). Rekonstruktorzy husarze starają się o wydanie wielkiego albumu przedstawiającego tę niezwykłą, słynną formację wojska Rzeczypospolitej i poszukują, na razie bezskutecznie, sponsora wydania. Wystawę uzupełniała ekspozycja zbroi, broni i rynsztunku wierzchowców. W przylegającym do kościoła dawnym klasztorze dominikanek, podczas konferencji mówiono i dyskutowano o hetmanie Stanisławie Żółkiewskim, Mołdawii i Wołoszczyźnie wobec Rzeczypospolitej i Turcji oraz o zwycięskiej obronie pod Chocimiem.

Kościół św. Michała, w którym umieszczono wystawę, i klasztor to miejsca zbroczone krwią ofiar akcji polskiej NKWD z 1937 r., także ofiar ukraińskich, miejsce egzekucji. Na posadzce świątyni znajduje się przeszklony otwór, przez który można oglądać kości zamordowanych przez Sowietów, w prezbiterium malowidło ścienne przedstawiające NKWD-zistę strzelającego w tył głowy swojej ofierze i wysadzany w powietrze kościół, na dziedzińcu zaś znajduje się wejście do bunkra śmierci. W przyszłości ma powstać tutaj, z inicjatywy biskupa kamieniecko-podolskiego Leona Dubrawskiego, muzeum martyrologii narodów – ofiar rosyjskiego komunizmu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Uroczystości rocznicowe odbyły się ze wsparciem finansowym Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i Fundacji PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza. Autor dziękuje Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie za zaproszenie na wyjazd do Kamieńca Podolskiego i Berezowki.

eprasa.pl 65c12f148d

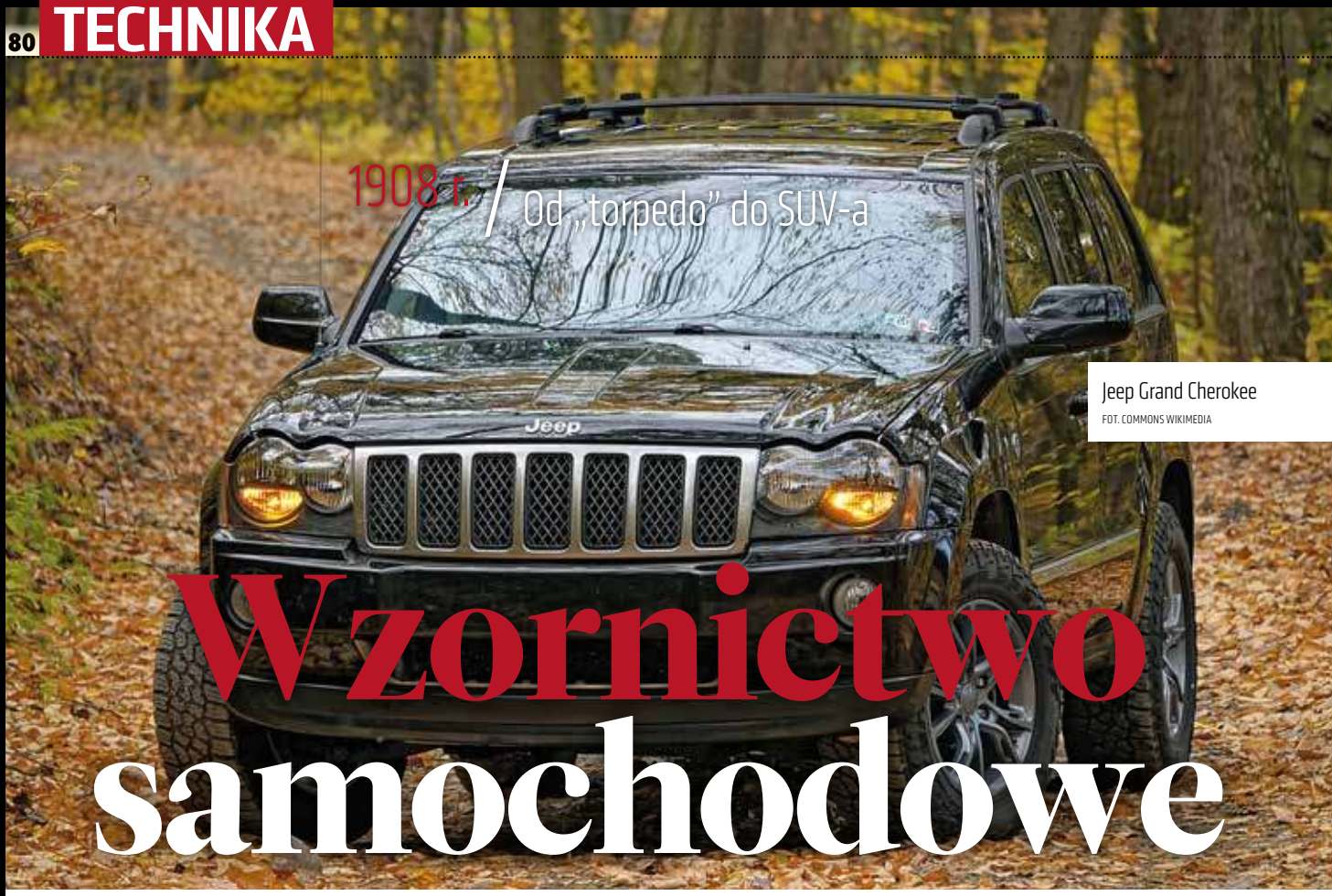

Jeep Grand Cherokee
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1908 r. / Od „torpedo" do SUV-a

Wzornictwo samochodowe

Tymoteusz Pawłowski

To nie moda decyduje o wyglądzie samochodów, a rozwój techniki...

Designerska rewolucja była spowodowana wynalezieniem szkła hartowanego, poważne zmiany wprowadził rozwój klimatyzacji. Dziś jesteśmy świadkami kolejnej rewolucji wzorniczej, spowodowanej potrzebami technicznymi. Automobile pojawiły się na drogach Europy w połowie wieku XIX, dopiero jednak po kilkudziesięciu latach – w początkach wieku XX – nabrały kształtu i użyteczności znanych ze współczesnych samochodów.

Symboliczną datą może być rok 1908, gdy kapitan Theo Masui – londyński importer francuskiej marki Grégoire – użył słowa „torpedo" do określenia nadwozi sprzedawanych przez siebie aut. Do tego czasu samochody przypominały wozy konne, w których woźnica (szofer) zajmował miejsce na wydzielonym koźle (fotelu). Było oczywiste, że takie pojazdy mechaniczne przeznaczone są wyłącznie dla arystokracji. Torpedo miało wszystkie miejsca na tym samym poziomie, każdy z podróżujących był równy. Samochody torpedo osiągały również dużą szybkość – na co wskazuje nazwa oznaczająca torpedę – ale były również wygodne i łatwe w produkcji.

Torpedo różniło się jednak od współczesnych nam samochodów. Nie miało bowiem stałego dachu. To była cecha każdego ówczesnego samochodu, co znacznie utrudniało podróże zimą, jesienią oraz wiosną (a także w deszczowe dni lata). Montowane czasami brezentowe daszki stanowiły jedynie osłonę przed słońcem. Nawet najlepszy dach nie ochroni przed deszczem, skoro nie ma szyb.

A szyb w ówczesnych samochodach nie montowano. Czyniono tak z przyczyn oczywistych: pęknięte szkło jest śmiertelnie niebezpieczne, a szyby miały tendencje do pękania podczas jazdy po wertepach. Dlatego nie było ich również w powozach konnych – z wyjątkiem niektórych, służących do powolnej jazdy po równych miejskich ulicach. Automobile jeździły jednak zbyt szybko.

Szyby zaczęto montować w samochodach ok. 1904 r., początkowo w spacerowych automobilach miejskich z boku nadwozi. Tylko najbardziej odważni kierowcy nie bali się, że poderwany pędem kawałek żwiru roztrzaska im przednią szybę! I chociaż jeszcze przed pierwszą wojną światową takie wiatrochrony zyskały na popularności – były nawet automobile w pełni oszklone i odachowane – to większość podróżujących używała okularów i płaszczy ochronnych. To właśnie dlatego skórzany płaszcz stał się w rosyjskiej i niemieckiej propagandzie nieodłącznym atrybutem czekistów i gestapowców: podkreślał gotowość do błyskawicznego ścigania przeciwników Stalina i Hitlera.

Sedany i limuzyny

Bezpieczne szkło pojawiło się po pierwszej wojnie światowej – władze walczących państw sponsorowały

eprasa.pl 65c12f148d

wynalazki, mające zwiększyć skuteczność zabijania wrogów. Jednym z takich wynalazków były maski przeciwgazowe, do których potrzebne było bezpieczne szkło. Rozwiązanie było znane od dłuższego czasu, a francuski chemik Édouard Bénédictus opatentował je w 1909 r., ale dopiero państwowe granty umożliwiły zbudowanie linii produkcyjnej szkła laminowanego, zwanego również klejonym. Tuż po zakończeniu wojny technologię zaczął wdrażać Henry Ford, ale zajęło mu to sporo czasu – pierwszy masowo produkowany samochód wyposażony w bezpieczne szyby pojawił się w 1927 r. Był nim Ford A, a jego w pełni oszklone nadwozie określono nazwą sedan.

Szkło klejone Bénédictusa składało się z dwóch warstw zwykłego szkła połączonego żelatyną – dlatego nazywało się triplex, czyli „potrójne". Żelatyna nie tylko wzmacniała konstrukcję, lecz także sprawiała, że nawet pęknięte szkło nie rozsypywało się i nie kaleczyło podróżnych. Co więcej, zastosowanie triplexu nie tylko zwiększało bezpieczeństwo, lecz także walory techniczne auta. Sztywny dach – możliwy dzięki szybom – znacznie wzmacniał konstrukcję, umożliwiając obniżenie masy podwozia i otwierając drogę do lekkich nadwozi samonośnych.

Większość nazw stylów nadwozi samochodowych pochodzi z czasów powozów konnych. Wyjątkami są opracowania naprawdę rewolucyjne, niemające „konnych" odpowiedników, takie jak torpedo czy sedan. Sedan odwoływał się do jedynego w pełni oszklonego środka transportu, czyli lektyki. Lektyka – niesiona przez ludzi – nie musiała obawiać się wertepów, więc montowano w niej oszklenie. Nic dziwnego, że nazwę tę odziedziczyły w pełni oszklone samochody. Wbrew pozorom słowo sedan nie powinno być łączone z francuskim miastem, tylko z całkiem przyziemnym... sedesem. „Sedere" po łacinie znaczy po prostu „siedzieć".

Zarówno torpedo, jak i sedan były nadwoziami „rodzinnymi" – kierowca był równy pasażerom. Zupełnie innym samochodem była limuzyna – jej nazwa wywodzi się od powozów z wydatnym dachem pochodzącym z regionu Limousin – w którym kierowca siedział odizolowany od pasażerów. Dzisiaj często używa się nazw sedan i limuzyna wymiennie, co nie do końca jest właściwe, ale ma całkiem poważne usprawiedliwienie: nazwy te przychodzą do Polski z różnych krajów – najczęściej Francji, Niemiec, Stanów Zjednoczonych – ich znaczenie wzajemnie się nakłada i zmienia. Moglibyśmy wymyślać własne określenia, których nikt by nie używał. Włosi na przykład używali słowa „berlina", oznaczającego niemal to samo co limuzyna – zabudowany pojazd konny, z tym że typowy dla Berlina (w Polsce znany jako... dorożka).

Kabriolety i SUV-y

Sedany – oprócz zalet – miały również wady. Jedną z nich było matowienie szyb – problem rozwiązano pod koniec lat 30., stosując zamiast żelatyny sztuczną żywicę zwaną PVD (poliwinylobutyral). Inną poważną wadą była duchota panująca we wnętrzu zamkniętych samochodów. Nie przeszkadzała on podczas krótkich przejazdów po mieście, ale letnie podróże na dalekich międzymiastowych trasach były mało komfortowe. To właśnie dlatego tak popularne swego czasu były kabriolety. Lepszą dla nich nazwą jest amerykańskie słowo „convertible", czyli „zmienne". W słoneczne dni można było jeździć bez dachu, ale w złą pogodę podnosiło się szyby oraz dach i zmieniało przewiewne torpedo w przytulnego sedana.

Czas kabrioletów minął, gdy popularna stała się klimatyzacja samochodowa, czyli na przełomie lat 80. i 90. XX w. Dziś składane dachy najłatwiej znaleźć albo w dużych automobilach luksusowych, albo w nieco mniejszych pojazdach wakacyjnych. W Polsce kabriolety są w miarę rzadkie – nie tyle ze względu na klimat (choć ten się ociepla), ile ze względu na historię polityczną – w czasach PRL niechętnie produkowano samochody dla ludności cywilnej, a w tych nielicznych nie dbano o wygodę pasażerów. Kabrioletów u nas nie było...

Dość paradoksalnie najpopularniejszym nadwoziem PRL-owskich samochodów było nadwozie coupé, kojarzone dziś z autami rozrywkowymi. „Coupé" – słowo to znaczy po francusku „skrócony, obcięty" – oznaczało niegdyś dwuosobowe powozy konne, a później „obcięte" sedany, czyli zamknięte samochody z jedną parą drzwi. Właśnie takimi samochodami były Syrena, którą próbowano zmotoryzować Polaków w latach 50. i 60., oraz Fiat 126, zwany małym, którym motoryzowano Polskę w latach 70. i 80.

Dzisiaj najpopularniejszym typem nadwozia jest SUV, czyli „sportowo-użytkowy wehikuł", będący w gruncie rzeczy sedanem o zaburzonych proporcjach. I to właśnie SUV stanowi przyszłość motoryzacji. Nie dlatego jednak, że kierowcy lubią sportowo-terenowy wygląd, tylko dlatego, że wprowadza się właśnie zakaz produkcji samochodów spalinowych. Niemal wszystkie nowe samochody będą elektryczne, a jedyne miejsce, gdzie można włożyć akumulatory, to podłoga. Elektryczne sedany i limuzyny albo mają niewielki zasięg, albo zaburzone proporcje. SUV-y są natomiast na tyle wysokie, że dodatkowe 10 cm przeznaczonych na akumulatory niewiele zaszkodzi ich wątpliwej urodzie.

Samochód CWS T-1 i jego konstruktor inż. Tadeusz Tański FOT. WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65c12f148d

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

eprasa.pl 65c12f148d

Obejrzałem „Wesele” Wojciecha Smarzowskiego. W zasadzie jedynie wątek historyczny wkomponowany w scenariusz (autorem również Smarzowski) zaciągnął mnie do pustego kina w sobotę.

To bardzo słaby film. I nie dlatego, jak chciałyby „autorytety” rodem z „Drugiego śniadania mistrzów” w żółto-niebieskiej stacji, że w jakiś sposób mierzi mnie sposób ukazania Polaka w tym filmie – zawsze złego, czy to przed wojną, podczas wojny czy obecnie podczas pandemii, nieważne, czy inteligenta, księdza czy rolnika, pijaczyny, zawistnego, nieładnego, odpychającego, niemoralnego, antysemity… Akurat w tym obszarze Smarzowski zdążył mnie przez lata przyzwyczaić i nie spodziewałem się w zasadzie kontrastów. Hołdując stańczykowskiej samokrytyce narodowej, nie jestem również zwolennikiem brązowienia naszych narodowych wad (choć nie uważam, że zawładnęły one do reszty Polakami, czyniąc z nich jedynie złych ludzi), więc prawdy o nas samych się zupełnie nie boję.

Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

„Wesele”

/ Smarzowski nie zmieścił w jednej opowieści portretu Polaków w 2021 r. i ich przodków w 1941 r.

Smarzowski się poważnie pogubił, starając się – a to jest zawsze bardzo trudne w filmie – połączyć współczesność z historią. Trzeba od razu powiedzieć: nie zmieścił w swojej jednej opowieści portretu Polaków w 2021 r. i ich przodków w 1941 r.! Pogubił się na tyle, że uczynił z „Wesela” chaos, i jeśli on sam myśli, że przerzucił w ten sposób most do pozornie chaotycznego dramatu Stanisława Wyspiańskiego, to się bardzo pomylił. Chocholi taniec Wyspiańskiego piętnuje nasze wady, by z chaosu, marazmu, snu… wyprowadzić nas ku otrzeźwieniu, natomiast balanga Smarzowskiego nie ma przesłania poza zatrzymaniem się przy wadach, i to w dodatku niejako dziedziczonych, trwałych, nieusuwalnych, jakby nie było już żadnej drogi ucieczki.

Jeśliby Smarzowski nakręcił film – mam wrażenie, że taki zapowiadał – jedynie historyczny, może nawet wzorowany na „Wołyniu”, o złożoności polsko-żydowskich relacji, o antysemityzmie, o antypolonizmie, o przemocy pałkarzy endeckich, o zamykaniu się w sztetlach, o krewkich syjonistach, o bundowskich bojówkach, o konsekwencjach 17 września 1939 r. i 22 czerwca 1941 r. dla tych relacji, o zagładzie, o obojętności wobec zagłady, o szmalcownictwie, o bohaterstwie pomocy Żydom, o sowieckiej i niemieckiej polityce… To byłby JEGO film, z JEGO wizją, może kontrowersyjną (i dobrze), ale byłby to film poważny, ważny punkt odniesienia w dyskusji, obraz kształtujący wyobraźnię współczesnych Polaków i każdego widza na świecie.

I pewnie Was zdziwię, ale okruchy tej wizji, jakby pocięte fragmenty z innego filmu, w nowym „Weselu” się znalazły.

Sceny ukazujące bojówki narodowców pod sklepami żydowskimi, ksiądz na ambonie wzywający do walki z Żydami (znacznie przerysowany – zwłaszcza treść jego kazania), ale i Żydzi wskazujący Sowietom w 1939 r. Polaków, których spotyka wywózka, prześladowanie i często śmierć. I dalej, widzimy Polaków w większości obojętnych na los Żydów po 1941 r., niewielu, ale jednak uczestniczących w zaganianiu Żydów na rynek, a potem do stodoły, by ich spalić (zawsze w tych scenach Smarzowski umieszcza Niemców – jako inspiratorów i obserwatorów tych zbrodni), część z nich protestuje, krzycząc „Co wy robicie!”, wreszcie Polaków polujących „na ukrywającego się Żyda”, ale i takich którzy są antysemitami, a jednocześnie oddają życie za udział w ratowaniu Żydów.

A zatem Smarzowski potrafi to wszystko ukazać w swej złożoności, nawet jeśli przechylonej ku winie polskiej. Ale potrafi! I to na tyle plastycznie, że imituje jakby film kroniki niemieckiej ukazujący przejmujący los Żydów pod niemiecką okupacją, a potem pogrom Żydów dokonany przez grupę Polaków (uzbrojonych często) do spółki z Niemcami (nie wiem, czy się nie mylę, ale ma to być chyba scena z Radziłowa z 6–7 lipca 1941 r., bo sekwencja wydarzeń odpowiada naszej wiedzy o wydarzeniach z tego miasteczka).

Wszystko to jednak na nic, bo powyższe wątki historycznego obrazu gubią się w weselu roku 2021. Giną w pijatyce i zabawie, ordynarnych słowach i gestach, w lewych interesach i porachunkach, okraszanymi nieustannie strasznymi scenami zabijania świń… a raz nawet sceną kopulacji mężczyzny ze świnią. Są w tym wszystkim „zdradzieckie mordy” Kaczyńskiego i „tęczowa zaraza” abp. Jędraszewskiego i sto innych wycieczek kojarzących tę opowieść (nieważne, czy w 1941 czy w 2021 r.) z PiS.

W to wszystko Smarzowski wbił sceny z historii 1941 r. (weselnicy palą Żydów w stodole), a przy stole weselnym posadził nawet Piłsudskiego (mówi o znaczeniu przeszłości dla życia narodu) i Dmowskiego (cytującego „Myśli nowoczesnego Polaka”), a wśród biesiadników życzących młodej parze dobrego życia postaci z tragicznego lipca 1941 r.

Po co to wszystko? I dlaczego jest to aż tak złe i kiczowate kino? Niegodne artysty tej klasy co Wojciech Smarzowski. A może to ja na tyle uwierzyłem w wielkość „Wołynia”, że uznałem, iż reżyser tego filmu jest wielkim artystą? Sam już nie wiem…

Postscriptum: konsultantami historycznymi nowego „Wesela” są profesorowie ANDRZEJ PACZKOWSKI i ANDRZEJ ŻBIKOWSKI oraz doktorzy KRZYSZTOF PERSAK, ADAM SITAREK i MIROSŁAW TRYCZYK. Gratulacje! ©℗

eprasa.pl 65c12f148d

40. LECIE

STANU WOJENNEGO W POLSCE OPISANE TWÓRCZOŚCIĄ PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

13.XII.21

MECENASI PROJEKTU

Enea PGNiG KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 65c12f148d